

STACH Z KONAR.



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

VIII.

STACH Z KONAR.

Powieść historyczna

z czasów Kaźmierza Sprawiedliwego.

T o m I.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

Michał Glucksberg.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1879.



W Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.



*Non enim adolescentularum inter musas colluscivere
choris, sed sacri sinatus assistere tenemur suggestui; non
umbratiles palustrium harundines, sed aureas patriae
columnas, non pupas fictiles, sed veras patrum effigies
de sinu oblivionis, de ebore antiquissimo iubemur excidere:
immo divinae lampades lucis in arce Regia iubemur
appendere et bellicis inter haec insudare tumultibus.*

Mag. Vincentij Episcop. Cracov.
Ciron. Polonor. Prologus.

PANU GUSTAWOWI
BARONOWI MANTEUFFLOWI

w dowód przyjaźni i głębokiego szacunku

przesyła

Autor.

Drezno
26 Lipca 1878 r.



i.

Wiosna była i ranek wiosenny, majowy, taki jakim Bóg tylko północne obdarza kraje płacąc im za długą zimę oczekiwania sennego.

Po ciepłych deszczach, słonecznymi przeplatanych uśmiechami, nabrzmiałe pączki otwierały się jakby rozmiłowane w promieniach jasnych, rozpościerały liście szeroko aby światło przeniknęło do ich głębi; z czarnych śmieci zimy wylatywały motyle ubarwione złotem i purpurą, muszki brzęczące i luskami szmaragdowymi okryte żuczki, zrywające się do lotu skrzydłami jeszcze na wpół spletanemi snem śmierci.

Na wschodzie rumieniło się mające dopiero z piełch chmurzek różowych i mgły srebrzystej rozpowić słońce; mrok rozkoszny ów oblewał ziemię, który już nie jest nocą, a dniem się nie

stał jeszcze i czuć w nim nie zapadające zasłony ciemności, ale precz uchodzący sen ziemi.

Z ciszy głębokiej, która panowała przed chwilą, szmerów tysiącem świat się rozśpiewywał do życia, chór ten poczęty przez muszki drobne skrzydły dźwięcznymi, wzmagal się świergotem ptasząt, śpiewem ich i szumem rannej lasów modlitwy, rósł w wielki chór uroczysty na powitanie słońca Bożego.

A tak było na świecie pięknie i miło, że chyba znużona starość mogła zaspać ranek taki. Kamienie nawet omszone zdawały się potniejąc od rosy, wracać na chwilę do straconego żywota. I woń płynęła we wtór pieśni taka jakaś niebiańska, nieokreślona, złożona z zapachów tysiąca, że się nie czuło czém była, a poilo tylko błogością jaką z sobą niosła.

Mięszaly się w niej oddechy pączków drzew, liści świeżych, kwiatów rozpękłych, zwilżonej ziemi, parujących źródeł, nnoszącej się w powietrzu rosy i traw młodych i borów starych. Dobrze żyć było, oddychać, słuchać, czuć że się jest na tym świecie, który za chwilę ozłocić miało słońce. Król dnia jeszcze był nie wszedł na godowe gmachy, dwór jego poprzedzał pana. Biegły obłoczki zwrócone twarzą ozłoconą ku niemu, zwiastując go rozpostartymi skrzydłami, sunęły się chmurny rozbijając w biegu jak przelekle majestatem pana, i mgły się rozplýwały jak

onidlale z rozkoszy, w lazurach coraz silniejszėj nabierających barwy.

Na dole, na lasach, w nizinach, spał jeszcze poranek i było szaro a mroczno. W półcieniach tylko podnosiły się lasy sine, wyciągały łaki strojne wierzbami, strzelały gdzieś stercząc wysoko odwiecznych drzew wierzeholki z liści ogolcone. W górze stawalo się coraz jaśniej.

W tém z za obsłon wybiegl promień jak snop złoty, posypał światłością wierzeholki drzew, smugami jasnymi poprzerzynał łaki. Ziemia drgnęła od ognistego pocałunku.

Jakby na ten promień czekało wszystko, wnet żywiej zadrgało, ozwało się głośniej na ziemi co jeszcze drzemalo ospale przed chwilą.

Okolica była piękna a na pół dzika jeszcze, choć czuć w niej już było człowieka i jego pracę. Opasywały ją lasy jak wały ciemne, lecz w głębie ich już się wdzierały połany od łak zieleniejsze ręką ludzką uprawne, tu i owdzie żółta drożyną biegła obok rzeki, przeskakiwała ją mostem z kłód grubych skleconym i sunęła wijąc się ku puszczołom. Z pośrodku gęstych drzew po słupach dymów domyslać się było można osad ludzkich. Stada pasły się na wygonach, na wzgórzach gdzieś widniały dachy słomiane i chaty szare.

W pośrodku doliny małej otoczonej wzgórzami, jeszcze gąszczem porosłej, u brzegu

rzeczki, na pagórku nie zbyt podniosłym, ale wałami i ostrokołami obwiedzionym, widać było stary gródek, dość rozległy. Zdala z za okopów zielonych, podnosiła się tylko okrągła, przysadzista wieżycą z polnych kamieni, pannyjąca nad okolicą. Gmachów co się z nią zrastały, za drzewy i wałami prawie widać nie było. Wyszczerbiony wierzeh jej nie miał dachu, sterczało tylko nad nią coś jak belki powiązane z sobą, nie okryte niczem.

Gródek ten zwał się Sciborzyce, a obszerne do koła włości należały do niego, i mało było żupanów w Sandomirskiej ziemi nad Scibora ze Sciborzyce, starego już stuletniego może wojaka, co swe ostatnie walki z Krzywoustym odbywszy, złamany i posieczony przyszedł tu wiekn swego dożywać, śmierci doczekiwać. Zgrzybiały rycerz nie ruszył się już z gniazda, a nie było go komu wyręczać, bo nie miał ino jedną córkę, żadnego syna, wszystko mu pomarło w pieluchach. Dziecięcia jedyne, choć je dawno czas było dać komuś, Scibor z domu nie puszczał, a do domu też nie wpuszczał ktoby mu usynowiony gospodarzył...

Kto temu był winien? czy piękna Jagna Sciborzanka, czy stary ojciec? mówiono różnie, nikt pono całej prawdy nie wiedział, a kto ją znał, ten milczał. Ludzie obcy patrzali na tę dziewczkę wielkimi ciekawemi oczyma. — Było co

bo patrzeć i wypatrzeć oczy — nikt jej nie rozumiał.

Długo się na nią oglądając potrzęsali głowami, ruszali ramiony, nie mówili już nic.

I oto tego poranku, ktoby był widział Jagnę, jak z pod strzechy się zawczasu wyrwawszy, nim słońko weszło, wybiegła na wał gródka, i stojąc na nim poglądała smutnie po okolicy, zdumiałaby się pięknej dziewczec, nierozumiejąc co ją zbudziło i co ją pędziło.

Stała tak już dobrą chwilę na najwyższym cyplu wałów, wyszedłszy z pośrodku rosnących wewnątrz, u stóp jej lip, świeżo rozpękniętych — stała patrząc w dal zadumana, piękna, pociągna, nieodgadnięta.

Co ona tam widziała i na co patrzała, dla czego się zerwała tak rano? nikt z domowników nawet nie rozumiał. Ale ci byli nawykli do dziwactw pięknej dziewczyny, której ojciec na wszystko pozwalał co chciała. Ona tu sobie, jemu i wszystkim była panią. Czyniła co się jej zamarzyło, mówiono, nie zawsze to coby młodemu przystało dziewczęciu, ale Scibor syna nie mając dozwalał jej być taką jaką chciała. Chowało się to po śmierci matki dziko, samowolnie, pieszczono, a że w żyłach jej jakaś bujna krew płynęła, trzepotała się jako ptak co nie zna ino to co mu słońce; wiatr, pogoda i burza do główki napędzą.

Stała Jagna Seiborzanka na wysokim okopie sama jedna, dziwnie na ranek przystrojona, a taka piękna jakby z gałęzi starych lip wyrosła Dziwożona. Dziewczę było wzrostu słusznego, rozkwitłe bujnie, krew z mlekiem, twarz miała tylko opaloną nieco, oko czarne i śmiałe, brwi ruchome i łatwo biegające, w pośrodku których groźny marszczek czasem czoło przerzynał. Nosek mały rozdymał się różowemi jak u konia chrapkami, usta drobne dumnie ku górze były wzdęte, miały wyraz nadąsania i dobroci razem, a jak wiśnie różowe wyzywać się zdawały pocałunków. Cała była tak kształtna a tak silna, że mimo swój piękności niewieściej podobniejszą była z postawy i ruchu do młodzianka raczej niż do pańskiego dziewczęcia.

Tego poranku miała na sobie białe gźło szyte wzorzysto na ramionach i piersi i przyodzievek sukieny krótki, a spódnicek kraśną, szkarłatną złotem obramowaną, na nogach buciki ze spieczastemi nosami, pas szeroko obmotany aż pod piersi do góry podniesioną, kształtną i jak z kamienia wykutą. Ręce które z pod rękawów występowały, ogorzale jak twarz, formy miały piękne, rozmiary drobne, a czuć w nich było jednak siłę; nóżka wystająca z pod spodniczki wyglądała niemal kopytkowato, tak była małą i garbatą. Kilka sznurów koralu z bursztynów i szklanych perel ciasno, jak pancierzem, białą

jěj szyję obejmowały. Na głowie zamiast dziewięzego wianka, który dla dziewczyn był w oby-
czaju, miała czapeczkę czerwoną, małą, zielone-
mi liśćmi do kola obwiedzioną

Ślicznie jěj było w tym stroju. choć twa-
rzązkę miała zasępioną, a rozglądając się po
okolicy, nie rozjaśniła jej uśmiechem. W oczach
jakby łzą rozplyniętą zwilżonych, smutek i niepo-
kój znać było, do ust przylgwał ból jakiś stary,
z którym się już zżyła. Stała, patrzyła, oddy-
chała, jakby jěj tam pod dachem powietrza było
zabrakło, a tu go szukać musiała i chwylała
spragnioną.

Gdy tak patrzyła zadumana, po za nią bu-
dziło się wszystko na gródku, piał na wypród-
ki kury, gdały kokosze, gruchały gołębie,
rżały konie, bydło ryczało, beczały owieczki
i czeladka ruszała się gwarno, a szmery i głosy
przemykały po podwórach, choć jeszcze wczesną
dnia dobą stłumione.

Stary Seibor spał, więc podle dworu cicho
stapano, nie rozpu-zeczano głosu; bliżej wałów,
kiedy o dziewczę pańskiej, już zozbudzonej wie-
dziano, śmielej pomrukiwali ludzie.

Daremna to rzecz, choćby silną panią była
niewiasta, nigdy jěj takiego posłuchu i poszano-
wania nie oddadzą ludzie, co najslabszemu męż-
czyźnie. Jagny też nie bardzo się czeladź oba-

wiała, choć chwilami straszną być umiała i gniewy miewała mężkie.

Wiedziano o tém że gniew jej przychodził jak piorun, przechodził jak burza. Kochali ją ludzie więcej niż się lękali, a litowali się bardziej niż miłowali. Gdy ranka tego wybiegła nagle o brzasku na wały, dziewczęta i parobcy popatrzeni na nią, spojrzeli na siebie, głowami potrześli, nie mówiąc nic.

Stare baby po cichu zwały ją: „nawiedzona”. Nikt jej dobrze nie rozumiał, dla tego znachorki myślały, że chyba kto czar w kolebce rzucił na nią, i wiele z nich utrzymywało, że trzeba było „odezwać urok” aby dziewczka do rozumu przyszła.

Nie bez przyczyny mówiły to staruchy, bo była jakby szaloną i nawiedzoną. A za drugi czar przyznać jej było można, że ojca wojaka starego, który się nigdy niczego i nikogo nie uląkł, tak ona dziewczucha sprawowała, iż dawał jej czynić co sama chciała. Miała już Jagna jak liczyła ta co ją karmiła, dobrych lat dwa dzieciątka, panią była znacznych włości, starało się o nią ludzi możnych niewiedzieć ilu, a na wszystkich głową trzęsła i ramionami ruszała wzgardliwie — nie chciała nikogo.

To by jeszcze nie było nic, bo nawykła do samowoli, a włożywszy namitkę, i postrzygłszy kosy, jużby pana, wybraawszy go sobie, słuchać

musiała, więc pod niewolę spieszyć się nie miała czego — ale żyła dziewczyna nie po niewieściem.

Prząc len i szyć w krośnach i inne roboty niewieście umiała Jagna począć tak zręcznie jak mało która, gdy się do tego wzięła prędzej jeszcze i piękniej niż inna potrafiła, a no serea do tego nie miała. Zrobiwszy co, rzuciła w ką, na chwilę i to ją zabawiało, popatrzala potem, usta się jej pogardliwie do góry podnosiły i więcej już ani spojrzala. Za to męskie zabawy, które dziewczkom nie przystały, zdawała się woleć nad inne.

Siąść na konia, choćby dzikiego, hasać na nim pół dnia, wrócić zmęczonę, często podrapanę nieczem dla niej było. Na takie wyprawy ze psy, z sokolem przebierała się po męzku, stroiła dziwacznie, i aż się jej oczy śmiały gdy z zamku w świat się puszczała. I to by jeszcze nie było nic, bo wiele naówczas niewiast miało męskie upodoby, najgorzej ze wszystkiego że się czasem Jagna, wyrwawszy z domu, porzuciła czeladź, obłąkała swoich ludzi jakby nymyślnie, przepadała bez wieści na dni kilka a zjawiała się potem z powrotem, jakby się jej nic nie stało.

Gdy jej potem wymówki czynili, ramionami ruszała i śmiała się pogardliwie odrzucając:

— Nie mi nie będzie!

Stare ojczysko już się z tēm było oswoiło. Córka ta toć było jedno oko w jego głowie, cały świat, słońko i życie! W początkach Scibor z rozpaczny głową tłukł o ścianę, ludzi rozsyłał, nagrody obiecywał, narzekał, włosy sobie rwał, a no, jak się to człowiek i z najgorszem oswaja, potem już to zuikanie dziecka tak go nie przerażało. Mruczał stary. — Już ona wie co czyni — niech tam sobie! Tyle jej co poszaleje!

A gdy powracała to ją cisnął do piersi i płakał, póki mu się nie rozśmiała białemi ząbkami, nie pocałowała w czoło i nie poszeptala coś do ucha.

Scibor był już prawie zdziecinniał.

Za Krzywoustą, gdy się nienastanie z Pomorzany ścierano, kędyś pod Santokiem pono, Scibor w głowę został ranny przez dzikiego człeka i legł na pobojuwisku jak bez ducha, a nie ocucił się, aż gdy swoi grzebać trupy przyszedłszy, już go do kurlana wlekli by pochować. Gdy go rzucono o ziemię, zmysły jakoś odzyskał, długo potem chorzał, powróciło życie, ale sił już nie było. Odwieźli go do Sciborzyc, tam czełaż i córeczka a baby lekarki na chorego chuchały. że mu się i rany pogoiliły i pamięć wróciła. Tylko na wojnę już iść nie było sposobu. O kijach dwu się włóczył i grzbiet miał przełamany. Dziewczę właśnie dorastało, miał ze szczebio-czącą ptaszyny pociechę, a choć i dawniej Ja-

gnę miłował bardzo, teraz gdy na nią jedną zszedł, i z niczego więcej nie miał rozrywki, cały się dziecku oddał.

Za króla Krzywoustą w zachowaniu był wielkiem, a liczył się ze Skarbimierzem, Żeliszławem i innemi do najlepszych wojaków, potem gdy tak złamany został a do barłogu przyknyty, odwiedzał go sam król, i dzieci posyłał. Jeździł do Sciborzyc starszy królewicz Władysław, przybywali na łowy i zabawiali się po dni kilka Bolko, Mieszko. Nawet najmłodszy dwaj, po śmierci króla, pamiętni ojcowskiego kochania, przez matkę tu byli posyłani, Henryk i Kazimierz, najmłodszy królewice, nieraz tu z ochmistrem po kilkanaście dni na łowach przesiadywali: Henryk i Kazimierz, z małą naówczas Jagną bawili się po wałach i okopach ścigając, śmiejąc się, hucząc a pokrzykując w najlepsze. Dzieweczka naówczas po mężku się nauczyła dla nich przebierać i mężczyzn nabrała obyczajów.

Później za Władysława, gdy cięższe nastały czasy a królewicze wiele mieli do przecierpienia, bo niemi, młodszemi zwłaszcza, tu i owdzie rzucono, już ich w Sciborzycach nie było. Przejazdem tylko Kazimierz tu czasem zaglądał.

Gdy dziewczę dorosło, że to było piękne jak kwiatek, bogate jak księżniczka, i u ojca jedyne, na odgłos o niem sypały się swaty starym obyczajem. Niepytano Jagny, kogoby ona chciała

a ślano do ojca z ofiarami. Ten syna stręczył, ów bratanka, inny brata, inny krewniaka, wszystko z wielkich rodów.

Zrazn Seibor myślał może wydać Jagnę, takiego sobie tylko szukając w przyjmy, aby nie synem był tylko zięciem. Wiadomo iż zięciowie po wsze czasy złą sławę mieli, nie tylko na Rusi gdzie o nich przysłowie chodzi — ale i w Polsce. Patrzal więc Seibor i prosił rad był, ale owa dziewczucha mu długo myśleć nie dała, pocałowała go i rzekła:

— Darmo sumujesz stary, ja nie pójdę zamaż chyba sobie sama pana wybiorę. Wybór będzie nie łatwy! A po co ci spieszyć, stary mój, mnie za mężem nie tęskno chyba tobie. Po co pana sobie szukać? Albo ci ze mną źle? Czy się boisz abym ja na koszu nie siadła i rutki nie siała pod siwy włos? A gdzieżeś to widział, aby tyln ziem i wsi dziedziczka jedyna, męża gdy zechce nie znalazła?

Naprawdę więcej się tego obawiał Seibor aby powinowaci, gdyby zmarł, majątku ich nie zajęchali i nie pochwycili jako mienia ojczystego, dziewczynę lada wiankiem zbywając, ale Jagna śmiała się z tego strachu, mówiąc że krzywdy sobie nie da uczynić.

— Toć Bolka i Mieszka i Henryka i Kaźmierza znamy i łaskę u nich mamy, że nam krzywdy uczynić nie dadzą. — Przyczyniała do

tego — ktobykolwiek z nich panował, krzyw nam nie będzie, a jeśli najmłodszy Kaźmierz przyjdzie do mocy, ten mój drnh najlepszy, bośmy z nim razem na drewnianych koniach jeździli!

Seibor głową pokręcał.

— Po niewieściemu Ci w głowie świta — odpowiedział. Kaźmierz najmłodszy, w klasztorze chyba siedzieć, ojcowizny niema żadnej, a gdzie mu przed starszemi do panowania!

Byłoto za tych czasów gdy Władysława wypędzano z Krakowa, a Kędzierzawego sadzono w miejscu jego, więc gdyby się panowanie zmienić miało, swatało się dość dużo, bo i Władysławowicze i, gdyby Bolko nie dotrwał, Mieszko ze swoim potomstwem, Kaźmierz naówczas ani kawalka ziemi nie miał, n brata będąc na łasce. Dopiero gdy Henryk. najmilszy mu z braci, nieszczęśliwie zginął w zasadzce, Sandomierz mu się po nim dostał.

Ale do Krakowa, który mn Jagna przepowiadała, żartobliwie ojca pocieszając, bardzo było jeszcze daleko. I téj dzielnicy pięknej, Sandomierza z Lublinem, wydziedziczony ów najmłodszy synek Krzywosta spodziewać się nie mógł, cóż dopiero stolicy głównej i panowania zwierzchniego. Seibor się śmiał z córki, że towarzysza zabaw dziecięcych rada była widzieć tak wysoko, aby w niej swej samowoli opiekunka znalazła — ona, pomrukując głową sobie trzęsła.

Przekonać ją, gdy się w czém uparła, bardzo było trudno, raczej niepodobna. Co się tam w tój głowinie snuło i plotło myśli dziwacznych, Bóg wiedział jeden.

Czasami gdy wieczorami, jesienią, jak to naj częściej bywało, pół siedział na pół leżał w kącie izby, a u ogniska kłody wieczorne niebieskie mi dogorywały płomyki i Jagna usiadłszy przy starym puszczała wodze swym cudackim wymysłom i marzyła dziwne rzeczy; stary słuchał to się żyzmając, to spluwając, to śmiejąc, a w końcu nieraz i zapłakał dziecko ściskając. Bo co Jagna wygadывała, nie do wiary było szalone, a ci co czasem podsłuchiwali, ręce do góry podnosili — i dlatego ją „nawiedzoną“ zwano.

W istocie nawiedzały ją baśnie złote, jakby te które n kądzieli prządki sobie wymyślają, przypominając co im n kolebki prawiono. — Czasem się w tych baśniach widywała królową, żoną jakiegoś władzcy ukochaną, rozkazującą na cztery świata strony, szczęśliwą a w sercu jego mocną. I jakby coś w sobie miała, wspomnienie czy przeczucie, opisywała ojen miłego swego, co go pewnie na świecie nie było, zawsze jednako, takim pięknym jak chyba prawdziwy mógł być królewicz.

Po takich nawiedzeniach nazajnttrz, gdy dzień jasny rozwiał nocne widziadła, Jagna wychodziła ze swój komnaty taka blada, smutna, tak przy-

biła, niema, jakby wszystkie szczęścia wczoraj wypila do dna, a na dziś jej i kropli nie pozostało.

Takich dni czasem siadywała na kamieniu u dworca, nie słysząc nic i nie widząc, albo gnala z koniem w lasy, póki się w śmierć nie męczyla i nie powróciła bez tchu, bez mowy, aby ledz bezduszną na pościeli i snem żelaznym spać potem dzień i noc. Ojciec wówczas czuwał nad nią i płakał.

Z gachami co się swatali dużo biedy bywało. W początkach ją oni gniewali, zamykala się od nich, dąsała, nie jednemu takiego coś rzekła że z gniewem precz odjechał, zemstę poprzysiegając. Niektórzy się kusili gwałtem ją porwać, ale dwu to na złe wyszło, bo jednego z łuku postrzelila, drugiego ludzie jej brzydko stłukli. Inni się już nie posuwali, odstrężeni tą nauką.

Niektórzy przyjeżdżali z podarkami, nawiedzając starca a dziewce starając przypodobać. Więc gdy się z zalotami oswoila, odprawiała je różnie, szydersko, czasem pogardliwie, niekiedy litośnie i bez gniewu, a z grochowinami. Żaden jej do smaku nie był, choć drudzy się układali

— lno mnie weź! — położywszy siersć gładko. Ona zawsze się w nich jeźów i koleców domyślała. Ci co poszli precz odprawieni, z gniewu potem wymyślali na nią, że „nawiedzona“ była, drudzy że coś miała w myśli i sercu tak podłego

że się do tego przyznać nie śmiała. Łatwo ją było o wszystko posądzić, bo: nie dbając o nic, znikwała często, niewiedziono gdzie się podziewała, prawili ludzie co chcieli.

Dziewncha była jak koń dziki, co uzdy nie nczuł nigdy, ale gdy się komu nśmiechnęła, każdy by był za nią życie dał.

Dobrze już słońce podeszło na niebie, gwar w podwórzach rosnął, Jagna co się była w okolicy, na lasy zapatrzyła, zbudziła się dopiero, obejrzała do koła, postyszała że się życie brało na dworcu i powoli zeszła z wałów.

Wprost z łąk ciągnęła do ojca.

Stary się budził nierychło, często dobrze po wschodzie, bo po nocach sen go nie brał, późno zasypiał, musiał potem na dzień zachwyć. —

Naówczas, gdy na wyrostka, który legiwał n progu w dłonie klasnął, bo głos miał mały i krzyczeć nie mógł, szedł Szurka zaraz okienniczkę w głowach pańskich odsunąć, aby do izby światło weszło i powietrze.

Potem, zimą czy latem ogień mu rozpalano, bo bez niego żyć nie mógł. Dawali mu wodę do umycia i ręczniki, a tuż i polewkę z mięsem niosła albo stara mamka Jagny Wierucha, albo i ona sama, jeśli była w domu i pogotowiu. —

Miał stary psy ulubione, które wówczas wpadały do niego, bo nocą za drzwiami z Szurką legały. Czasem potem włodarz przychodził, czasem

się gość zjawił i — ot tyle; dzień się poczynął, który potem włókł się różnie, najczęściej długo a nudno, jeżeli Jagny nie było, a pora nie dozwalała starego wynieść pod lipy, na przyżbę, albo gdzie mu się zamarzyło.

Jagna ku dworowi podchodziła gdy już Wierucha miskę staremu niosła, skinęła na nią milcząc aby ją oddała i sama niosąc do izby weszła ojcowskieję.

Stary właśnie pacierze mówił, bo człek był pobożny jak wszyscy rycerze Krzywousty, pana który bez modlitwy nie wojował a Bogu więcej służył niż światu. Towarzysze jego moc modlitw i pieśni na pamięć się w obozach ponaczali, bo je tam codziennie wieczór i rano czytano, odnawiano, śpiewano.

Zobaczywszy córkę Seibor prędko dokończył służbę Bożą, przeczegnął się, usta mu się do niej uśmiechnęły, ręce drżące wyciągnął i zaszeptał tylko.

— Moja ty! moja!

Ona też uśmiechnęła mu się, ale tak smutnie że już wiedział, iż dzień będzie nie wesoly. Postawiła misę na ławie, uklękła przy starym, a gdy on głowę jej obejmował całując, ona po rękach go całowała. Nie rzekli do siebie nic. Wstała potem i misę mu z ręcznikiem postawiła na kolana, aby pożywał wygodnie.

On patrzył tylko na nią i jeść mu się już nie-

chciało. Starzec był, choć wychudły, pożółkły, choć porąbany i posieczony, a bliznami czerwonymi jak pręgami poprzepasywany — pięknego oblicza. Skóra na nim przyległa do kości, a sucha twarz rysy miała pańskie i jasne. Orli nos nad nią panował, kształtny, ruchomy w nozdrzach jak u córki, oczy nad nim choć zbladłe jeszcze bystro patrzyły. Pierś miał wpadłą ale szeroką, ramiona wychudłe sterczały pokazując jakim był niegdyś, póki nie wysechł na szczapę. Siedząc w tym mrokn choć żółkły, wybielał też razem, włosów reszta srebrna śniegiem odbijała od lica. Gdy sam pozostał, twarz tę całą obejmowała zaduma i smutek, występowały fałdy na czole i przy ustach; gdy córkę miał u boku, miłość wielką go rozpromieniała i był nią jakby ubłogosławiony.

Wojak stary a zuchwaly niegdyś, teraz nad wszystko pokój cenil i niemogące walczyć rad go był okupić choć drogo. Pragnął go może więcej dla córki jak dla siebie.

— Ptaszę ty moje, --- odezwał się cicho — cóżes to tak rano z gniazda się ruszyła?

Jagna potrząsa główką, nie odpowiedziała nie.

— A dzień tam jaki? — zapytał Scibor — widzę z okna że już słonko dokazuje. Ho! ho! wiadoma to rzecz, kiedy zawczasu jasno wnijdzie na potém pewna burza lub ślota..

— Ranek był długo pochniurny — odparła Jagna — na pogodę ptactwo śpiewa.

— A ty jak? — zapytał stary.

— Ja? albo mi się pogoda na co zdała? szepnęło dziewczę — mnie z tém jedno pogoda czy słońce. Czasem gdy pioruny biją to mi rzeźwić i rażnić.

Starzec jeść zaczynał, rękę podniósł, głowę potrząsnął. Psy siedzące nieopodal przypominały mu się skomlące i pomrukujące.

— Burza — począł zamyślony jakby sam do siebie Scibor — pod dachem to nie. Bóg broni od niej i krzyż święty. Na łowach w lesie to tam mniejsza; a niedaj Boże z nią na pobojuwisku się spotkać. Pomnę to, gdyśmy raz na Ruś ciągnęli z panem naszym i, wśród zaciętego boju, pan Bóg też swe strzały sypać na nas zaczął, padł grad jak jaja gołębie i pioruny leciały jak słupy ogniste. Stało się naówczas żeśmy wszyscy o bitwie zapomnieli, a Ruś korzystając z tego, uszła nam, aniśmy się spostrzegli. Naówczas, tuż obok mnie Niemirę piorun zwałił z koniem, że się na nim odzież zapaliła. Ten już nie wstał, a mnie ogłuszyło tylko na czas długi. Nie wzwolywać ognia Bożego!

— Jam to na wojnie nie bywała — smutnie się uśmiechając odpowiedziało dziewczę — a w lesie gdy na łowach burza napadła, pięknie z nią było! Tylko patrzeć a dziwować się! Co palnie

piornu w sosnę to się pali i gore jako jedno luczwo! Co nderzy w dąb to rozplata korę aż do ziemi, co się zsunie po jodle to we zlocie stanie cala. Raz mi koń ze strachu na kolana padł, żem go ledwie podźwignęła. Dopieroż gdy spalone drzewa z traskiem i hukiem walić się zaczęły a iskrami sypać dokola jak deszczem ognistym!!

Mówiła tak a stary z łyżką stygnącą, którą do ust niósł a donieść zapomniiał, słuchał zapatrzonej w nią, jeżeli nie mowy to głosu.

— Eh! ty, — rzekł w końcu — ty Jagno szalona jakaś, tyś się nie do podwiki a na rycerstwo rodziła, w tobie mój duch gra, taki jaki we mnie dawniej bywał! Gdybyś mogła wojakiem być, nie byłoby nad cię dzielniejszego. Prawda że na niewiastę zachwalości tej do zbytku.

— Bóg mi taką dał być! — odparło dziewczę spokojnie — radzić trudno, strzymywać się nie umiem.

— Tybyś inną też być nie chciała — zaśmiał się stary.

I poczał zajaść chciwie, jak to czasem starzy umieją, którym że pokarm siły nie daje, tём więcej zdają się go pragnąć. Jagna patrzała wedle zwyczajn swego ręce założywszy na pierśsiach. Miała bowiem i ten dziewczynie nie przystojny nalóg, że gdy się zadumywała, gdy na czole jej chmurném pręga występowała między

brwiami dwiema, ręce się jej same pod piersią składały i wiązały u pasa.

Ze starca potem wzrok pokierowała na okno otwarte, przez które nie widać nie było krom kawałka światłości dziennęj. Na krawędzi okna dwa psy stróżę, których do izby nie puszczano pokładły mordy kosmate jadło czując i ku państwu poglądając.

— Wiesz, — rzekł stary kość biorąc w ręce, bo cmoknąć je i wysysać lubił — wiesz ty Jagno kto mi się dzisiaj śnił w nocy? He? Śnił mi się ktoś, a to pewna że ja stary niewam sny takie, iż mi się zawsze wyśni kto się do mnie zbliża. Ot, jakoś dusza czuje co do niej idzie.

— Ale kogożeście to wyśnili! — zapytała Jagna obojętnie.

Scibor popatrzał na nią smutnemi oczyma.

— Kogo! kogo! — powtórzył — albo to tobie co po kim? albo to ci miłszy jeden niż drugi? Żebym wiedział kto ci upodobany, Boże odpuść, czasami bym go tu gotów ściągnąć.

Rozśmiała się Jagna pół ustami, ale brwi zostały zmarszczone.

— A co mi tam po nich? — poczęła ręce zaciskając mocniej jeszcze — Po co oni tu jeżdżą, ten i ów? Ten kogobym ja mieć chciała i czary go tu nie ściągną!!

Jagnie oczy zabłyśły żywo.

— A kogożbyś ty mieć chciała? — zapytał podechwytnąjąc — kogo?

Złapane za słowo dziewczę usta podniosło, głową potrząsnęło.

— E! nikogo! nikogo! — odparła pół głosem.

Stary westchnął. Któż to ci się śnił mój ojciec? dodała zaraz.

— A co ci potém, choćbyś się dowiedziała — rzekł Scibor, — Tyle wiem że — pomnisz go? nie? — Stach z Konar pewno przyjedzie! Dawno, dawnom go nie widział. Po co on tu miałby przybyć? nie wiem, a choćbym się i domyślał, mówić nie nam potrzeby.

Znown spojrział na córkę, której rumieniec żywy na twarz wypłynął gdy imię Stacha posłyszala.

— Stach z Konar! — zawołała nagle zżymnąwszy się cała — Stach z Konar! Wiem! niecierpię go!!

— Toć mi nie tajno! — odparł stary.

— Stach z Konar! — ciągnęła dalej Jagna — a toć nie ma człowieka w świecie, któryby mi nienawistniejszym był nad niego.

Zamilkł Scibor.

— Stach z Konar! — powtórzyła raz jeszcze — Zbój ten niepocziwy.

— E! e! — przerwał stary — za cóż go to zbójem i nieponiem zwiesz! za co?

— Alboż nie wiecie? — z oburzeniem odparła Jagna.

— Juści się dorozumiewam — mówił ojciec. Jeszcze ci pewno w pamięci owa przygoda którą z księciem Kaźmierzem miał za młodu. A toć sam książę dawno o tém zapomniał i przebaczył mu wspaniałomyślnie a biedaczysko za winę odpokutowało sownie.

— Odpokutował! — wtrąciła gniewnie miotając się dziewczyna — Głowę, głowę za to powinien był dać. Im lepszym i wspaniałomyślniejszym dla niego pan się okazał, tém on winniejsz! Sądziłi go wówczas na rozszarpanie kołmi i jabym go była na kawały rozerwać dała, bo żyć nie wart! nie wart!

Stary wzdrygnął się posłyszawszy mowę córki.

— Jagno! — zawołał — Jagno! tyś niesprawiedliwa! Boże ci odpuść. Posłuchaj mnie starego. Ja téż panów naszych kocham, a księcia Kaźmierza i Henryka nieboszczyka, miłowałem więcéj nad wszystkich. Aleś ty spełna téj sprawy nieświadoma, a katem byś zaraz mn być chciała.

— I byłabym była — odezwiała się Jagna porywezo, podnosząc złożone pięści do góry — i lebbý dał!

— Więc posłuchajno, ty zła moja Jagno jakaś — odezwał się zwracając ku niej stary. — Znać żeś dobrze nie znała sprawy, a ludzie pletli nie do rzeczy.

— O! wiem ci ja dobrze jak było! — odparło dziewczę.

— A ja lepiej wiem niż ty — rzekł stary uparcie — Gdy raz się o tém zgadalo, musisz posłuchać.

Potrząsała głową Jagna i zapatrzyła się w okno, ale obojętność jej ojcu ust nie zamknęła.

— Ot jak było! — mówił Ścibor. Ot i, że Kaźmierz bardzo młodym naówczas był, Stach też, bo są równo latki, należał do jego dwora, jako rówieśnicy bawili się zwykle razem.

— A tak! — wtrąciła dziewczyna — zabawiali się — książę go przez łaskę do osoby swój przypuścił, a ón, jak pies któremu drzwi do izby otworzą, wnet chciał po niej plądrować i paskudzić.

Stary ścierpiawszy przerwanie, mówił dalej.

— Ot jak było. Młodzi zwyczajnie młodzi, czémże się zabawiać mieli. Pili oba. Pil książę Kaźmierz i dolewał Stachowi, aż się obu we łbach zakręciło. Więc kośmi rznać zaczęli. — A po co było królewskiemu synowi z łada dworzaniem i z służbą tak się poufalić, dać mu z sobą siadać na równi i po pijanemu kosterzyć?

Oczy Jagny palily się z gniewu słuchając, ale ojciec ożywiwszy się mówić i wygadać się potrzebował.

— Stawił królewicz, stawil i Staszek co miał. kości na przemiany to jednemu to drugiemu

sześćście dawały. W tém Stachowi poczęło iść
lieho a lieho. Co rzucił kości przegrywał. Pijany
rozzum nie ma, stawiał więc wszystko aż do pasa,
łańcucha, pierścieni, a w ostatku zgrawszy się
ojcowiznę któremuś z rycerzy co świadkami byli
złożył za sumnę wielką, aby grać dalej. Znać
mu dobrze w głowie szumiało, bo zgrawszy się
co miał srebra na kupę zsunął ważąc wszystkie
na kość jedną.

Na księcia Kaźmierza kolej rzucać wypadała,
cisnął tedy i tyle ok wyrzucił ile ich na kościach
było. Wygrywał więc mu ostatnią koszulę. Z roz-
paczy Stach ojcowiznę i część tracąc, podniósłszy
się, nieprzytomny policzek dał księciu.

Jaga krzyknęła z oburzenia.

— A nie powinienże był wisieć tej godziny!

— wyrwało się jej z ust.

— Na krzyk przytomnych, mówił dalej Ści-
bor — nie czekał też Stach wyroku ni sądu, od
stołu skoczywszy dopadł konia i uchodził.

Puścili się za nim wnet w pogoń drudzy i zwią-
zanego przyprowadzili do sądu. Krzyczał kto żył,
wołał wszyscy aby go końmi szarpano, głowę
mu odcięto, rękę odrabano i palono. Tu dopiero
królewicz się okazał jakim był i jest.

— Okazał się prawie świętym i wielkim —
zawołała Jagna z zapalem.

— Tak — potwierdził ojciec — bo sam wy-
stąpił spokojny, otrzczwiony, upokorzony w obro-

nie winowajcy. Nie on winien — rzekł — ale ja. Mnie kara zasłużona spotkała, żem się w grę niepoczeiwą wdał z nieprzytomnym. Łacniej jemu przebaczyć, który z rozpacz y że wszystko postradał zmysły też utracił, niżeli mnie com krwi swój, powagi i dostojęństwa nie szanował.

A tak owego Stacha wolno puszczone, królewicz mu wygraną nazad wrócić przykazał, jedno to z sądu zatrzymawszy aby mu się Stach więcej na oczy nie śmiał okazywać.

— Jakże więc — podchwyciła dziewczyna — i powiecie, że obraza takiego męża, który z nadludzką pokorą winę darował, siebie obwinił, nie jest najokropniejszą zbrodnią? Cóż gdy się kto na świętość w oltarzu targnie, albo mu ręk nie obeinają, na stosie go nie palą?

— Ależ słuchaj, dziecko ty gniewne, kotko ty moja drapieżna — rzekł starzec spokojnie. — Stach się stał przcz to na cale swe życie nieszczęśliwym, bo tego pana jak kochał wprzód tak umiłował od tój godziny stokroć więcej i za niego by był gotów krew przelać, tęskni do niego, nóg jego pokntę radby sprawiać, a wygnanym jest na wieki z przed oczów tego, którego kocha.

— O tego mało! mało! — odezwała się Jagna.

— Niema Książę Kaźmierz, ja to wiem, — ciągnął Scibor, — niema sługi, przyjaciela, niewolnika wierniejszego nad niego. O tém do dziś

dnia albo nikt lub mało kto wie, że Stach potajemnie ciągle nad Kaźmierzem czuwa, jak pies stoi na straży, obrania go, a ani mu się pokazać na oczy, ani mu o tém dać wiadomości nie może. . Taki los tego człowieka!

— Dobrze mu tak! choćby całe i najdłuższe życie miał się męczyć i przepadać — podchwyciła niezmiękczona Jagna — o! dobrze mu tak! Litości nie wart! zbrodzień jest! mała to kara dla zbroja!

— Zawinił ci, prawda, — westchnął Seibor — ależ Kaźmierza przez to wywyższył, przez niego wiedzą dziś ludzie, jakie ten pan ma serce i pokochali i poszanowali nad wszystkich pono jego braci.

— Bo godzien jest tego — przerwała Jagna — bo nie tylko między jego bracią, ale na całym świecie drugiego takiego nie ma jak on!

Domawiała tych słów gdy chłopak wszedł do izby i u wrot się trąbka ozwała.

— Oto i mój sen! — zawołał Seibor.

Jagna zerwała się szybko, spojrzała na ojca i zbiegła co prędzej drzwi zatraskując za sobą, kryjąc się do izby swojej.

Chłopak Stacha z Konar oznajmił po cichu.

II.

Stach z Konar był tu niegdyś znanym za swych lat młodszych. Ojciec jego Żyrośław wojował razem ze Sciborem, dalekie jakieś łączyło ich powinowactwo przez żony; syn też dzieckiem bywał czasem w Sciborzycach, ale po owym nieszczęsnym policzku gdy się go wyrzekli wszyscy i on nikomu nie śmiał już pokazać oczów.

Tułał się kędyś, niewiadomo było co się z nim działo, nikt nawet o niego nie spytał. Młodszy synowie Krzywoustego, Henryk i Kaźmierz mieli wielką miłość u ludzi, oburzyło zuchwalstwo wyrostka wszystkich, a choć z życiem ująć mu dano, nikt go znać po tém nie chciał.

Stary Scibor który był ojca przyjacielem, dziś ostyglejszy, winę młodzieńczą jeżeli nie rozgrzeszał to tłumaczył. Tęsknił trochę za biednym potępio-

nym, żal mu go było, dziwił się że przez lat tyle nie szukał u niego ani rady, ani pomocy, ani pociechy. Myślał często o nim i to mu może poddało sen ów proroczy.

Jagna od bardzo dawna tego zuienawidzonego i wyklętego nie oglądała, zapomniiała o nim, stał się jej zupełnie obcym. Mało się i dawniej znali.

I teraz, gdy oznajmiono jego przybycie, nie chciała go widzieć ani się z nim spotkać i być widzianą, uciekła. Ciekawość jednak niewieścia podzegała ją do zobaczenia jak też ten zbrodzień wyglądał.

Obok izby Scibora, przez ścianę tylko od niej była komnatka Jagny, świetlica do której wszedłszy trudno odgadnąć było, kto tu mieszkał, niewiasta, dziewczka czy młokos. W najdziwniejszym nieładzie rozstawione były sprzęty osobliwie dobrane. Na ścianach wisiały i niewieście stroje i męskie suknie a oręż. Rogi i łuki, chusty piękne i przyodziewki razem się z sobą mieszały. Na krośnach rozpoczętych leżał kołczan ze strzałami, na kądzieli zawieszony sterczał kołpaczek, kwiatki stały po oknach a przy nich toporki. W kącie twarde posłańko jakby męskie, skórąmi pokryte, zmięte świadczyło, że pani na niem często i dniem spoczywała. Posłanie to przypierało do ściany przy której sypiał z drugiej strony ojciec. Okno w nią z zasuwą dozwalało dzie-

wieczem nocą, gdy stary jęknął, wnet doń wyjrzeć, spytać czego chciał i biedz mu na usługi. Nieraz gdy Seibor mocniej w nocy chrapał tylko a Jagna nie spała, zwolna odsuwała okienniczkę, przysłuchując się ciężkiemu ojca oddechowi. Jagna kochała go jak on ją — duszą całą. Teraz ta okienniczka wpadła jej w oko z pokusą zajrzenia przez nią na niepoczciwego Stacha, którego tak nienawidziła. Nie było nic łatwiejszego nad odsunięcie deszczki nieznaczne i zajrzenie przez szparę a podsłuchanie rozmowy. Chciała wiedzieć z czém przybywał aby ojca nie dać więcej balamucić, gdy i tak słabość okazywał dla niego. Ukłękła więc ostróżnie na ławie, a że okienniczka znalazła się już nieco przesuniętą, mogła natychmiast oko przyłożyć do szpary. .

W tej chwili właśnie zapowiedziany Staszek wchodził do izby Seibora nieśmiało i po cichu, oko Jagny wprost nań padło.

Był to dosyć piękny, młody jeszcze mężczyzna, który jak książę Kaźmierz zdawał się mieć lat trzydzieści kilka, ale twarz zdradzała przebyte cierpienia. Słusznego wzrostu, głowę miał nieco małą na barki szerokie, twarz ogorzałą mocno, ale rysów szlachetnych. Świeciły w niej oczy czarne ogromne dość głęboko pod łukiem brwi osadzone, trochę dziko biegające i jakby wyłkłe.

Mała bródka okrywała mu dół twarzy, a wąs

ciemny wargę z pod której rząd białych zębów jasnym paskiem wyglądał. W sprzeczności z obliczem młodem było czoło pofalowane i wyraz całej postaci malował w tej chwili niepokój, smutek, upokorzenie.

Ubiór miał skromny, ciemny, tak, że nie łatwo po nim poznać było do jakiego stanu należał, tylko dumna postawa, ruchy rażne i śmiałe mimo zakłopotania, okazywały wojaka i człowieka co rozkazywać był nawykły. Wszedłszy Staszek przystanął chwilę nieopodal od progu, spojrzął na Scibora, jakby chciał zbadać jak go przyjmie, nie pewien jeszcze czy mu dozwoli przystąpić do siebie czy precz odegna.

W rękach obu trzymał kołpaczek pogotowiu, a włosy z pod niego się dobywszy długimi i gęstymi puklami ciemnymi spadały mu na ramiona.

Inaczej pewnie tego niepoczeiwego zbója Jagna sobie wystawiać musiała, bo zdziwienie odmalowało się na jej twarzy i baczniej do szpary przyległszy przypatrywać mu się zaczęła. Zdziwil ją — tém szczególniej, że był onieśmielony, że oczyma strzelał tak bojaźliwie i niepokojnie. Może się w nim zuchwalca spodziewała.

Scibor zobaczywszy go wchodzącego, rękę ku niemu litościwie wyciągnął — nie mówiąc nic. Dość było tego aby zdiczalego Stacha ośmielić,

podszedł wzruszony widocznie zgiął się i przypadłszy do ręki starca, chwycił ją namiętnie ściskając i całując. Znać było, że go ta dobroć Scibora, jakiej nie doświadczył od nikogo, głęboko przejęła. Staremu lzy się w oczach zakręciły.

Na twarz Jagny wystąpił rumieniec oburzenia — miała ojcu za złe tę czułość.

Nastawiła ucha, ale nierychło głos posłyszala, bo się nie zebrali zaraz na słowa.

Stach gdyby się nie wstydzil, z wdzięczności rozplakalby się może choć mężnym był a bieda go twardym uczyniła.

Scibor na ławę wskazał tuż obok jego łóża stojącą, a trzeba jej było Stachowi, bo ledwie się z ziemi podnieść mógł. Padł na nią, oczy sobie dłońmi zakrył i milczał.

Scibor mu się oczyma osłabłemu pilno z blizka przyglądał.

— Hej! hej! — począł z cicha — Stachu, co się to z ciebie zrobiło! Jakżem ja ciebie nie widział dawno..

— Bom ja tu pokazać się nie śmiał — westchnął przybyły, — ani tu ani gdziekolwiek między ludźmi. Wszysecy się mnie zaparli. Upłynęło już lat tyle a ja jeszcze przeklon na sobie noszę i będę go nosił do śmierci.

Mówił głosem przerywanym i słabym.

— Cóż się z tobą działo? co dzieje? — zapytał Scibor.

— Albo to opowiedzieć można — zaczął Stach — albo ja sam wiem co było ze mną? Ani policzę ani opiszę com wycierpiał! Gdy mię łaska pana Kaźmierzowa życiem obdarzyła i swobodą, gdy mię rozwiązali i puścili, poszedłem jak szalony skryć się w lasy, niewiedząc co uczynić z sobą.

Chciałem umierać; potem inne myśli przystąpiły. Zawróciłem do Konar. Tu ojca starego zastałem który na wieść o mojem nieszczęściu miał mnie za zginionego i ze wstydu a bólu konał. Gdym głodny i pół żywy padł u jego łóża, pełnał mnie tylko od siebie i życia w nim już nie stało.

Żem naówczas nie oszalał — mówił Stach dalej — A! oszalałem ci, tylko mi pomsta Boża rozum wróciła abym czuł com za zbrodnię popełnił.

Jak ojciec tak wszyscy się odwrócili odemnie. Młodszy bracia znać nie chcieli żem im zakałę uczynił, wzbronili się do siebie zbliżać bratanki. Nikt z rycerstwa stać ze mną nie chciał, nikt się nie siadł za stół, ani pić ani jeść, gnano mnie ze wsząd.

— Idź na skrócenie karku! Musiałem precz, sam niewiedząc dokąd. Zabrawszy trochę srebra powlokłem się na Ruś do Halicza, potem po innych dworach kniaziów, aż do Kijowa i Nowogrodu. Imieniam się swego musiał zaprzecć i słu-

żyć pod cudzēm. Śmierci szukałem, ale znaleźć jej trudno bez woli Bożej. A tu i tęsknica smagać mnie poczęła, choćby przyszło ginać, napowrót do Konar, do swoich. Wytrzymać u obcych było trudno, choć na niczēm tam nie zbywało, bodaj szyję dać, musiałem wracać do domu. Wróciłem myśląc, że mnie jedni zapomnieli i drudzy nie poznają. Tak się i stało. W Konarach pustki były, włodarz się na nich pasł tylko, bo bracia niechcieli się tykać póki by o śmierci mej nie wiedzieli dowodnie. Wziąłem moją majątność i zamknąłem się w niej myśląc jak tu żyć żeby się życiem nie stracić.

Najwięcej mnie to gryzło, dniem i nocą chodząc po głowie żom panu Kaźmierzowi zawdzięczyć tego nie mógł, iż był dla mnie tak świętym a dobrotliwym. Chciałem mój grzech odpokutować, aby na przebaczenie zasłużyć, pójść choćby za parobka do niego, a życie darowane okupić czémś...

Zabrakło głosu Stachowi i oczy sobie zakrył, pomilezał i po małym przestanku ciągnął dalej, śmielęj coraz.

— Cóż mam przed tobą, ojeze miłościwy, tać — uderzył się w pierś suknię na nią targając — co się mam kryć? Służyłem i służę panu Kaźmierzowi potajemnie, choć on niewie o mnie, płacę mój dług, to moje życie, moja pokuta, moje wszystko!

Scibor nań popatrzał zdumiony nieco i wzruszony.

— Co ci we łbie Stachu, — odparł upamiętywając go — a na co ty się jemu zdać możesz? jak ty mu służysz, kiedy nie masz prawa na oczy się pokazywać?

— A! tak ci jest na oczy mu się pokazać nie mogę, bom ja dlań polieczkiem! Póki życia mu się ani dam widzieć, ni wiedzieć o sobie. Tak ci jest, ale i zdala coś uczynić można, jam dziś tak zmieniony, że mnie rodzeni nie poznają bracia, choć by mnie zobaczył zdala — nie pozna i on! Poznaliżbyście wy mnie, ojcze, gdybym się wam nie oznajmiał kim jestem?

— Pewno, nie — odparł Scibor — bieda i wick cię zmieniły strasznie — ale moje stare oczy!! ufać w to nie można, że cię nie poznają. Ty się sam zdradzić możesz.

— A ja wam się przyznam — szepnął półgębkiem Stach — co mam kłamać, żem ja już nie jeden raz był blisko niego, widział mnie choć kryć się starałem, patrzył i nie poznał.

— Jak cię kto wyda, głowę dasz! — odparł Scibor z politowaniem.

— To dam — rzekł Stach powoli i dobitnie — to dam, albo mi to ona i tak nie cięży? Co mi po niej? Czegoż ja w życiu jeszcze mam się spodziewać dla siebie? Nie obmyję się choćby krwią własną. Głowę potrząst rozpaczliwie.

Gdy potém trochę pomilczeli, Scibor, który szczerst usłyszał za okienniczką, rzucił na nią okiem z ukosa i głos zniżył pochylając się do Stacha.

— A no, mów z czém przyszedłeś do mnie?

— Z czém? z bolem i z żalem — zawołał Stach — poskarżyć się, wynurzyć! Myślałem, poprobuję czy i ten mnie popelnie, a nie to choć przed nim usta otworzę, serce rozkryję, powiem co za pazuchą jak kamień mi ciąży, bo niemam się zwierzyć komu.

Scibor zdziwiony popatrzał nań, jakby nie rozumiał co Stach kryć, co wyznać i powiedzieć może więcéj. Tym czasem jemu oczy błyskały dumnie i usta się krzywiły od jakiegoś wzruszenia.

— Prawda, — mówił — żem ja dziś robak na pół zgnieciony, żem ja proch i nędza, a no i mały i najmniejszy cós może, kiedy tak bardzo chce jak ja — Bóg świadek!

Scibor ciągle z otwartemi usty słuchał coraz bardziéj zdumiony, myśląc co ten biedny człowiek uczynić może. Stach na ławie kręcił się, jakby go piekło, ruszał się, wstawał, siadał, włosy rękami rozrzynał, wasy targał, odzież na sobie ciągnął. Widać w nim było człowieka co się dawno nie mógł wygadać z tém co miał w duszy, a teraz mu się razem wszystko do ust cisnęło. Z piersi jego dobywały się tłumnie łkania, głosy,

westelnienia niezrozumiale, jakby nadmiar ich go dusił.

— Jakbym ja wam zaczął opowiadać wszystko com uczynił, co robię, wzięlibyście mnie może za kłamcę! — zawołał.

A cóż, kto mógł być takim jak ja zbójcem, ten i łgaczem być może? Jam już nawykł wszystko dźwigać na ramionach, co mi rzucą na nie!

— No, gadajże — przerwał Scibor — cożes to zrobił?

— Jakem umiał takem pokutę odprawiał — począł Stach. — O! mała to była chwila, w której człek zapomniawszy się, oszalawszy ręce podniósł na świętego młodzieńca. Szatan opętał! A za tę chwilę, ot ile lat zgryzot mnie męczy!

Scibor na łokcin się sparsłszy, blade oczy wlepił weń i słuchał.

— Com robił powiedzieć trudno — ciągnął Stach — służyłem mu skrycie, bronilem go, stróżowałem nad nim, dawałem mu życie i daję i dawać będę aż — zdechnę.

— Gdzież? co? — zapytał trochę niecierpliwie stary.

Zawahał się z odpowiedzią Stach i włosy na głowie targać począł.

— Nie uwierzcie — rzekł — byłem u niego parobkiem przy koniach, aby imo patrzeć i stróżować. — Ani mnie znał ani wiedział o mnie. Com robił? Oto gdzie było największe niebez-

prezeństwo stałem za nim w gotowości, choć male czlecze, mozem ja i niemalo dokonał! Zawahał się znouu.

— Trudno wszystko gadać, — dodał — czyż to wy nie znacie losu pana Kaźmierza? Dziś on, dzięki Bogu na Sandomirzu książe i pan. Nie wiecie co było gdy Krzywousty umierał?

Chłopię zostało u nieboszczki pani roczniaczkiem na kolanach, w pieluchach. Przyszło dzielić, panowie Biskupi radzili, ziemi dla niego nie stało. Nieboszczyk król, panie mu świeć, gdy ową swą wolę ostatnią dogorywając powiadał do pisania, nie spełnia już wiedział co czynił. Myślał może iż Kaźmierz do klasztoru pójdzie jak córka — a może? kto wie? Gdy go pytano jakby nieprzytomny odpowiadał. Mówił o czterech rzekach, czterech synach i o wiadrze złotem, o czterech kołach i o wozie. Nikt go nierozumiał. Dość, że dla Kaźmierza ziemi nie stało. Chował się przy braciach, przy Bolku, przy Mieszkę, na łasce jak sierota bezdomny. Henryk się wybrał z krzyżem do ziemi Świętej, on był jeszcze nie dorósł, iść z nim nie mógł. Dał go Kędzierzawemu, ten tylko że go uczyć kazał jakby na księdza. Rycerskiego tyle co sam chciał pochwycił. Karmili go pargaminami i modlitwą. Przecie się nie popsuł.

Pamiętaicie ową chwilę złą gdy Cesarz niemiecki wtargnął do nas, a nie było sposobu mu

się obronić. W Kargowie przyszło przed nim pokorę odprawiać.

Rudobrodemu nie bardzo się chciało iść na puste ziemie za cudzą sprawę — stawał pokój obrzydły. Zażądał Cesarz zakładników. Kogo dać? Nie myśleli długo, dali Rudobrodemu Kaźmierza na przepadle imię.

— Toć wiem — mruknął Scibor.

— A któż tego nie wie? — mówił Stach dalej — ale tego wy nie wiecie i niewie nikt, żem ja tam lichym służką był z Bolkiem w Kargowie gdy tę nieszczęsną pokorę, boso odprawiać musiał, z mieczem u szyi, a brata wrogowi dać. Byłem ci tam i serce mi się krajało, co za dola spotka biednego Kaźmierza.

Gdy go wydawali płaczącego ze sromu i trwogi Rudobrodemu, jam dobrowolnie pacholkiem poszedł za nim. Myślałem sobie, życie dam gdyby na niego nastawali.

Dziwy naówczas prawili o Rudobrodym jakoby ludzi jadł a krwią popijał. A no co miało być zgubą pan Bóg na łaskę obrócił. Wydali brata jako na rzeź, a stało się, że mu niewola u Cesarza była wychowaniem i nauką.

Sześć lat byliśmy ja i on na Cesarskim dworze, jako w szkole. Ja com zdala patrzył na tego strasznego pana, przed którym drżało wszystko, powiem tylko jedno, że sprawiedliwym był i księcia naszego sprawiedliwości nauczył. Cesarz to

chłopię bardzo polubił i nie dał mu długo nad Renem u dziada Wichfyrdowego siedzieć, wodził go z sobą na wyprawy. Było na co patrzeć. Uczyliśmy się świata i obyczaju wszelakiego na dworze, między rycerstwem i duchownymi, choć ja na to tylko ze stajni poglądałem.

— Nie widział że was książę? — zapytał Seibor.

— Nie, prawie, hom ja widzianym być nie chciał — rzekł Stach — choć u jego namiotu, u drzwi izby nikt na straży nie sypiał i uo ja.

Uśmiechnął się dumnie Stach. — Możem ja mu też nie jeden raz życie ocalił, zbudził, ostrzegł, ale zawsze tak aby inny za mnie to zrobił.

Zaraz potem gdy nas w Kargowie zabrano, Cesarz ruszył na Włochy. Ciągnęli i my z nim. Rudobrody pono sam mawiał do Kaźmierza. Patrzaj a słuchaj, ucz się, nie stracisz czasu u mnie.

Prawda że ani rycerzy dzielnych na dworze jego, ani pralatów i uczonych nie brakło. Ciągnęliśmy tłumem wielkim na zniszczone miasta, Karynty, Szwaby, Burgundy, Sasy..

Może we sto tysięcy darliśmy się przez okrutne góry na południe, aż pod wielki gród Milan, który opór stawiał żeśmy go głodem brać musieli. W obozie, gdyśmy mury jego opasywali, tyle prawie było duchownych co starszyzny rycerskiej,

wieczorami i dniami przy spoczynku było się czego nasłuchać. Rudobrody z nieczonemi zasiadał co mu ich zewsząd zwoził, rozkładali księgi ogromne i z nich prawa mu wykładali, a on i drudzy uczyli się.

Tam to nasz książę nabrał wielkiej do ksiąg miłości, do ludzi mądrych i do wszelkiego dobra. U Rudobrodego na wargach nie było nic jeno sprawiedliwość. Srogi nie był z natury, ale jak miecz Boży nieubłagany.

Kiedysmy onego Milanu dobyli pierwszy raz patrzałem się i ja na to jak rycerstwo tamtejsze boso szło, z głowy odkrytymi, miecze w ręku niosąc do przysięgi; prosty lud z postronkami na szyi — na wozach chorągwie.

Nasz pan to się wszystkim przypatrywał sprawom, to z większą jeszcze miłością podслуchiwał gdy przyszły narady nad prawem, które nieczui pisali dla zwyciężonych. Gdy poszli unawiać się o to, a czytać a rozprawiać, on tam wciąż stał i słuchał, że go z pod namiotu wywołać było trudno.

Co my to tam przeżyli i przebyli!

Zbuntował się potem drugi raz ten gród ogromny, podatki płacić i pańskich urzęduików słuchać nie chciał, musieliśmy iść nań po raz drugi. Cesarz kazał palić i niszczyć bez miłosierdzia, mówiąc, że posłuch musi być! Oglodziliśmy miasto po raz wtóry — ścisnęli a nie było dlań ra-

tułku.. Wyszedt lud i urzęduicy z grodu w pokutniczych szatach, z krzyżem poprzód, padając do nóg Cesarzowi. Sto chorągwi rzucili mu pod stopy żebrząc zmiłowania. Cesarz nie rzekł nic zrazu, ani groził, ni przebaczał. Dziesięć dni ich zostawiwszy w niepewności i trwodze, potem ludowi życie darował, a gród z ziemią zrównano, że jeden Kościół Ś. Ambrożego ocalał.

Poczęło się na téj ziemi piekło srogie a pomsta straszna. Na tośmy patrzali z panem naszym.. Tak nam tam sześć lat upłynęło, aż księcia nazad odesłano, a jam za nim z końmi pociągnął. Żył jeszcze naówczas Henryk, który téż był świata za morzami widział wiele, bo krzyż włożywszy szedt z niemcami i francuzami do ziemi świętej, ale mu się i im nie wiodło, a mówiono, że królowa francuzka płocha bardzo, przyczyną była niebłogosławieństwa Bożego. Henryk z Jaksą z Miechowa powrócili cali i mnichów z sobą przyprowadzili.

— Trzeba to było widzieć, — mówił Stach dalej. — Kiedyśmy nazad z niewoli powracali, jak Henryk nam drogę zabiegał, brata najmilszego ze łzami, gdyby straconego i zmartwychwstałego witając.

Widać było naówczas, że ci dwaj młodszy z sobą zbratani są jako najserdeczniej, jedna w nich była dusza. Żyli z sobą spolem, nieodstępując

jeden od drugiego, a co jeden chciał oba czytali.

Jam na to patrzył.

— Cóż! — przerwał Scibor z uśmiechem — zawsze ze stajni?

Rzekł to jakby z niedowierzaniem.

— Ojcie — rzekł Stach poczuwszy niewiarę — szycie sobie ze mnie, widzę, sądzicie że kłamie — A no tak było, odprawiałem pokutę i w stajni i różnie, Bóg świadek, prawda co mówię. Byłem i u koni i pod chorągwią, alem się poznać nie dał..

Toć wiecie że jak Henryk tak Kazmierz oba naówczas nie żonaci byli a żenić się nie chcieli. Różnie o tem mówiono, — dodał Stach — głos zniżając, Henryk krzyż nosił i o zakonie pono rycerskim myślał, więc się wiązać nie mógł a mój pan —

— Lndzie powiadali — szepnął cicho bardzo Scibor — że ten od podwiki nie uciekał..

— Tego ja tam nie wiem, czy gonił czy uciekał — rzekł Stach — a to pewna że kochanicę jakąś jedną miał. Z tą się tak krył że i djabeł nie dopatrzył, kto i gdzie ona była.

— Jakże mógł to tak ukrywać? — zapytał stary.

Stach głową potrząsnął.

— Oprócz jednego może Smoka, sługi z którym się wrywał do téj miłej, nikt nie wiedział

i nie wie kto ona była, dziewczka czy zameżna niewiasta, prosta knieccianka czy co lepszego. Mówiono że się z księciem gdzieś zjeżdżali, że ona do niego przybywała. — Szpiegowali ciekaw, podpatrzeć chcieli, nikomu się nie udało. Spotykali się w lasach, słyszcz, na łowach, Kaźmierz tak ginał gdzieś na dni czasem kilka, powracał smutny i nie zwierzał się nikomu nawet bratu.

Dworzanie szeptali że Henryk nalegał nań i na miłość braterską zaklinał, aby się przed nim zwierzył, na co Kaźmierz miał odpowiadać. Gdyby to moja było tajemnicą, dałbym ci ją, ale cudzą jest — niemogę.

I tak to trwało, a może i do dziś dnia trwa jeszcze — dokończył Stach.

— Przecież ksiązę żonaty jest. — mruknął Scibor.

— A żonaty — mówił Stach — ale nie po swęj woli. Gdy Henryk w tēj niegodziwěj zasadzce na trzęsawiskach zamordowany został, mimo Mirosława przyjaciela, co go własnćm okrył ciałem, już był naówczas wolę swą kazał spisać przy świadkach, że w razie śmierci na niego dzielnica Sandomierska nie komu się ma dostać innemu tylko bratu najmilszemu.

Tu Stach uśmiechnął się spuszczać oczy.

— Nie uczynicie mnie kłamcą, proszę, za to co teraz powiem. Klnę się wam na zbawienie, nie dla chwalby, ile dla świętěj prawdy że ksiązę

Każmierz mnie po troszę winien iż po Henryku wziął Sandomierszczyznę.

— Świta bo ci w głowie! — zawołał Scibor.

— Posłuchajcież — mówił Stach — a cierpliwie, zobaczycie. Było tak naówczas że ja ode dworu Kaźmierza musiał iść precz, bom się tam zwaśnił, zaciągnąłem się w służbę na dwór Biskupa Krakowskiego, Macieja Cholewy, który potem zmarł na rok przed księciem Henrykiem.

— Znaliście wy go? — zapytał Stach.

— Nie — potrząsając głową odparł Scibor. — nie znałem go bliżej, choć się o nim nasłuchiłem wiele. Mąż mówią, uczony był, mądry, wielkiej gęby i języka. Ten ci to co gdy raz księciu Władysławowi pieniędzy pożyczył w potrzebie, potem go już za bogacza miano. Stali potem doń posłów aby księcia wygodził znowu pieniędzmi. Gdy przybyli doń z tém posłowic, wysłuchawszy ich rzekł — a no, dobrze, chodźmy do skarbcu mojego. I powiódł ich miasto do skarbcu do wychodka, a wskazując nań i śmiejąc się, odezwał się. — Oto gdzie są wszystkie skarby moje! Maciek zrobił, Maciek zjadł!

Albowiem imie mu Maciej było. Obżartuchem przez to nie był wcale, tylko że ludzi wielu przy sobie karmić musiał, a na księgi téż których siłą kupował, wydawał wiele, nie miał więc w skarbcu zapasu. Pan był pobożny, uczony, ale wesolą rozmowę lubiący, do żartów skłonny a gotów sło-

wy szermować noc i dzień, i nie było nikogo co by mu w rozumnej mowie sprostął, co po dziś dzień lndzie dobrze pamiętają.

— Tak, tak — przerwał Stach — jakbyście go znali. Na dworze biskupim na małym żoldzie i ja służyłem, byłem się tam docisnął, a stał nie daleko. Zwali mnie tam jak i do dziś dnia mnie zwa, bom sobie to imię przybrał od uroczyska mego na granicy od Spicymirza, Zabora z Przegaju. Biskup mnie dosyć lubił. Choć poważny uważ, gdym przy nim służby sprawiał, wedle obyczaju swojego nieraz ze mną pożartował. Wolno mu było wesółem słowem odeprzeć, byle do rzeczy.

Obu młodszych książąt lubił bardzo stary, szczególnież Kaźmierza, bo ten go bywało godziny ba i dnie całe gotów był słuchać gdy rozprawał o wszelakich dziejach. Biskup zaś mówić potrzebował a żeby go rozumnie słuchano i o obu książętach powiadał zawsze że z całego rodu najmędrsi byli.

Raz tedy, gdy do tego przyszło że książę Henryk, który krzyż nosił ciągle, a gdy niemógł z nim iść do ziemi świętej bo okazyi nie było, parł się na swoich pogan, życie ciągle ważył i o mało już zabít nie został; — poczał Biskup boleć, że gdyby zszedł bezpotomnie, bardzoby krwi pocziwój żał było.

Zdało mi się wtedy rzec słowo, że żał by też

było aby po nim, uchowaj Boże czego, Kędzierzawy albo Mieszko zagarnął dzielnicę, a sierota bezdomny Kaźmierz i na dal na lasce braci miał zostawać.

Uderzyło to biskupa i jak był zwykł drwić — rzekł do mnie śmiejąc się.

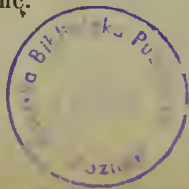
— Patrzcie go! Oślica Balaamowa rozumnie przemówiła!!

Od téj chwili jak sam przyznawał, począł na księcia Henryka nalegać aby dał spisać wolę ostatnią i umiłowanemu bratni sierocie księstwo po sobie przekazał.

A że mąż był prawości wielkiej, i czego się sam nie domyślił tém się chwalić nie chciał, koniecznie nalegał na mnie, aby księcia Kaźmierzowi opowiedzieć iż to ja myśl tę poddałem. Padłem mn do nóg błagając aby tego zaniechał, a gdy się i zdumiewał i wysmiewał, o spowiedź go prosiłem, na której zeznałem mu com zaczął być, dla czegom się ukrywać z sobą musiał.

Tedy pobłogosławił mnie ze łzami starzec święty i rzekł — Pan Bóg niech będzie z tobą, dziecko moje, wszelako co nie moje tém ja się chwalić niechcę, abym grzechu na sąd Boży nie poniósł, w endze się strojąc pióra. I odtąd śmiejąc się opowiadał zawsze. — Nie jam ci to wymyślił, oślica Balaamowa przemówiła do mnie.

Słuchał Scibor z zajęciem, a Stach czoło otarłszy spoczął trochę.



— Cóż dalej — boście odbiegli od swego — zapytał stary.

— Gdy książę Henryk, święte paniątko, padł w téj zradzieckiej wyprawie na moczarach, a ciało jego nawet dziec ta rozszarpała że mu pogrzebu poczestnego dać nie było można, Kaźmierz po bracie z żalości wielkiej szaty na sobie darł, utulić się niemogąc.

Przez tę śmierć jednak panem został na Sandomierzu i Lublinie. Duchownych wszystkich za sobą miał, bo choć na stolicy w Krakowie Gedko już siedział i on i wszysej pasterze Kaźmierza za swego uważając, z nim trzymali. Nie mógł mu więc nikt przeczyć spadku i poszedł zająć Sandomierz. Bracia wnet i duchowni, widząc go tam nalegać poczęli aby, jak przystało książęcin bez żony nie był, a owe miłostki, o których przebąkiwano ciągle, porzucił. Biskup Gedko zwłaszcza, surowy człek, domagał się tego koniecznie.

Opierał się w początku książę, ale naleganiom ojca duchownego, w końcu musiał być posłusznym. Poczęto mu zaraz z niemiec swatać dziewczek siłą, bo o to tam łatwo i zapas zawsze trzymają dla obcych, aby się do naszych ziem przez niewiasty weiskali. Niemkini książę nie chciał powiadając, że ta nademną panować zechce, jako Władysława, więc gdy się żenić mam, rusinkę wolę brać.

I wziął Helenę księżną którą mu z Belża od Wsewoloda Mściławowego przyprowadzono, a no wziął jak się bierze narzeczone.

— Hę! — zapytał stary — a nie rozmiłował się w nią potém?

Stach głową pokręcił i głos zniżył.

— Przeciw pani tej nie można nic rzec, dobrą być chciała i jest, ale, piękności wielkiej nie miała, ani mógł do niej przystać.

— Przecie swą potajemną miłością dla niej porzucić musiał — odezwał się Scibor.

Na to pytanie, Stach jakby odpowiadać nie bardzo chcąc, zmilczał trochę ramionami poruszywszy.

— Spełna ja tam tego niewiem, — dodał. — Ludzie prawią różnie, nie powiem lepiej nic. Pan pobożny, widać że z żoną chciałby żyć po Bożemu, a zmusza się do tego. Czasami trwa wiernie przy niej, powiadają, gryzie się, chodzi jak obłąkany, męczy widomie, to pierzchnie w lasy i nie będzie go dni kilka. Ludzie dworsey prawią że do swojej dawniej pojechał, bo odstać od niej nie może, ale kto to tam wie co się z nim dzieje? Prawią że mu napój zadano — Ja nie wiem.

Scibor ramionami potrząsał.

— Do dziś dnia więc to trwa? — zapytał.

— Pono — rzekł Stach. — Jam ostatnich czasów na dworze nie był, musiałem gdzieindziej — bo —

Niedokończył, Scibor go przynagłał.

— Gadajże już wszystko, gdyś począł.

— Zawczasu bo o tём mówić — odparł Stach —
Ot pozwólcie abym ja tẻż was popytał.

Tu z lawy wstawszy, pochylił się do stąrego
i głós bardzo zniżywszy, począł.

— Cobyście wy na to rzekli, gdyby ziemianie
pomýśleli Kaźmierza na Krakowie posadzić?

Sciborowi brew się ściągnęła, nie odpowiedział
nie długo.

— Teraz bo wam panów raz wraz chce się
micniać jak kukły dzieciom, — rzekł zwolna. —
Nie może być aby się przy tem krew nie lała.
Czemuż Mieszko raz posadzony na Krakowie,
ostać się na nim nie ma spokojnie?

— Spokojnie! — podchwycił Stach szydersko. Wy tu chyba ojeze, spokojnie w kącie siedząc o niczym nie wiecie, nie słyszycie nic, nie zalano wam niczym, to się wam zdaje to panowanie do wytrzymania? Toć to ręka żelazna, nie ojciec ale gorzej ojczyma. Nie słyszeliście co Henryk ów Kietlicz dokazuje? Jeden jęk się rozlega po całym kraju, w takie go dyby wzięli.. Ze skóry drą i ziemian i kmieciów nikomu nie przepuszczając.

— E! cicho byś był! — przerwał Scibor — nie słyszałem nic i słyszeć nie chcę. Ty bo Stachu, jakieś złym będąc szalał, tak teraz dobrym chcąc być znów szalejesz niepomiecznie. Cóż to

za łaskę wyrządzisz Kaźmierzowi gdy go w wojnę z bratem wwiążesz, ty czy kto inny? Cóż to oszalał chyba. Albo to Mieszkowi synowce, zięciowie, szwagrowie nie obronią go! A możnych ma i na Czechach i po niemcach! I sam też ów Stary, człek z którym igrać niebezpieczno. Młodym był gdy go Starym przezwano, bo rozum i wolę miał nie młodą.

— No! no! — począł Stach, — nie tak on straszny gdy go i Biskupi i ziemiany wszyscy nie lubią. Rycerstwu dopiekl do żywego.

— Milezałbyś, — przerwał Seibor surowo, — prawisz nie do rzeczy. Gdybyście nawet po szalonymu Kaźmierzowi drogę usłali, toć mówicie że Sprawiedliwy jest i bogobojny, czyżby on chciał brata zrzucać, aby się jego mieniem bogacić? On, który za Kędzierzawego już, gdy go Jaksa z przyjaciół na kolanach błagali aby Kraków brał, prośby ich odepchnął, a po śmierci Bolesława jeszcze raz toż samo uczynił.

— A! — zawołał porywczo Stach — inaczej stało naówczas a teraz.. Jaksa z przyjaciół nie byli by go utrzymali, potem Mieszka nie znano, i spodziewano się po nim wiele..

Teraz inaczej ludzie myślą

— A milcz że! — począł Seibor jakby przełkły — milcz i tego pana którego kochasz nie wiedz na pokuszenie aby głową nie przypłacił jeszcze waszego szaleństwa.

— Wy bo — mówił stary — aby wam nowe sitko na kolku powiesić, aby coraz nowy pan, a taki coby wszystkim cugli popuścił. Ej, Mieszko na was dobry jest, bo żelazną rękę ma, a wam takićj trzeba — E! milez!

I podąsał się Scibor, Staszek zmilezał, ale sposepuiał.

W tém około okieunczki coś zaszeleściło. Jeszcze oba na siebie patrząc, milezeli, gdy z podziwieniem starego, drzwi się otwarły i Jagna co na oczy Stacha widzieć nie chciała, weszła do izby nagle.

III.

Zdumiał się niepomąłu ojciec ujrzawszy ją, ale więcej jeszcze widokiem dziewczęcia zdziwiony był Stach, który zmięszany w ciemny kąt cofać się począł. Srom mu na twarz wystąpił.

Jagna weszła śmiało. Strój trochę zmieniła poranny, kosy puściwszy na ramiona, na koszulę wdziawszy krótki jedwabny przyodziewek z rękawami rozprutemi długimi. Jakby się jej zachciało być piękną, występowała z główką raźnie do góry podniesioną i rumieńcem na dumnej twarzyczce, bystro oczyma rzucając do koła.

Padły one naprzód na chłopca, który się w ciemny kąt zasunął, potem na ojca, przypatrującego się jej z uśmiechem dziwnym, na pół szyderskim.

— Gości macie, — rzekła do niego — toć by

przyjąć potrzeba, a jam wasza gospodyni. Każecie podać jadło i napój?!

Staszek ciągle jeszcze nie występował, stary wskazał nań ręką.

— Gościa tego albo znasz lub nie, Jagno.

Stach prędko mu przerwał.

— A skądżeby Zabor z Przegaja mógł być znajomym!!

Dziewczę się uśmiechnęło jakoś żartobliwie, gniewu już ani wstępu takiego jaki zrana dla Stacha z Konar okazywała, widać po niej nie było — przypatrywała mu się śmiało.

— Zabor z Przegaja, czy kto tamkolwiek bądź — odezwala się, — chleba i napoju potrzebuje. Możeby wstyd było gdyby głodnym ztąd odchodził.

Zwróciła się zwolna, a Stach za nią ciekawemi powiódł oczyma.

Gdy wyszła, Ścibor dziwnie uśmiechnął się sam do siebie, znać pomyślawszy — otóż niewieście dąsy i gniewy. Z rana go wieszała i ścinała, a teraz mu się uśmiechać i karmić gotowa! Wierz że tu babom!

Potrząsł głową i spytał.

— Widziałeś ty dawniej Jagnę? poznałbyś ją?

— Dzieckiem może ją najrzałem kiedy, — rzekł Stach — alem nie pamiętał. Urosła na panią.

— I czas by jęj nią być — dodał Ścibor, —

a no niechce. Zalecało się wieln, a ta dzika koza pana nad sobą cierpieć nie chce.

— Przecież prędzěj, późniěj ktoś ją weźmie — odparł Stach.

Scibor westchnął

— Jeżeli się ona wziąć da komu!

Mówili jeszcze, gdy drzwi się otworzyły znowu i stara sługa, a za nią dziewczęta jednako poodziewane chłedogo, poczęły iść misy niosąc, dzbany i ręczniki, a wszystko co do jedzenia było potrzebne.

Ścibor nie wstawał, więc mu ławę przystawiono tak do niskiego łoża, aby mógł na niěj wygodnie pożywać. Resztę mis i dzbanów porostawiano na stole, a Jagna pierwsza dając znak ręką gościowi aby usiadł, miejsce zabrała.

Znak ten łaski mocno zdziwił Ścibora, nie mógł strzymać, aby uśmiechem córce nie okazać, jak był rad jěj postanowieniu. Zrozumiawszy to piękna Jagna, pogardliwie podniosła usteczka, tymczasem rączki myjąc i ręcznikiem je ocierając, co téż i Stach, wedle zwyczaju ówczesnego zrobić musiał.

Siedli na przeciw siebie, gość na nią jak w tęczę patrzył. Dziewki takiěj jak żyw nie widział, bo pod te czasy mało było podobnych; niewiasty słuchały, nie rozkazywały, a choć która władzę miała, kryła się z nią jak ze zbrodnią. I nie mówiły one wiele z obcemi, oczyma więc

cój niż usta rozmawiając a aż nadto wiele niemi wypowiadać umiały.

— Dużoście podobno świata widzieli? — odezwała się Jagua, na pół rozogniona, pół obojętna, nie pomyślawszy o tém iż się zdradza z podsłuchanej rozmowy.

Stach zdziwił się pytaniu.

— Rycerska to rzecz, — odparł — po świecie się włóczyć, gdy wojny niema, innych wszelakich przygód szukając. Spokojnie siedzieć starym się tylko godzi, ci się wysłuchali.

Jagua popatrzała nań szydersko.

— Inści też rycerzowi włodarzować nie przystoi, miejsce jego w wojsku i przy dworze. A wy, pozwolicie spytać, komu służycie?

Stach się zmięszał, ale wnet odzyskał przytomność.

— Bywało się różnie, — odezwał śmielęj — a teraz, teraz jestem sam, niewiem doład się obrócić. Jest dworów dosyć...

— A no, — odparła żywo Jagua — prosta rzecz zdaje się do swojego pana iść, który ziemią rządzi, do swego księcia.

— Tak, to mnie by przystało ku Mieczysławowi służyć — rzekł Stach — a ja do tego serca niemam.

— To ziemia wasza pod krakowskim księciem? — zapytała.

Stach nie odpowiedział, zajęty był wrze-

komo jedzeniem i pytanie puścił mimo uszu; zagadując że na Rusi w tym roku o wojnie słychać nie było.

— Tam ona prawie zawsze trwa, jak zapamiętam — wtrącił Scibor. — Kniaziowie się z sobą swarzą, biją, jedni drugich zrzucają nieustannie. Było tak za Chrobrego, za Szczodrego, a od tych czasów bodaj nie gorzej jeszcze.

Byleśmy i my — dodał cicho — na Rusinów się nie zapatrzyli, bo to przykład nie do rzeczy.

Od śmierci Krzywoustego i u nas nie ma bo pokoju — a już by go czas mieć.

Stach spojrział, twarz Scibora spoczęła.

— Miłościwy panie, — odparł po chwili, — pokoju pono pod te czasy nigdzie nie szukać ni znaleźć. W Niemczech nie lepiej, choć tam cesarze zwierzchnią moc mają, nie inaczej i na południu około papieża rzymskiego, boć życie to wojna! tak już Bóg przeznaczył!

Stary zamruczał coś niewyraźnie, unikając spornu, Jagna niecierpliwie to na niego to na Stacha patrzała. Coś jej było nie po myśli. Stach rozmawiając więcej oczyma biegał ku dziewczęcin, niż pilnował tego o czém prawil. Ile razy wzrok jego trochę natarczywszy spostrzegła Jagna, zżymała się i minę stroiła dumną a groźną, dając mu poznać, że czytania w swój twarzy nie rada była dopuścić. Stach mało zważał na to.

Siedzieli tak jeszcze u stołu, bo miski ciągle podawano, a podróżny jadł i pił zdrowo po długim poście, gdy Jagna ledwie czego dotknęła; — aż w podwórzu pod oknami szmer, gwar i ruch budzić się począł. Baczne neho dziewczęcia poznało może zkąd to pochodziło, bo zaraz rzuciwszy jedzenie, pilniej się przysłuchiwać zaczęło. I Scibor też ku oknu obrócił głowę, a psy które tam na kości ezatowały pod niem, choć nie odstąpiwszy z miejsca, coraz to zwracały pyski i groźnie ujadając, poszczekiwały ku wrotom.

Ojciec i córka spojrzeli ku sobie, jakby pytając co to znaczyć miało.

Gwar ten niezrozumiały coraz wzrastał. Szło to widocznie kędyś od wałów i bramy, a w podwórzach się tylko odbijało. Ludzie spór jakiś żwawo wiedli. Niekiedy dziki głos krzykliwy, nakazujący, wysilony, gniewny zdala dochodził.

Brwi Jagny coraz się mocniej marszczyły. Gdyby byli sami, pewnie by skoczyła zaraz dowiedzieć się co się tam u wrót działo, uczynić porządek, wydać rozkazy; w obec człowieka cudzego wstydziła się pewnie zająć męzką sprawą. Czekala więc niecierpliwie aż znać dadzą. Scibor się zżymał niespokojny.

Nie było zwyczaju w Sciborzycach, aby lud na gródku będący tak się z sobą sam ujadał, umiano go utrzymać w karności i porządku.

Łatwo więc było odgadnąć, że przyczyna wrzawy z zewnątrz pochodzić musiała.

— A kież tam licho kaszy jakiegś nawarzyło? — odezwał się z prosta Scibor do córki. — Co się tam za lby biorą, czy co?

Ruszyła Jagna ramionami i chciała już wstać, iść, ale gość się zerwał z ławy prędko aby ją wyręczyć.

— Jeśli mi dozwolicie, pójde się dowiem — rzekł, patrząc na Scibora.

Nikt nie bronił, skoczył więc za próg Stach, i słyhać było, jak kilka słów zamieniwszy na podsieniu z ludźmi, pobiegł ku wałom i bramie.

Dosyć obojętna, zadumana Jagna podparłszy się na stole, na ojca patrzała, który brwi zmarszczył i ku oknu wyzierał.

— Cóż Stach, — rzekł potem do córki — nie tak ci coś krzyw jak zrazu był? — I rozśmiał się Scibor do niej. — Chłopak przystojny, i zaprawdę, choć zawinił raz, szkoda by go było ćwiertować.

Jagna wzgardliwie wykrzywiła usta i krótko zbyła ojca.

— Juści gościa trzeba przyjąć, choć pewniebym innego wolała, bo nie mogę patrzeć na tę rękę, co się na pana targnęła.

Scibor zmilezał, przysłuchiwali się znowu, gdy weszła stara mamka Jagny i w progu stanęła. Ku niej się dziewczę zwróciło.

— Co tam u was?

— U nas nic, — odpowiedziała stara. — Za wrotami jacyś ludzie z odźwiernym się swarzą. Książęcy urzędnik, czy coś — dodała.

— Naszego księcia Kazimierza? — zawołała z oczyma zaognionemi nagle zrywając się Jagna, jakby już biedz chciała.

— Nie wiem czyj, a no urzędnik! — odparła starucha, zabierając misy opróżnione. Łają strasznie!

W tém i nadbiegającego Stacha posłyszano, który na próg wpadł z twarzą płomienistą, gniewny i zburzony.

— Co każecie robić, nie wiem — zawołał zwracając się do Scibora. — Urzędnik z Krakowa, bodaj sam ten Kietlicz Mieczysławowy, z dużą ludzi kupą, prowadzi jakichś pobranych winnych i niewinnych kmieciów, osadników i czeru po drogach połapaną i przewodu się domaga od was. Słusznie mu się ludzie opierają.

Juści przewód swoim zakon dawać nakazuje, ale Mieczysławowym z krakowskiej ziemi, co tu w cudzem księstwie plądrują, nie macie obowiązku.

Jagnie brwi się ściągnęły gniewnie.

— A co im do nas, co nam do nich! — wybuchiwała.

Scibor milczał.

— Grożą, że gwałtem konie zabiorą i ludzi popędzą — dodał Stach.

Spuściwszy głowę stary zafrasowany, nie odpowiedział jeszcze. Nierychło podniósł oczy i westchnął

— Jak się tu opierać i prawa szukać, — rzekł smutnie. — Niech ich licho porwie! gotowi gwałt uczynić jaki! Odezepnego ich zbyć, konie dać, a niech idą do...

— Ależ to nie ich ziemia! — zakrzyczała Jagna.

— Będiesz że z niemi wojnę prowadziła? — rzekł stary. — Ich ziemia czy nie, krakowski książę zwierzchnią władzę ma, a choćby jej nie miał, gniewać go — źle. Nie daleko granica, mścić się będą, spokoju nie dadzą!

Ręką zamachnął.

— Kat ich bierz!

— To musi być Kietlicz sam, — mówił Stach, — bo bardzo zuchwale pod bramą stojąc, włamaniem się grozi. A nie tylko przewodu chce, ale nkarania tych, co mu go odmówili. Dobija się, jakby moc i prawo miał!

Sciborowi ręce się aż załamały z niepokoju i trwogi, czuł się słabym. Jagnie piersi się podnosiły gniewem, usta drżały.

— Precz by go odegnać zuchwalca — zawołała. — To ziemia księcia Kaźmierza, on tu żadnego prawa nie ma. Gródka przecie siłą nie

weźmie, a da mu się raz posłuch i przewód, nie będzie od niego spokoju.

Stary podłuchawszy to, aż się rzucił.

— Jagno ty, sokolicho drapieźna! — zawołał do niej, ty byś ciągle wojowała! Tobie się było mężem rodzić, idź do swój izby! Ja spokój mieć chcę, niechaj go wpuszcza, niech nakarmią, ktoby kolwiek był, ugłaskać go lepiej.

Oburzone dziewczę, posłyszawszy ten rozkaz, rzuciło się, jakby chciało mu opierać, potem spojrzało na Stacha, pomyślało, i na ojca z wymówką popatrzawszy milczącą, wybiegło precz, trzaskając drzwiami.

— Stachu mój! — odezwał się Scibor głosem słabym, — opatrność cię tu dziś nadała. Choć obcy, idź proszę, każ im wrota otworzyć, przyprowadź go tu, juści z nim radę damy. Zadzierać się nie chcę.

Stach się trochę zawahał.

— Idź, idź, — powtórzył Scibor. — Wrzasku nie znoszę, trzeba skończyć z niemi, puść go tu do mnie i sam z nim powracaj.

Nie było sposobu opierać się staremu, choć Stach wolalby był dziewczyny posłuchać i Kietlicza tego za bramą zostawić, musiał spełnić rozkaz starego, który więcéj już nie mówiąc, rękami dawał mu znaki aby pośpieszał, bo gwar i wrzawa coraz rosły.

Wyszedł więc. W podwórzach wszystko co

żyło na grodzisku, mężczyźni i niewiasty powybiegali z zakątów, psy ujadaly biegnące ku wrotom i okopom, ludzie postraszeni, to przypadali do tynów aby spojrzeć za wały, to się od nich cofali tłumnie. Zdala hałas, krzyki i bicie drągami we wrota nienastannie słychać było.

Zobaczywszy biegnącego Stacha, wszysej ku niemu się skupiać zaczęli, domyślając się że musiał iść z pańskim rozkazem.

Dziwiło ich że Jagny, która zwykła była pierwsza zawsze pośpieszyć gdzie powstał niepokój, dotąd niewidzieli. Jagna gniewna na ojca, na siebie, na Stacha, rzuciła się na posłanie w swęj świetlicy i co znalazła pod ręką, miotała bezmyślnie o ziemię. — Oburzało ją że ojciec ulegał. Dumne dziewczę byłoby wołało, bądź co bądź, strzałami napastników od wrót odegnąć, niż taką powolnością uzuchwalić.

Gdy Stach przypadł z rozkazem aby wrota otwierano, ludzie już przy nich zajątrzeni łajaniem do oporu się zabierali. Słowo pańskie zamknęło im usta, mruczac zaczęto ciężkie drągi odwalać i wrota otwierać.

Tuż pod niemi stał na koniu pianą okrytym, mężczyzna krępy, czarny, którego długie czarne włosy kręcone wiatr rozwiewał. Twarz mu się czerwieniła od gniewu, a że brzydkim był, jeszcze go zapamiętałość czyniła straszniejszym.

Stach poznał w nim zaraz tego, którego się

domyślał, prawą rękę księcia Mieczysława, osławionego jego doradcę, owego Henryka z Kietlicie od Budziszyna, któremu naówczas przypisywano wszystko co księżę poczynił i o straszne kraju uciemnianie obwiniano.

Obej ten człek, najbliższy osoby księcia krakowskiego, zniechęcony przez panów duchownych, ziemian i rycerstwo, najmniej o to dbał.

Wejrzawszy nań, widać było w silnym, jak żubr zbudowanym, z krótką szyją, głową dużą, oczyma wypukłemi, patrzącemi groźnie, żywych ruchów i szorstkiej mowy człowieku, takiego, co nienawykł ulegać nikomu a wszystkich gotów był łamać, bo czuł potężną opiekę nad sobą. Sługa to był, któremu pańska moc dawała zuchwalstwo bez miary.

Trząśł się cały z gniewu gdy mu nareszcie wrota otwarto i Stacha ujrzał przed sobą. Spiał zaraz konia i jak burza wpadł na podwórze, klnąc głośno. Tuż za nim tłoczyło się kilkudziesięciu zbrojnych, a w pośrodku między ich końmi postrzegł Stach znaczną kupę ludzi, starców, ziemian poważnych, kmieci, razem z parobkami i pastuchy pomieszanych, powiązanych łykami, rozwścieczonych lub wylękłych. Ludzie Kietliczowi batami ich gнали i popędzali z sobą, końmi ściskając i napierając.

Wszystko to za wjeżdżającym we wrota Kietliczem wpadło w podwórze jak do domu. natych-

miast z koni zsiadając i zabierając się tu obozować, nie spytawszy nikogo.

Kietlicz tymczasem ledwie na Stacha spojrzawszy z ukosa, popędził do dworca. Ten musiał biegiem go dognać, aby zazem z nim stanąć jak chciał stary. Kietlicz z koniem wpadł aż w podsienie, tu dopiero z niego skoczył, a że nikogo nie znalazł oprócz starćj baby w progu, spokojnie się mu przypatrującćj, krzykliwie wołać zaczął, domagając się gospodarza.

Stara, weale nie przestraszona tym wrzaskiem głową trzęsąc, rzekła mu spokojnie.

— Pan nasz z łoża nie wstaje, ani nawet dla księdza, słabuje od dawna.

Widząc że nikt mu nie wskazuje drogi, Kietlicz poczał ją sobie sam torować do wnętrza, rzucił się do jednych drzwi, które do ezcladnej prowadziły, postrzegł błąd, zwrócił się i zobaczył dopiero Stacha, który właśnie nadchodził.

— Gdzież ten wasz władyka? — krzyknął głosem zachrypłym — gdzie?

Stach, choć go złość brała i krew mu na twarz występowała, udał bardzo spokojnego.

— Władyka to nie mój, — odparł — bom ja tu gość jak i wy! Nie krzyczcie tak, bo stary słaby jest i nie znosi wrzasku.

— Słaby, a choćby i zdychał! — przerwał Kietlicz — a co mi to? Ja posłuchu wymagam!

Wy tu ze mną wojnę prowadzić myślicie hę! a wiecie z kim!

— Hej no, hej! ktoś kolwiek jest, eiszěj! — odparł Stach, — toż nie w zdobytym grodzie jesteście a na ziemi pana Kaźmierzowej, przystałoby tak głosu nie podnosić...

Kietliez poskoczył ku niemu, mierząc go od stóp do głów iskrzącemi oczyma.

— Coż ty, ty jakiś, będziesz mnie tu uczył? ty, mnie? Jam tu z ramienia pana, który i nad Kaźmierzem waszym jest i nad wszystkimi! Rozumiesz?

Już się kłótnia na dobre miała zawiązać, bo Stach następować nie myślał, gdy drugie drzwi się otworzyły i wylekły tym hałasem Seibor o dwu kulach powoli się wlokąc, wystąpił sam, przygarbiony, wpół złamany, z włosy sivemi i brodą okrywającą mu piersi obnażone. Widok stareca zgrzybiałego, drżącego, niedołężnego, na chwilkę opamiętał Kietlieza nieco. Gniew jego nie ustał, ale nieco zlagodniał. Rzuciwszy Stacha, wprost poszedł na starego.

— To wyście tu władyka! — zawołał do niego — wy! A dobry u was ład i posłuch dla książęcych urzędników. Wiecie ktom jest?

Stary podniósł ku niemu głowę, której usta bezzębne, otwarte, z wargami drżącemi i zbiełale oczy wyrażały więcej zdumienia niż postrachu.

Nie czekając odpowiedzi Kietliez, krzychał ciągle,

— Najwyższego pana Mieczysława krakowskiego jestem pierwszym urzędnikiem! Ho! ho! słyszeliście pewnie o mnie, bom ja się nie jednemu dał we znaki i żartów nie ma ze mną. Tu mi w waszych włościach ludzie przewodu odnawiają, u wrót mi każą stać! Cóż to ty pan jesteś udzielny? Co to władzy książęcej nie znasz nad sobą? Coś ty za jeden? eo?

Na to zuchwale pytanie w niedoleżnym stareu poruszyła się żółć, podniosłszy głowę znów, oczyma go zmierzył.

— Coś ty za jeden? — powtórzył Kietlicz.

— Jam Krzywoustego wojewoda — odparł poważnie i spokojnie Seibor. — Choć byście byli pańskim urzędnikiem, siwy włos powinniście szanować!

Zamilkł jakoś Kietlicz, ale gdy stary, któremu na nogach dłużej ustać było ciężko, do izby się nazad zawrócił, aby na łożu ledz znowu, napastnik jak stał w helmie z biczem w ręku wpadł za nim.

— Słyszysz ty stary, choćby i wojewoda nieboszczyka, sam na pół trup, żeby mi przewód był, owies i siano dla koni, strawa natychmiast dla ludzi, a na tych eo mi się opierać śmieli kara w moich oczach, chłosta i ciemnica.

Seibor, który był legł już dysząc mocno ze wzruszenia i ręką piersi cisnąc, zrazu odpowie-

dzieć nie mógł. Zmierzył stojącego przed sobą oczyma raz jeszcze i Staehowi ręką dał znak.

— Dać mu co chce! na gwałt rady nie ma, i niechaj mi idzie ztąd!

Jakby nierozumiejąc tego, Kietlicz się nie ruszał. Spojrzał po izbie, zobaczył na stole pozostałe misy i dzbany, nie pytając przystąpił ku nim, nalał sobie kubek i wychylił go cheiwie.

Niegościnnie przyjęty, niezważając na to że mu precz iść kazano, na ławę się rzucił. Milczenie groźne trwało chwilę. Drzwi stały otworem, za niemi wódarz Scibora Domuch, czekał na rozkazy drżący. Stary się ku niemu zwrócił.

— Domuch! dawaj im co chcą, niech żrą i idą ztąd! Przewód nakazać zaraz. Słyszysz! Wojować z niemi nie będę, niech mi długo na karku nie ciążą i idą precz zkąd przyszedli! Ze dworu przewód wybrać dla pośpiechu, bo do wsi daleko, a tam już ludzi porozpędzać musieli.

— Spędzić mi ich na powrót zaraz — krzyknął Kietlicz, — żeby mi te psy w oczach moich chłostę wzięły!

Scibor twarz ku niemu zwrócił.

— Tego nie będzie — rzekł — tego nie dam! Czyń sobie co chcesz. Masz swój przewód i strawę, ruszajże jakoś przyszedł.

W głosie starca było coś nakazującego, groźnego, czemu się oprzeć było trudno. Kietlicz się

rozśmiał szydersko i począł jakby sam do siebie, rozpierając się na ławie.

— Oh! oh! myślicie sobie poczynąć z nami, tak jakoście z dawnymi swemi pany czynili! Ale mój pan inny! Sprawa nie z Włodzisławem, nie z Kudrawym? My wam pokażemy, kto tu ma prawo życia i śmierci, nakazu i posłuchu!! u mnie ziemianin, kміeć, klecha, rab wszystko jedno, nie patrzę ja kto on! Łby polecą! Dopiero się nauczycie pana szanować. Mieszko was i panów duchownych rozumu nauczycie! nauczycie! Zobaczycie...

Wy tu mi śpiewacie, żem ja na Kaźmierzowej ziemi, mnie i pana mojego tak dobrze Kaźmierz jako i ty i wszyscy, wszędzie słuchać musicie. Jeden tu pan i więcej ich nie będzie. Nieznamy ani biskupów, ani wojewodów, ani żupanów, gdy nieposłuszni są.

Chcecie kaźni, będzie kaźń, będzie, taka jakiej nie bywało za książęcych brać. Ze skóry was drzeć, kołem tłuc, wieszać i ścinać będziemy, aż się rozumu nauczycie i ładu!

To mówiąc, pięść z bieżem podniósłszy, zdal się nim grozić staremu.

Na ten wybuch gniewu Kietliczowi nikt nie odpowiedział. Znikł tylko zaraz Domuch, a Stach naprzeciw siedzącego stanawszy o ścianę sparty, słuchał go milcząc z miną szyderską, wyzywa-

jąca, tak że ona gniew w nim jeszcze rozżarzać musiała.

Zdawał się mówić mu oezyma.

— A no, a no, pozwól sobie, nie nie kosztuje, pleć!

Seibor leżący na swém posłaniu, ręką głowę podparwszy zadumał się, twarz jego bladła, czoło się zasnuwało marszczkami.

Kietlicz kubek po kubku wychylał, nie pytając ni dziękując, wreszeie chleb łamać począł i reszty mięsa z misy wyciągać, nie troszcząc się o gospodarza.

Stara gospodyni, która na to z za drzwi otwartych ciągle patrzała, położyła temu koniec śmiało do izby wszedłszy zabierając z przed siedzącego dzbanek, kubki i misy.

Nikt się do niego nie odezwał, nikt go przebłagać nie myślał, więc coraz mocniej sierzdził.

— Ufajecie w to, żeście Kaźmierzowi! — począł ryhocząc ze złością po chwili. — No to się jemu poskarżcie! Niechaj probuje zadrzeć się z naszym panem. A no? może mybyśmy temu i radzi byli.

Dosyć już tego ziemiańskiego i książęcego gospodarstwa, czas na inne. My wam pokażemy co ład, co zakon i co kaźnia!

Znów tedy pięść z biezyskiem do góry podniósłszy na Seibora patrzył uparcie, który milczał, to na Stacha stojącego z miną drwiącą...

Nie odpowiadali mu... Nie było tu już co robić, powstał z ławy gburowato, stół popychając przed siebie, pasa ociągnął, hełmu poprawił, obejrzał się do koła, plunął ze złości i wyszedł.

Drzwi się natychmiast za nim zamknęły.

We dworze nie mając już co poczynić, poszedł zwolna w podwórze do swoich ludzi rozłożonych tu taborem, ełciwie pożerających strawę, którą im w neeułkach i wiadrach dostarczano. W pośrodku tych rozpasanych siepaczy, kupka więźniów po drodze pochwycionych leżała na ziemi, ponakrywawszy głowy, twarzami do murawy, spoczywając i jakby nie słysząc zmagania się, łajania, szyderstw i wyzywań, któremi ich jątrzyć ełciano. Jeńcom tym nie dano ani jeść ani pić, gdy Donneh przez litość przynieść i dla nich kazał strawę, żołnierstwo ją śmiejąc się pomiędzy siebie rozechwycało, a potem kośćmi na powiązanych jak na psy rzucali, wołając że im i to nadto dobre.

A więźniowie, jak można było miarkować z odzieży i twarzy, byli w większej części ludzie dostatni, pod różnemi pozorami z domów pobrani, na gościńcach pochwytani, którzy wiedzieli czego się mieli spodziewać, dostawszy Kietliczowi w ręce. Nikt z nich cały nie wyszedł.

Gbur ów, niemogąc się dłużej nad Seiborem znęcać, bo mu ten ani odpowiadał nawet, po-

szedł się mścić na więźniach swoich. Smagał ich szyderstwem i groźbami.

— Dam ja wam dobrą gościnę w Krakowie, dam, dam! Popamiętacie pana i mnie, który z was z całą skórą wyjdzie i ze łbem na karku, będzie do śmierci pamiętał że był w moich łapach!

Drużyna pana Kietliczowa, za każdym takim wykrzykiem, wtórowała mu śmiechem pijanym. Niektórzy leżących na ziemi więźniów oszczepami żgali, wołając.

— A no! nie spijta! słuchajta! kiedy pan gada!

Kietlicz szukał może powodu aby się nad którym mógł pastwić, chciał wywołać jakie rozpaczliwe z nich słowo, ale biedota owa głowy poukrywawszy milezała.

Poczęło się tedy rzucanie a groźby na włodarza Domucha, aby dawał, a dawał coraz więcej, strawy, mięsa, napoju, owsa, obroków.

Gdy wreszcie konie i wozy do przewodu z szop prowadzić poczęto, aby się zbyć ich, Kietlicz wpadł między nie i począł wybredzać, aby mu innych, lepszych szkap i powózek dostarczano.

Przykazanie było od Seibora, by się ich zbyć jako bądź, więc ściągano i prowadzono co chcieli, w pośród wrzawy, kłótni i śmiechów. Kietlicza który był za pan brat z księciem najwyższym, wzgardliwe to przyjęcie w Seiborzycach

bolało... Nie przełamano się z nim nawet chlebem, nie chciało gniewów przeblagać, zbył się go stary jak napastnika. Kietlicz nie mogąc się mścić na gospodarzu, gniew spędzał na jego czeladzi, głośno przeciw jej pann odzywając się ze złością i pogardą.

Czeladź też ujmować się nie mogła, ale zębami zgrzytała.

Dzień już był w drugiej połowie, gdy nareszcie wszystko do wyjazdu stanęło pogotowiu. Więźniów na wozy powciągano po dwu i po trzech powiązawszy razem plecami do siebie, gromada Kietliczowa na konie siadać zaczęła, wiadra i neculki próżne porozbijawszy umyślnie. Pańskiego konia już podprowadzono. Nie było pozorów gości się dłużej, a Kietliczowi z tak małym zyskiem precz się odjeżdżać nie chciało. Już na konia siadać miał, gdy coś sobie pomyślawszy, nazad pode dwór zawrócił.

W czasie gdy tak w podwórzach gospodarowano, Stach na czatach stał, nie wiedząc co czynić, choć mu krew w żyłach kipiała przeciwko napastnikowi.

Do pilnującego progu wybiegła Jagna z twarzą zaplonioną gniewem.

— Do ojca mi go więcj nie puszczajcie! — zawołała i znikła.

Rzecz ten odebrawszy, Stach gotował go się spełnić bądź co bądź i pierwsze drzwi zasunął.

szy, stanął u nich na straży z rękami złożonemi. Kietlicz, któremu do głowy przyszło, pewnie jeszcze pieniężną karę ściągnąć za odmówienie przewodu, gdy podbiegł ku dworowi, zastał Stacha u progu.

Spojrzał nań wskazując na drzwi.

— Do władzyki chcę! otwierać! — zawołał nakazująco.

— Nie pójdzicie do niego, bo i tak chory już leży — odparł Stach.

— A wy mi tu stawić opór będziecie! he! — krzyknął Kietlicz.

— Tak mi polecono, nie puszczę — rzekł Stach, rozkrzyżowując się we drzwiach.

Kietlicz porwawszy za rękę stojącego, chciał go na stronę odepchnąć, ale trafił na równą swoją siłę. Stach ani drgnął, nie łatwo go było ruszyć lada komu. Oparłszy się plecami o drzwi, nogi mocno wbiwszy w ziemię — stał jak mur. Szarpnął go Kietlicz raz i drugi nadaremnie i opór znalazłszy niespodziany, przyskoczył, oburącz go chwytając, aby odrzucić na stronę. Gniew obu dodawał siły. Kietlicz miał jej dosyć, ale Stach bronił się dzielnie, pchnął go w pierś, aż odskoczył na nogach się zachwiawszy.

Wrzasnął natychmiast na swych ludzi.

— Sam do mnie! Bereza! Tyś co za jeden?

-- Któm jest, tom jest — zawołał Stach gwałtownie — nieustapię ci!

— Ty, mnie się myślisz opierać! — miotając się krzyknął Kietlicz — ty! ja cię nauczę!

I ku swoim zwróciwszy się coraz głośniej wrzeszczał.

— Bereza! sam do mnie!

Bereza, chłop straszny i trzech innych najsilniejszych z orszaku Kietliczowego już biegli mu w pomoc. Walczyć z nimi jednemu było niepodobieństwem. Zbladła twarz Stachowi, zaciął usta, nieustępował. Siepacze nadbiegli i runęli na niego.

— Wziąć tego ptaszka i związać! — krzyknął Kietlicz — rozmówimy się z nim w Krakowie!

— Ziemianin jestem wolny! — zawołał Stach.

— A choćbyś i Kniazem był! — zaryczał Kietlicz — ja na was wszystkich uzdy nałożę.

Po chwili krótkiej namysłu Stach, spuściwszy głowę, gdy Kietliczowa służba nań padła, nie mówiąc słowa dał się jej ująć. Zdała stała jego czeladź wylękła i poburzona, jakby chciała stanąć w pańskiej obronie, Stach nie broniąc się już, krzyknął do swych ludzi.

— Wy z końmi ruszajcie za mną!

Spokój ten zmieszał trochę napastnika, ale cofać co rozkazał nie chciał, wstyd mu było. Wiedział że nieznanego sobie ziemianina z poczem jadącego chwycił, niesprawiedliwej opierającego się napaści; nie zgrzeszył on tak dalece, aby go za to srodze karać można, Kietlicz byłby go zwol-

nił gdyby się prosił, milezającemu nie mógł przepuścić.

— Wiązać go! — powtórzył — w Krakowie się z nim rozgadamy.

Drzwi od mieszkania Scibora stały tymczasem ze środka zamknięte, Kietlicz przypadł do nich ze złością, uderzył parę razy, nie odzywał się nikt, nie myślano otwierać.

Ciupnął w nie jeszcze raz mieczem i splnął.

— Lieho na was, z dziadami nie będą wojny prowadził. Na kon! a tego — wskazał na Stacha, — związać mi dobrze i z innemi niech rusza do Krakowa.

To mówiąc odszedł ode drzwi, rozkazując sobie konia podprowadzić, klnąc i lając jeszcze siadł nań i popędził ku wrotom.

Cała gromada jego wnet na konie swe wspinać się zaczęła, wozy popędzając przed sobą, na których już więźniowie leżeli.

Cinry te po drodze jeszcze chwytając co napadły, knury, świnię, gęsi, ze śmiechem uwożąc te łupy zwolna wrotami nazad wyciągnęły na podzamecz, odgrazając się odźwiernemu stojącemu w bramie którego kilku kijmi poczęstowało, że im zrazu wrót niechciał otwierać.

Za ostatnim z Kietliczowych oprawców zaparły się wrota natychmiast i orszak nie odciągnął jeszcze, gdy czując się bezpiecznemi ludzie zamkowi powybiegali nad wrota i na waly, od psów i zbó-

jów łajac wściekle odjeżdżających, którzy im zdala pięści pokazywali. Kilka kamieni nawet świsnęło w powietrzu za odjeżdżającymi i padło na gościńcu.

W téjże chwili otwały się drzwi dworu i Jagna z włosami rozpuszczonemi, z załamanemi rękami, z bezsilnemi łzami na gniewem zarumienionych policzkach, wypadła trzymając toporek w rękę. Dłużej by już była wytrzymać nie mogła.

Postawszy chwilę na progu, zawróciła do ojca. Scibor leżał oburącz głowę trzymając w dłoniach, podniósł ku niej wejrzenie i ułakł się wyrazu jaki na jęj twarzy zobaczył.

— Jagno! Jagno ty moja! nie złość się nadaremnie, nie było na to rady! Stacha wzięto, słyszę, ale temu się nie nie stanie.

Ruszyła ramionami wzgardliwie.

— O Stacha tego mi nie chodzi, — zawołała — nie byłby mężczyzna żeby sobie nie dał rady, ale ty ojcie! ty! po coś im otwierać kazał? aby nam srom uczynili!

— Dziecko moje, — odparł Scibor — stary jestem, stary i niedołężny, gródka bronić nie mogłem, nie było czém.. Jutro by go Mieczysławowi najechali. Nastaly takie czasy, dożyliśmy! głowę trzeba spuściwszy, uszy położywszy słuchać.

Jagna ręce sobie wylaamywała.

— A! nie! nie — wołała rzucając się — tak nie będzie, nie może być, ziemianie mu się nie

dadzą, niewolnikami nie są. A dadzą się, no to warei być niemi.

Przeszła się po izbie, usta zaciskając, głowę unosząc, dysząc prędko, gniew czynił ją piękniejszą, niemal młodszą niż była. Oczy jaśniały blaskiem nadzwyczajnym, rumieńce krwią się tryskać zdawały, z pod małych ust zębki świeciły zacięte zgrzytaniem.

— O! tak się ostać nie może! — powtarzała ciągle.

Starzec ku niej wyciągnął ramiona, przyklęka przy nim, pochwycił ją ścisnąć i pieścić.

— Cicho, ty sokolico drapieżna, cicho! mech się tam dzieje co chce! Dajcie mi choć umierać spokojnie, nie moja to sprawa a tych co żyć będą. Mnie aby cisza i pogoda.. Jagno! uspokój się!

Ale Jagnie łzy z oczów płynęły, upokorzenia swojego i ojcowskiego zapomnieć nie mogła; krzykliwy głos Kictlicza rozkazującego na gródku brzmiał, jej w uszach i dreszcz ją przechodził.

IV.

Tegoż dnia wieczorem, Kietlicz ze swą zbrojną gromadą, z którą jakby na łowy puścił się na dwory i ludzi, był już znowu na Krakowskiej ziemi. Tu siepacze jego śmielszymi się stali jeszcze.

Dla Staszka któremu z lekko związanemi rękami pozwolono jechać na własnym koniu, otoczonemu swojemi ludźmi i strażą — widok tego pochodu był oburzeniem nieustanném. Ale, choć mu twarz srom i gniew oblewał, milczeć musiał. Zżymnął się czasem, strząsnął, do swoich coś zagadał, strażę otaczając co innego mając do czynienia, wcale nań nie zważały.

Kietlicz wracał z wyprawy do Krakowa, czasu nie tracąc po drodze. Nie pominęli człowieka, dworu, chaty, nie przystanawszy dla rozpatrzenia

się i rozpytania, czy nie było się tam do czego przywiązać, o co zacząć aby kmiecia ohedrzeć, nwieźć lub osmagać.

Szło o to Kietliczowi widocznie aby trwogę siał po kraju, cel ten też zdawał się dopiętym, gdyż ludzie zdala zobaczywszy kupę zbrojną, poznawszy książęcego urzędnika, pędzili w lasy rzucając domy i trzody, chroniąc się w gąszcze i błota.

Samo to zbieganie Kietlicz już poczytywał za winę, kazał ścigać uchodzących, a kogo pochwyciono, wiązano i męczono aby wyznał co przewinił i czego się lękał.

Ludzie towarzyszący Kietliczowi, przywykli do tego polowania, zuchwali, burzliwi, ciągle na pół pijani, bo na wozach beczulki mieli, z których nieustannie czerpali, znęcali się nad wszystkimi kto im pod rękę podpadł, bez względu na stan i pleć jego.

Parę osad należących do benedyktyńskich klasztorów trochę śmieliej wystąpiło opornie, ufając że im jako poddanym duchownych ludzie królewscy nie uczynią, ale gruby Kietlicz nie zważał na nie, kazał brać podwody, odgrażając się jeszcze że nie tylko mnichów ale i pańów biskupów Mieszko rozumu nauczy.

Ostrożny tylko poseł pański, na obronne gródki ziemian, na starszyznę bogatszą i silniejszą wprost się napadać nie ważył, szarpał ich z boku. Mniejsi

ziemianie, kmiecie, osadnicy i czerń najwięcej cierpiała. Był to początek. Za każdą sprawą za-usznik pański powtarzał że ład wprowadza i zakonu pilnuje. Obladowywano wozy wedle tego zakonu, bo eo się tylko po drodze schwycić dało, szło na nie, siepacze ryhotali ciesząc się dobrym obłowem.

Drugiego dnia gdy tak ciągnęli, uicopodał już będąc od Krakowa, wśród puszczy, Staszek pierwszy spostrzegł na łące pośród lasu kilku ludzi z oszczepami i łukami, stojących około czegoś czarnego, leżącego w pośrodku. Zdało mu się to jakby zabita grubą zwierzyną. Zaledwie się przypatrywać zaczął już i drudzy obaczyli zdo-bycz i kilku czwałem się puściło ku łączce i stojącym ludziom.

Ci jakoś nie umykali, choć tentent posłyszeli i zobaczyli najeżdżających, gwarzyli wesoło, stojąc nicopatrzeni, ukazując sobie ogromną bestję, która z okrwawionym pyskiem i rozdartemi trzewy pośród nich leżała.

Sam Kietlicz brwi najeżywszy, konia ścisnął i poleciał. Zdała już postrzegł Stach że tam około zwierza wrzask się począł, a ludziska przed chwilą tak weseli, ze strachu popadali na kolana. Gdy podjechali bliżej ku miejscu, gdzie się już Kietlicz i jego przybocznicy do wiązania łowców i zabierania niedźwiedzia zabierali, usłyszał wrzask ogromny.

Kmieć który szkodnika zamordował w lesie, czuł się całkiem niewinnym, Kietlicz to rozumiał inaczej, smagał go i krzyczał na całe gardło.

— A! myślisz ty nieponin, rabusiu że ci po lasach bezkarnie będzie wolno polować! Cóż to ty masz takie prawo jak książę?

Kmicć zbłądły, usiłował się bronić jeszcze.

— Ależ, miłościwy panie, las ci to mój własny, ta jucha mi barci popsowała i poniszczyła, pola potratowała, pokoju z nią nie było. Musiałem się bronić!

— A! pewno! bronić, szydził Kietlicz. Tak! A kogoś to prosił o pozwolenie robienia sobie samemu sprawiedliwości? Cóżś to ty zwierzchni pan? Sprawiedliwość i wymiar nie do kogo należy tylko do księcia? Ty sobie będziesz jego prawa przywłaszczał i bił niedźwiedzie, które z książęcych lasów przychodzą!

— Wiazać go! zagrzmiało. — Pacholowie wnet się do kmiecia porwali. Ani się już śmiał bronić, spodziewając w Krakowie może innego wyroku. — Kietlicz wołał śmiejąc się:

— Zapłacisz siedemdziesiąt! o! zapłacisz, miły kmieciu, za polowanie na pańskie niedźwiedzie, i będziesz miał naukę, kto tu jakie ma prawo!

Wnet ogromne zwierzę, dobry obłów pochwycono na wóz rzucając ze śmiechami wielkimi, a że na wozach już dla kmiecia miejsca nie było,

ręce mu związawszy, pieszo go za wozem popędzono.

Kmieć, jak widać było z odzieży, dostatni, szedł zniewagą tą i samowolą zburzony tak że od zmysłów odchodził prawie, a że bronić się nie miał siły, smagali go popędzając i drwiąc pacholkowie.

Na niego teraz jako na nową ofiarę, całą swą złość wywierał Kietlicz, potrzebujący ciągle kogoś smagać językiem.

— U nas tu wszyscy panowie, — wołał, — księcia nikt znać nie chce, kmieć chce być panem u siebie, zagrodnik u siebie, ziemianin, władyka, każdy se pan, nie licząc duchownych co nie tylko u siebie ale u drugich jeszcze panami chcą być. A no! tego dosyć! dosyć. Mieszko was weźmie w kluby i nauczy lepszego rozumu.

Będziesz ty się bał i wiewiórki zabić w ogrodzie, jak powrócisz z Krakowa! Wkrótceby na pańskie łowy zwierza nie stało za niemi.

Szukająca przyczepek, rzucając oczyma na wszystkie strony gromada Kietliczowa, prawie co krok nowe chwytala ofiary.

Żadnego człowieka nie pominięto nie zatrzymawszy go, nie spytawszy kto był, z kąd, jakiego stanu, a pytania te Kietlicz i Bereza Łużycczanin też, namiestnik jego, z ogromnym lbem rozczochranym i czerwonym pyskiem, bez jednego oka

i ucha — tak umiał zadawać, że każdy się splątać musiał, gdy się nań raz usiedli.

Wśród gościńca obskakiwano pola do koła, przejeżdżających, zahukiwano, badano, targano i mało komu się udało wyklamać i wydobyć z rąk napastliwych. Nim do Krakowa się zbliżyli nabranych ludzi narosło, wozy się wszelkie zdobyczą powyścielaly do góry a dobra myśl taka była u wszystkich, że gdyby nie Kietlicz, gromadaby jak łotrzyki puściła się pewno na dwory.

Już się do grodu zbliżali, gdy na gościńcu od Krakowa, pokazał się orszak znaczny zwolna się ku nim posuwający.

Zdała widać było nielada pański dwór, i Kietlicz który przodem jechał wzięwszy się w boki a wzroku nie miał zamkniętego, bo od innych był trzeźwiejszy, niespokojnie się jakoś na ludzi swoich obejrzał. Na razie dał znak pewien, który oni zaraz zrozumieli. Wnet do koła się ścisnęła jazda i obstała wozy aby ich i jeńców jak najmniej widać było.

Staszka też z końmi jego pehnięto gwałtownie w środek taboru i ukryto. Ciszzej stało się w gromadzie, wrzaski ustawać zaczęły, rozpasana swawola przycichła.

Bereza, który jednym swoim okiem lepiej widział niż drudzy dwoma, pomrukiwał sam do siebie.

— E! e! wojewoda, daj go katu! Dość że my go zawsze gdzieś spotkać musimy.

Z twarzy Kietlicza widać było że i on zetknięciu się z wojewodą niekoniecznie był rad; wstyd mu było tych łupów, które wioził z sobą.

W istocie jechał naprzeciw nich od Krakowa Szczepan Pobożanin, wojewoda krakowski, wielkiego znaczenia między ziemiany mąż, którego i sam książę szanować musiał. Jak on doszedł do tej wziętości iż wszystkich ziemian krakowskich w garści trzymał i czynił z nimi co chciał, odgadnąć było trudno. Więcej pono winien był zręczności i przebiegłości niż rozumowi, dużo gościnności swój a trochę i temu że wiedział za co kogo brać i z której strony łaskotać. Nie mniej wszystkim był potrzebny i uważali go a nawet Biskup Gedko, choć często się nań zżymał, bez niego się nie obchodził.

Poznał go Kietlicz zdala po znajomym koniu cisawym na którym jechał i postawie rycerskiej, bo choć stary, Pobożanin rad młodego udawał, naostatek po kołpaku, u którego zawsze kilka piór czaplich do góry nastrzępionych nosił.

Człek był, mówiono, mężny w potrzebie, zachwaly na czasie, a tak zręczny że nikt go nigdy w pole nie wyprowadził, on zaś niemal każdego. Dla bab tylko miał pono za wiele słabości; za co go Biskup łajał.

Twarz wojewoda miał mało zarosłą, pełną, oczy przymrużone nieco, jakby mu światło wa-

dziło, oblicze całe dobroduszenie się uśmiechać zdawało, ale chytróść z niego przeglądała.

Nikt nigdy nie mógł powiedzieć z pewnością, komu on praw był, komu krzyw, bo ze wszystkiemi równo obchodził się jak najlepiej, potakiwał, pochwalał — nikt nie zgadł co myślał i trzymał. Nie pogniewał się też nigdy prawie, rzadko sprzeczał; gdy do dzieła przychodziło skinął lub sam wystąpił, dwoma słowy swoje robiąc. Rozprawiać z nim nie było co, bo w słowie był nie mocny, ani zważał wiele na nie, ni go słuchał.

Jednakże od niejakiego czasu wojewoda, jak powiadano, podupadł był nieco i osłabł, o co obwiniano jakieś pokątne miłostki.

Nosił się sam niezbyt z pańska, przystojnie jednak i ochędoźnie, dwór zaś miał taki że i książęcemu nie ustępował. Mieszek i jego zauszniczy, choć nigdy się nie przeciwił księciu i rozkazy jego spełniał milcząco, nie lubili go, bo im był za silny i nie korzył się jak inni.

Nie stąpił pan Szczepan ani do Krakowa, ani po Województwie żeby ze dwóchset ludzi doskonale uzbrojonych nie miał przy sobie. Oprócz tego dwór go znaczny otaczał, młodzież ziemiańska, Pobożaninów krewniaków siła i powinowatych, urzędnicy różni, podkomorzowie, cześnik, komornicy, kapelan, który razem za kanclerza mu służył.

I tym razem gromada ich była około niego, za wojewodą jechała starszyzna mnoga, potem pułkownik, niejaki Nagon, olbrzym pod którym mało który koń wytrzymał, dwornia, czeladź, i konnych mnogo, ciągnących się długim pasem. Wyglądało to jakby się na wojnę wybierali, bo i wozy były z namiotami i luźne szkapy i zbroje wieszono zapasne.

Garstka Kietliczowa szczupła się wydawała przy tym tłumie, a sam urzędnik książęcy na widok pana wojewody dużo stracił ze swęj buty. — Nareszcie dał rozkaz Berezie, aby się z ludźmi swemi i wozami w jedną stronę gościńca zsunął, dając przejazd wolny dla Pobożanina.

Wojewoda już zdala zobaczywszy, powracających z wyprawy Kietliczowych, których dobrze znał, zwolnił koniowi krok, bacznie się rozpatrując. Parę słów rzekł do kapelana i przybocznych, a gdy Kietlicz tuż podjeżdżał wystąpiwszy przed swoich, rażno mu się klaniać począł a witać, wojewoda konia strzymał lekkim skłonieniem głowy ukłon mu oddając.

Musiał i Kietlicz stanąć

— Zkądżeto pan Bóg prowadzi? — zapytał Pobożanin głosem na pozór obojętnym i wesołym.

— A zkądżeby, — odparł Kietlicz, którego gromada tymczasem pod wodzą Berezę, co żywiej bokiem gościńca przeciągała, nie bardzo się

dając przypatrywać sobie, jakby chciała bystrego wzroku wojewody uniknąć. Ten, jakby na przekorę. Kietlicza słuchając, oczyma ciągle szedł za jego taborem.

— A zkadźeby — mówił urzędnik, — ze służby pańskiej. Człowiek wiernie chcąc panu służyć, niema dnia i nocy spokojnej. Wszystko się za nieboszczyka Bolka tak porozpuszczało, że teraz siłą i mocą trzeba posłuch wprowadzać, bo nikogo ludzie znać nie chcą.

— Nikogo znać nie chcą! he! nikogo! — powtórzył obojętnie wojewoda.

— Bez grozy ładu nie będzie — dodał Kietlicz.

— Groza! groza! — mruknął wojewoda, tak że poznać było trudno czy ją pochwalał czy ganił.

Kietlicz nadrabiał pozorną weselością, chcąc ukryć zakłopotanie. Stał tak jakby rozrosłymi awemi plecami zakrywać chciał wozy i jęńców, ale wzrok Pobożanina sięgał w bok i zdawał się ciekawie rozpatrywać w tych skutkach grozy, o której słuchał.

— O! o! — zawołał — a to co! Widać żeście po drodze i łowy sprawiali, a niedźwiedzia tegiego położyli!

— Ja? uchowaj Boże! — odparł Kietlicz żywo, gdziebym miał czas na zabawę. W prawa łowów książących się nie wdzieram, nie śmiałybym takięj — pańskiej zwierzyny tknąć!

— He? — spytał wojewoda — poglądając mu w oczy.

— Oto ten, co go związanego prowadzą, zachwały człek, — odezwał się Kietlicz wskazując na jeńca swego; oto ten, pod pozorem, że mu bestja barcie i pola psuła, samowolnie ubił książęcego niedźwiedzia. To ujsć nie powinno bezkarnie!

— Bezkarnie! — powtórzył wojewoda! Im! bezkarnie! — W tój chwili oko jego padło na Staszka przejeżdżającego ze związanemi rękami. Uderzyła go znać rycerska postawa człowieka.

— A cóżto za winowajca? — spytał wskazując nań, bo jadący jakby naumyślnie zwolnił kroku, i spoglądał ku wojewodzie.

— E! ten! to, nie jest! — rzekł Kietlicz. — Sprawa inna. Jest tych spraw do licha, gdzie się potkniesz. Ten mi się śmiał opierać, urzędnikowi pańskiemu. Do tego już teraz przyszło że lada ziemianin, ot taki jak ten, niechce znać ani księcia, ani tych co są z jego ramienia wysadzeni!

— Wysadzeni! — wtórował wojewoda. -- ale cóżto było? gdzie?

— A, mała rzecz zaprawdę, — odparł Kietlicz ręką rzucając — niema o czém opowiadać.

— Ciekawym — rzekł wojewoda. — Cóżto było? co?

— Wjechałem jakoś na Sandomierskie ziemie,

— odpowiedział Kietlicz, — bo to tam granice od krakowskiego niepewne.

— Granice niepewne? hm! Sądziecie że niepewne? — rzekł wojewoda dobroduszenie — a ja zawsze sądziłem że się to wie dobrze, kędy ziemia Krakowska się kończy, a Sandomirszczyzna się zaczyna!

— Ja tam tego tak bardzo nie patrzę! — mówił Kietlicz, — albo to nasz książę nie jest wszędzie zwierzechnym panem?

— A! wszędzie panem! wszędzie! — potwierdził wojewoda.

— Zajechałem do jednego dworu po przewód i obroki, na Sandomirskiej ziemi — ciągnął dalej Kietlicz, — he! ci mi nie chcą dawać! Hu! tego ja ścierpieć nie mogę! Niechaj idą z żalobą na mnie kiedy chcą, psu braty jakieś, ale co ja każę to dać muszą! Pobieżałem z ludźmi do dworu, tam stary niby chory leży, umyślnie się czyniąc takim, aby się mnie zbyć psim swędem.

— He! he! Któryż to? Kto? — począł dopytywać wojewoda.

— Kto? Ot, ja go tam nie pomnę — odpowiedział coraz bardziej nie cierpliwiąc się już tém badaniem Kietlicz. — Ten drab zuchwałymi drzwiami zaparł przed nosem i do starego, niby chorego, puszczać nie chciał! Kazałem go wziąć aby

się do Krakowa przejechał i trochę strachu nadjadł, aby drugi raz mi w drogę nie śmiał leżeć.

— W drogę leżeć! w drogę leżeć! — powtórzył Pobożanin ciągle się przypatrując Stachowi. Ja bo tego człowieka gdzieś już widywałem, ocha! — pła mi się a przypomnieć nie mogę!

Kietlicz widocznie téj znajomości nie był rad.

— Ja tam o niego wiele nie stoję! — odezwał się sądząc że Pobożanin za nim wstawiać się zechce.

— Cóż z nim czynić myślicie? — zamruczał wojewoda.

— Należałoby go przed Sąd postawić, — rzekł Kietlicz, — za to że śmiał ksiąźcemu słudze opór dawać. — Oni wszyscy są zuchwali, przepuścić jednemu, drugi mi na kark wlezie.

— Wlezie na kark! — rzekł zamysłony wojewoda poglądając ku Staszkowi — jakby go sobie usiłował przypomnieć. — Jak on się zowie, ten — ten!

Kietlicz nazwiska nie wiedział, obrócił się do Berezy, stojącego blisko i krzyknął wskazując na Stacha, który téż niezbyt się oddalił.

— Spytaj go, jak on się tam woła?

Posłyszawszy pytanie i widząc że się ono do niego stosuje, Stach nie czekając Berezy, huknął ku Wojewodzie.

— Zabór z Przegaja! miłościwy panie!

Pobożanin głową kiwnął, zadumał się nieco,

zdawało się jakby miał zamiar za jeńcem przemówić, a Kietlicz był gotów mu go dać byle słówko rzekł, ale — wojewoda popatrzawszy, rozmyśliwszy się, jakby go jakaś pobudka nieznana wstrzymała od tego kroku, już usta na pół otwarte przynknął zlekka, Kietlicza pozdrowił głową skinieniem i konia swego podżegnawszy ostrogą, słowa nie mówiąc, wyminął go, puszcza-
jąc się dalej gościńcem.

Kietlicz jeszcze stał czekając na coś, gdy już pułk Wojewody, dwór, wozy przeciągać zaczęły. Z twarzy jego znać było, że mu szło nie w smak iż się Wojewoda nie wstawił za Zaborem — chętnie by się go zbył.

Z dobrą woli puścić go tak nie uchodziło. Klucąc więc po cichu konia gwałtownie w bok zwrócił, i z głową spuszczoną za swą gromadą o kilkadziesiąt kroków nań oczekującą podążył razem z Berezą. Wyprzedzili ją zaraz i stanęli na przedzie.

Mijając Stacha Kietlicz popatrzył nań z ukosa ze złością, chciał może wywołać pokorne słowo aby mu dać wolność i znajomego Wojewodzie ziemianina nie ciągnąć z sobą, lecz Stach jakby nie rozumiał, głowę odwróciwszy stał niemy i obojętny.

Spotkanie z Wojewodą i rozmowa z nim na nspособienie wodza wyprawy i jego towarzysza, złe jakoś wpłynęło, buta ich opuściła, twarze

pochmurniały, stali się milezący, oglądali się po kilkakroć na pulk wojewodziński mierząc go niespokojnemi oczyma.

— Ot, ot! jakieto wojska za sobą wszędzie pan Wojewoda prowadzi, — począł wpatrując się w pana i śledząc skutek swęj mowy. — Czy się sam jeździć boi, czy chce aby się jego obawiano! Niechajżeby Wojewoda, bo na to on wódz, a tu niemal każdy z tych ich panów, władyków ma tyle indu przy sobie że i księciu ich na żołdzie utrzymać takiej mocy trudno, aby się im zrównała!! Namnożyło się panów, namnożyło. — Albo to mała siła w Tęczynie, a u Leszczyców, a u Ciołków, a u Bogoriów, u Cholewów i — kto ich tam policzy... Pełne spiechrze broni, jak zechcą więcej jeszcze uzbroić, kto im zabroni?

Kietlicz nie odpowiadał nic, Bereza prawił dalej emokając.

— Hej! panu, paneczku! jak sobie człek pomyśli o własnym księciu aż strach! Jak im to rady dać? Bo to wszystko z Biskupami jeszcze za ręce się trzyma...

— Eh! — rozśmiał się Kietlicz szydersko — eh! głupiś! radę im damy — a no nie od razu — powoli. Nicktórzy też z nami trzymają, jak oba z Tęczyna. Od małych też bić poczniemy, przyjdzie na starszyznę kolej.

Bereza człek na pozór prosty, chytrąścią może pana swojego przechodził.

— Miłościwy panie, — począł kręcąc głową i uśmiechając się — ja to tam chłopisko jestem i rożnemu mam nie wiele, ino to wiem że jak stado zdziejeje, a zechce je człek wziąć znown pod bicz, nie od cieląt i krów poczynać mnsi, a od byków co idą przodem. Za temi trzoda pociągnie.

Kietlicz odwrócił się ku niemu zdziwiony, rozśmiał się na całe gardło, ale nie odpowiedział nic.

Noc tymczasem nadchodziła, piękna, gwiazdziśta, spokojna noc wiosenna. Na ciemnym tle niebios zdała zarysowała się czarno góra na której stał gród, wież parę i kościelne krzyże. Dołem miasto ukryte w drzewach i ogrodach całe tonęło w gęstym mroku, tylko gdzieś tam w pośrodku cieni, czerwone, jak gwiazdki zakopane przyświecały domostw okienka. Chłodem wieczornym wiało od rzeki i doliny. Wesołość dawna zupełnie jadących opuściła, gromadka skupiona postępowała w milczeniu, kiedy niekiedy tylko z wozów na których więźniowie leżeli jęk lub westchnienie słyszeć się dawało, skrzypienie kół i wymierzony chód koni.

Stach jechał zadumany, nie bardzo strwożony, rozpatrując się swobodnie po okolicy i więcéj zdając śledzić co go otaczało, niżeli się zajmować sobą.

Gdy uwaga straży odwróconą była od nich, albo głośniejsza rozmowa jéj dozwoliła, pochyłał

się ku wozom i po cichu jeńców rozpytywał, którzy mu półgłosem o swojej biedzie rozpowiadali.

Nie bardzo na to zważali dozorecy.

— Dobrzej myśli bądźcie, — mówił do powiązanych — co u licha! głowy nam nie zdejmą z karku, a no mieszkciem trzeba będzie przypłacić.

— Juści! juści! — mruczał jeden — my te sądy książęce dobrze znamy, jam już pod niemi bywał. Nie ujdzie z nich człek całym nie opłaciwszy się. Kiedy się na siedemdziesiątą skończy jeszcze Bogu dziękować.

— A jak siedemdziesiątą uienia czym płacić? — wtrącił inny — to co?

— No, to ci wezmą i bydło i stado i bareie, aż do zgła, jeżeli je masz; na to rady nie szukać. Daj, choćby gardło...

Tak po cichu gwarząc już i na zamek wjeżdżali.

W niektórych oknach na Wawelu świeciło jeszcze z poza okiennic pozasuwanych przez szpary, kilka z nich stało otworem i czerwone światło z nich się dobywało.

We wrotach straż chodziła, po wałach też snuli się wartownicy. Spokój wielki panował na grodzie, martwy jakiś i straszny, jakby ztąd wszelkie życie uciekło. Kietlicz Berezie coś poszeptawszy sam przodem, konia sparskwszy podbiegł ku skrzydłu dworca, około którego kilku ludzi

wyciegających pospiesznie na spotkanie widać było, zsiadł i zniknął.

Wozy z więźniami zawróciły na prawo poza keściół, w głąb' podwórców, ciągnąc ku ciemnym szopom, przy których się zatrzymały. Tu pobudzono czeladź, pacholkiwie poczęli wychodzić na wołanie Berezy i wozy otaczać. Jednooki z konia zsiadł i zaczął wydawać rozkazy co z jeńcami czynić miano, rozdzielając ich różnie.

Więzień, ciemnie i kar rozmaitych nie brakło na zamku, gdzie od niejakiego czasu na więźniach i pozamykanych ludziach nigdy nie zbywało. Pachoków też do obsługi przy nich było podostatkiem. Z wozów spędzać i ściagać zaczęli pobranych, dzielić ich, i gnać na wszystkie strony.

Stach nie zsiadając z konia na los swój czekał, ale nim się wcale nie zajmowano.

Czeladź zobaczywszy na wozie zabitego niedźwiedzia naprzód się tłumnice zbiegła do niego radując się zdobyczy, rozpytnając, targając za lapy i nszy.

Tymczasem więźniów po parze, po jednym, popychając kijmi i kłakami pędzono do szop i komor.

Pacholkiwie z pozapalanemi szczapami stali we drzwiach spierając się z sobą i znęcając nad biednemi, z których wielu już wprzód potłuczonych i zbitych ledwie się wlec mogło.

Dla Stacha widok to był bolesny, ale ciekawy. Nigdy tak z bliska nie widział gospodarstwa Kietliczowego, o którym się nasłuchiwał wiele. Przemyslał właśnie co z nim w końcu uczynią, gdy kolej nań przyjdzie, ale popychany znalazł się nie wiedzieć jak zupełnie sam z ludźmi swojemi poza taborem, i za strażą. Żegieć sługa jego wierny i czeladź ręce mieli wolne, w oczy mu patrzali czekając skinienia. Jakby na umyślnie zdali się o nim zapominać, a że Stach zrazu z miejsca się nie ruszał, ten i ów z drogi go spychał dalej, nikt ani nań spojrział ani się o niego zatroszczył. Brano go może iż jeźdźnym był, za jednego z przystawów.

Przychodziło mu już na myśl że gdyby rąk nie miał spętanych, łatwoby mu było cofnąć się w ciemny kąt ku kościołowi, a może nawet i za wrota wydobyć. Widać że tę samą myśl powziąć musiał Staszka wierny sługa, koninszy jego Żegieć (od Żegoty tak przezwany) bo przyskoczywszy do pana, nie mówiąc nic, począł mu co prędzej ręce spętane rozwiązywać.

Ucznuwszy ręce wolnemi, Stach z koniem w głąb' cofać się począł, czemu nikt nie był na przeszkodzie. Czelaź go własna zasłaniała i otoczyła. Kietliczowi ludzie będący na straży, wszyscy około szop i wozów mocno byli zajęci i Stacha, równie jak Bereza, z oczów stracili. Światło od łuczywa nie dochodziło daleko, otoczyła go ciem-

ność nocna. Wszysey więc razem cofnęli się z koni nie zsiadając ku wrotom, w których straż wprawdzie stała, ale ucieczki choć próbować było można. Stachowi się uśmiechała ta myśl dziwnie.

Żegieć mileząc ruszył przodem, starając się przemknąć jak najciszej, wszysey ciągnęli za nim. Stach jeden oglądał się czy nie gonią.

Nie było widać nikogo, słyszeli tylko hałas za sobą i krzyki a nawoływania tych co więźniów do szop pędzili, a śmiechy czeladzi co jeszcze się niedźwiedziem ubitym zabawiła, ustawiając go przy wozie

Cofając się tak bez przeszkody Stach dostał się pod kościół, zdjął czapkę i przeżegnał się. Przed nim widać już było wielkie wrota zamkowe zaparte i straż z żelazcami na drągach, która około nich się przechadzała. W ciemności rozpoznać ludzi, twarzy, nawet stroju było trudno. Żegieć na to pono rachował, i nie wiele myśląc zuchwale wprost na wrota już jechał, sam przodem. Dotarł aż do straży, a tu półgłosem ale nakazująco wołać począł.

— Wrota! otwieraj! słyszysz! pańskie rozkazywanie! wrota dawaj! héj! Sam, a przedźj!

Stacha jakoś strach nie brał wcale, i o mało się ze śmiałości swojego konincha nie rozśmiał na głos. Żegieć nakazywał natarczywie i groźnie; a jak to najczęściej bywa, że wielkie zuchwalstwo popłaca, strażnicy rozespani posłyszawszy

wołanie groźne i śmiałe, nie pytając więcćj rzucili się do wrót, poczynając je otwierać.

Stach jeszcze patrzył i słuchał ryehłoli ich nagonią i kijmi może popędzą do więzienia, gdy już wrota skrzypnęły na wrzeciądzach, otwarły się na w pół, a Żegieć nie myśląc czekać na drugą połowę, rzucił się w nie wołając na swoich, aby za nim pospieszali.

— Miłościwy paunie, za mną! za mną! Wpadli tedy wszysey jak w czarną czelnsć w branię ciemną, w której z drugiej strony blade światelko niebios migalo wskazując im drogę. Stach posłyszał mijające straże jak klęły że spokojn nie mieli po nocy z wjeżdżającemi i wyjeżdżającemi bez ustanku.

Za wrotami ku dolinie się spuszczałych chłodnijsze obwiało powietrze, ciasną drogą zjeżdżali ku miastu; Żegieć przodem pospieszał, aby co prędzej minąć wawóz i wpaść w miejskie uliczki, gdzie już byli bezpieczni.

Śmiejąc się Stach za nim podążał i czeladzi reszta.

— Bóg ci zapłać — rzekł do koniucha - boś ten rozum miał, którego ja nie znalazłem w sobie.

— A czegoż mieliśmy czekać, kiedy, Bogu dziękować, zapomnieli o nas. Musiałem ja rozum mieć, kiedy im go zabrakło! — odparł Żegieć wesóło. — W miasto! w miasto! tu nas już nie pochwycą!

Ucieczka się tak powiodła niespodzianie jakby na nią z umysłu przyzwolono; Stach był nawet tego przekonania, że nie wiedząc co z nimi robić, a innych mając dosyć, dali im wolę. Jednakże nie bardzo się na to spuszczać było można, pogoni mogła wynieść po obliczeniu się więźniów, niechodźć trzeba było co najrychlej z drogi i gościńca, a wpadłszy na miasto i przedmieścia szukać sobie gdziekolwiek tymczasowej gospody, bo konie były zmęczone. Stach bywał często w Krakowie, ale ponajlepiej znajomego nikogo tu tak dalece nie miał, do kogo by się o przytułek mógł zgłosić. Szukał próżno po głowie.

Ruszyli więc z Waweln na oślep, pomijając ledwo większe ulice, w najciaśniejsze opłotki i ogrody, nie oglądając na resztę ludzi, która za panem i Żegciem jak mogła podążała. O nich się frasować nie mieli potrzeby, bo czeladź była młoda, żwawa i roztropna, po drodze się więc pogubić nie mogła i rady by sobie dała zawsze.

Noe była późna i ciemna, na wypogodzoném niebie iskrzyły się gwiazdy, a rąb k jeden ku wschodowi już jakby odblaskiem zbliżającego się dnia bieleć zaczynał.

W uliczkach wąskich, któremi się przeciskali spało wszystko, okiennice były pozasłaniane, światła pogaszone, grobowa cisza panowała przerywana tylko śpiewem słowików, które zawodziły pieśni po gęstych krzewach ogrodów i paniem

kurów czujnych. Gdzieniegdzie z poza płotów i tynów, budzące się psy njadały tentent posłyszawszy, a na ich głos odpowiadające inne, wzdłuż drogi witały ich szczekaniem.

Nie wiedzieć gdzie się podzić było i co czynić z sobą, Stach już myślał czy się nie rzucić za miasto kędy w lasy, aby tam dnia czekać, konie puściwszy na paszę i wymiarkować co poczynać dalej, gdy w dali smugą jasną, szeroką światło się pokazało na drodze i trzy okna zobaczyli rozwarłe szeroko, jak za białego dnia, z których oprócz jasności głosy się huczne i hałaśliwe dobywały.

Zbliżając się bardziej ujrzeni na drodze około oświeconego dworku, stojące tu i owdzie przy płotach konie posiadlane, wozów parę i czeladzi dosyć leżące na ziemi.

O tój porze to późne jakieś oczekiwanie w mieście było rzeczą niezwykłą, zrazn też Stach się wstrzymał, nie wiedząc na co popadł, i chcąc zrozumieć co się we dworku tym działo. Pogrzech to był czy wesele?

Jechać miał dalej czy zawracać? nie pewien jeszcze wahał się, gdy przysunawszy się dosyć blisko, z okien otwartych chwycić zaczął dola-
tnjące aż tu głosy. Było ich tyle zmieszanych że w początku, oprócz wykrzyków i zaklęć nie nie mógł zrozumieć. Wkrótce jednak gwałtowniej-

sze wybuehy się uśmierzyły i pojedyncze głosy wyraźniej występować zaczęły.

Widoczném było że się tu jakieś narady odbywały, z których wielkiej nie czyniono tajemnicy, mając do kola rozstawioną czeladź i nie obawiając się podsłuchania.

Z urywanych słów dorozumiał się Stach łatwo iż tu jaeyś ziemianie zebrani być musieli. — Ten i ów występował z narzekaniem na złe czasy, z tém że nigdy jeszcze tak ciężko żyć nie bywało.

Gdy Stach zatrzymał się, Żegieć, który powodzeniem był rozochocony i śmielszy, nie pytając pana z konia się zaraz zsunął, dał go trzymać jednemu z czeladzi i pieszo po pod płotem przysunął się do śpiącej i spoczywającej służby, porozkładanej na ziemi przy koniach i wozach. — Niektórzy gwarzyli i zabawiali się. Zobaczywszy Żegcia przekradającego się Stach już pewny że mu języka przyniesie, sam się zatrzymał nie idąc dalej.

Jakoż nie wyszło i trzech paeierzy gdy już Żegieć rażno ku panu przyskoczył, spiał się doń i zawolał.

— E! dobra nasza! toćto wszystko swoi! Miłościwy pan znasz dobrze Jaśka Bogorję — onci tu też j. st. . . Pacholka jego Maćka widziałem pod płotem, chrapiącego. . . On sam jakom żyw. Tylko się wam między nich dostać, a tu już bezpiecznie, ci nas nie wydadzą!

Stach tedy z konia zsiadł i poszedł pieszo.

Jaśka Bogorję znał w istocie dobrze. Byłto, już naówczas bardzo możnego rodu syn, człek rycerskiego powołania, wesołego umysłu, najlepszego serca, ale wietrznik i szaleniec. Gdzie jeno gwar był, wrzawa, pijatyka, kości i zabawa, tam, ino patrzeć, a pewno go znaleźć było można. Znał Rogorja Stacha jako Zabora z Przegaju, czy się domyślał co się kryło pod tém przczwiskiem, trudno było zgadnąć, to pewna że nigdy go o nie nie pytał, nawet o dawniejsze lata. Godzili się z sobą dosyć dobrze, choć Bogorja młodszy był a Stach poważniejszy i na oko nie byli do siebie podobni, przecie Bogorja bardzo rad z nim przedstawiał i czasem po całych tygodniach go u siebie ugoszczał, odpuszczać nie chcąc.

Wprost do niego mógł się więc Stach udać, nie tając co go spotkać miało. Weisnąwszy się śmiało pomiędzy czeladź, wszedł we wrota, które stały otworem. Tu gwar jeszcze slychać było większy, we dworku przez okna poroztwierane zobaczył gromadę wielką ludzi po większej części poważnych, których znał ledwie z widzenia.

Zatrzymał się w progu, tu mu się człek służebny ze dwoma dzbanami w rękach nawinął.

Sięgnął do kieszeni Stach po pieniążków parę.

— Słyszysz człeczko, — rzekł do niego, — jeżeli Jaśka Bogorję znasz, daj mi go tu, jeżeli nie znasz sam, pytaj o niego.

Tych słów domawiał gdy poza sienią u drugiego progu Jaśka posłyszał, głośno coś wykrzyknącego, nie pytając więc poskoczył i za rękę go pochwyciwszy wywiódł do sieni. Ten z gębą jeszcze pełną śmiechu, zdumiał się nieznmiernie gościowi niespodziewanemu.

— I ty tu? a to co? — zawołał.

— Chodźmy do sadu na słowo — odparł Stach.

Szli tedy razem w cień pod drzewa, a Bogorja nie śmiał się już.

— Widzisz, bieda mnie tu przygnęła — począł Stach prędko. Byłem w Sandomirskiej ziemi w jednym domu, gdy lieho tam Kietlicza o przewód przyniosło. Nie chcieli mu go dać, mało gródka szturmem nie zdobył, a gdy go puścili dokazywał tak, iż broniąc gospodarza starego cherego, musiałem mu opór stawiać. Wziął mnie bestyja związanego na zamek i aż do Krakowa przyciągnął, ale mu się pociemku z Wawelu wyrwał, no, uciekłem. Gotowi za mną gonić, nie ma godziny, gdy się to stało — albo mnie ratuj a daj się gdzie przechować, a nie, to pójde szukać jakieś myśiej dziury, aby do czasu im z oczów zejść.

Bogorja go po obu ramionach rękami uderzył.

— A psu brat Kietlicz! — zawołał — szczęście żeś się tu do nas dostał. Jest tu kupa ziemian, władyków, starszyny, nie damy cię choćby przyszli, bywaj z nami! Chodź ino zenną. W samą porę żywy świadek powiesz im, co Kietlicz

dokazuje, on i pan jego już nam wszystkim kością w gardle siedzą.

Przecieśmy tu ojezyce, ziemia nasza nie czyja!
Trzeba radzić! Chodź ino!

I ujawszy go pod rękę, pociągnął za sobą do oświeconej izby, w której ścisk i gorąco były niezmierne

V.

Zdawien dawna tak bywało, że gdzie się ziemian kupa zebrała, nigdy na wesołej myśli nie zbywało.

Sprawa sprawy nie tamuje, mawiano, naradziwszy się o rzeczach poważnych, choć rzadko się na nie kilku zgodziło, miód, wino, ba i piwsko proste wszystkich potém serca i umysły jednało. Dopiero przy kubkach zgoda wyśmienita rosła, a choć z niej czasem znów znieńacka zwada wybuchła, byle trochę krwi sobie upuszczono, wracano w przyjaźni do dzbana.

Bez dzbana nie obeszła się ani rada, ani zwada. Dobrze to było czy źle, dosyć, że serca rozgrzewać musiano, po miodzie w oczach się stawało jaśniej, w piersi swobodniej. Obyczaj to nie dzisiejszy a wiekowy.

I tu też we dworku pana Leszczyca, który na swój czas obszerny był, a czy pan doma czy nie, za gospodę ziemianom służył zawsze, i jechał doń kto zamarzył — myśl panowała nader wesola, zwłaszcza, że już nocy zostawało nie wiele, na dzień się brało, mieli więc czas ludzie nagaść się, pobratać, wyściskać, wyklócić i pogodzić.

Dnia tego pełno było jak nigdy; zdawało się że od gąszczy téj ściany się rozsada — ludzie ledwie się poruszali. Ław nie stało do siedzenia, niektórzy już legli na ziemi, inni się spoczywając mieniali, niektórzy na zimny piec wlaższy i nogi pospuszczawszy bili niemi, aż glina z niego leciała. Siedzieli i na progu i na beczulkach pustych i na kolanach jedni u drugich.

Mówili, prawda, wszyscy razem, ale to nie nie wadziło, bo mało kto czego słuchał. Każdy mówić chciał i tego mu było dosyć, gdy się wygadał. Rozmawiali więc niektórzy podochoceni i w ten sposób, że jeden i drugi razem prawili, każdy co innego, a śmieli się oba, bo im jakoś na sercach lekko było.

W istocie zaś śmiać się tak bardzo nie było czego, gdyż nie lada o czém mowy były w początku i nie na lada co się w skutek narad zbierało.

Gdyby Kietlicz mógł być posłuchać o czém tu gwarzono, włosyby mu na głowie powstały, tak pana jego i sługi nie szanowano.

A nie lada ludzie zbierali się tu we dworku Leszczyca, choć po nich powszedniego dnia nie widać było tak dalece ani zamożności, ani mocy.

Byli to sami władcy, ziemianie, starych tu-tejszych rodów dzieci, ojczyce krakowscy, siwe głowy, jasne czoła podnoszące się dumnie do góry.

Nie znajdował się tylko między nimi wojewoda Szczepan, któregośmy na gościńcu spotkali, ale w jego miejscu starszy syn i młodszy brat gościli u Leszczyca. Obok nich Starżowie, Bogorje, Leliwy, Różyce, Ciolki, Gryfy, Kaniowy, Grzymaly. Któż zresztą mniejszych i większych policzy. Wszystko to byli potomkowie rodzin, z których książęta musieli brać swych wojewodów, pałatynów, sędziów, marszałków, podkomorzych, panów radnych, *Comitów*, — rodzin, których dzieci zasiadali teraz coraz częściej przed cudzoziemcami na biskupich stolicach, tych co naówczas kraj przedstawiali i myśleli zań, a prawie sami nim byli.

To co niżej stało u pluga, na roli, nie mieszkało się do niczego, a słuchać musiało starszyzny. Kmicć by najbogatszy, choć się trochę sprzeczał i spierał, przecie woli swój nie miał, inne stany jeszcze skąpiej nią były obdzielone i służbę tylko znały. Choć który wolnym się zwał, w rzeczy nim był mało.

Książęta ze swym dworem, duchowieństwo, ziemianie a władcy, rycerstwo z nich złożone,

stanowili kraj, reszta się nie liczyła, szła tylko jak na podściół, a miano nad nią tyle miłosierdzia, ile kościół, z nanki Chrystusowej czerpiąc ostrożnie, dopuszczał się litować.

Panowie ziemianie z duchownymi byli w najlepszej zgodzie, lepszej niż książęta, którym władza duchowna zawadzała. Owi więc władcy, co się w dworku Leszczyca zeszli a naradzali, mieli na barkach całe ówczesne krakowskie, które od wypędzenia Szczodrego, w ogromną butę urosło, jak duchowni we władzę.

Przez całą tę noc, nie było prawie mowy, wśród śmiechu i wrzawy o czem inném, tylko o Mieszku i zauszniku jego Kietliczu. Dali się oni już we znaki nboższym ziemianom, przychodziła kolój na potężniejszych, odgrażał się książę, pod słuchano już nie jedno słowo straszne i groźne.

Wiało od wawelskiego grodu jakby niewolą na tych możnych, co sami panami być już nawykłszy, żadnej władzy znosić nie chcieli.

Gdy Jaśko Bogorja za rękę wiodąc Stacha wszedł do izby, do góry podnosząc dłoń i wołając, że ciekawego wiedzie gościa, którego posłuchać warto; choć wrzawa była okrutna, poczęło się uciszać naprzód w pobliżu Stacha, któremu się przyglądano, potem dalej coraz, dopóki i po kątach milczenie się nie usadowiło. Cisnęli się tylko ciekawi dokoła, rozpatrując w przybyłym,

który choć z postawy okazały, strojem nie bił w oczy.

— Co to za jeden? kto? z kąd? — pytali dalsi.

— Ziemianin z pod Spicymirza — zawołał Bogorja — ja go dawno znam, rycersko dużo służywał po świecie...

Uderzył go po ramieniu.

— Tęgi chłop!

— Z kądże się tu wziął? Niech gada sam! — poczęli inni z pieca i z ław się odzywać.

Leszczyc gospodarz, który już częstując innych i sam sobie podochocił, człek siwy, wesołego oblicza, gościnny a uprzejmy, wraz kubek nalał, i nim Stach mówić zaczął, podał mu go.

— Naprzód sobie gardło i usta przepłuczcie, aby mowa szła gładziej — rzekł wesoło.

Stach będąc i głodny i spragniony, przyjął chętnie co mu dano i do kropli wychylił. Przypatrywano mu się zewsząd, niektórzy coś szeptali między sobą, bo im się twarz przypominała, że ją kiedyś widywali.

— A no, praw! niechże gada! — nalegano niecierpliwie.

Stachowi miód koło serca rozgrzał, zrobiło mu się raźnie i wesoło, więc co miał boleściwie stękał na swą dołę, nastroił się do swych słuchaczy i wziął swą przygodę z ucieśnnej strony.

— Miłościwi panowie — odezwał się usta ocierając — nie ma to znów nic tak rzadkiego a oso-

bliwego w tém co ja mam opowiadać, pana Hendryka z Kietlic mało kto nie zna, że to pan żartobliwy wielce a ucieszny, który podczas i skórę gotów drzeć z ludzi, aby się pośmiać gdy piszczy.

Buchnęli niektórzy śmiechem wielkim.

— A no! a no! słuchajmy!

— Rzec się tak miała — ciągnął Stach — miałem pewną sprawę własną do starego Ścibora ze Ściborzyc.

— Oh! — przerwał jeden — łatwo zgadnąć, pewno że się jego córki zachciało, a tego draba nikt nie dostanie, choć dziewczka hoża, ale z niej żołnierz nie żona.

— A no — niech prawi! — wołali inni — dajcie mu gadać!

— Nie po dziewczem ja tam jechał, bo mi to nie w głowie — odparł Stach — stara sprawa, inna powiodła mnie. Ścibora zastałem, jak on już pono oddawna, niemocą złożonego i z pościeli niewstającego.

— Stary jak świat! — wtrącił ktoś.

— Gdy my z nim gwarzemy, u bramy słysząc łomot. Krzyki, lud się zbiega z gródka, myśleli, że znowu Polowce czy Ruś nachodzi, wrzawa, hałas, aż strach, stary mnie do bramy kazał, pobiegłem. Pod wrotami Kietlicz stał i rwał się je tłuc a wybijać, że mu ludzie we wsi przewodu odmówili dla jego czeredy. Ściborzycy są już na pana Kaźmierzowój dzielnicy w Sandomirskiem.

Patrzę, gruby Kietlicz z koniem skacze a klnie i odgraża się.

Kazał go Scibor puścić. Wpadli na zamek jak do zdobytego grodu, dawaj przewód, obroki, strawę, a lają, a grożą, a biją. Wieźli z sobą ziemianie, kmieciów nabranych po drodze z chat, po gościńcach, po polach, powiązanych, zbiedzonych aż strach.

Scibor odczepnego dawać kazał co zażądają, aby się zbyć. Mało było wszystkiego. Ledwie nahałasowawszy wyszedł Kietlicz od chorego Scibora, zamknięto drzwi, bo zaniemógł gorzej stary. Począł się do nich dobijać, a jam stanął wchodu bronić, więc i mnie ziemianina obcego wiąź i prowadź pod sąd na zamek.

— A psu brat! — zawołał któryś z tłumu. — Zapłaci mu się za to!

— Dostałem się i ja w jego łapy — kończył Stach — a com się po drodze napatrzył, włosy na głowie stawały. Byle za co ludzi chwyтали. Niedźwiedzia jeden ubił, co mu barcie i pola psu, wnet go pod sąd chwycili, innych pobrano, że się wygadać nie umieli co zacz byli.

— Toć to powszednie rzeczy! — dodał inny.

— Dostałem się tedy na Wawel, na zamek, a tu, ot sam nie wiem jak się stało, pakując innych do ciup, o mnie zapomnieli. Stałiśmy, stał: czekając aż mi sługa mój ręce rozwiązał, no — i pojechaliśmy do wrót. Stać się uprzykrzyło.

We wrotach kazaliśmy otwierać, otwarto, my w konie i ot, zbiegłem tu do łaski waszój.

Poczęli się śmiać.

— Dobrześ uczynił.

— Byle w pogoń nie puścili się — zawołał któryś.

— To się na strych schowa albo do szopy — odparł Bogorja — Kietlicz tu pomiędzy nas nie wlezie, nie byłby bezpieczny od kulaków! ma on węż, tam gdzie oberwać można, drugich posyła.

Mówili jeszcze, gdy w uliczce tentent posłyszano — wszyscy zaczęli wołać — ot i pogoń macie! Bogorja z Leszczycem zabrali Stacha do komory — zniknął.

Inni oknami poczęli wyglądać poświstując.

Dzień już poczynąło, choć słabo, w uliczce postrzegli konno jadącego jednookiego Berezę. który z kilką pacholkami za sobą przybywał. Stanął przed dworkiem, ale postrzegłszy gromadę wielką ziemian, nie śmiał iść między nich. a w początku i pytać nie chciał. Oglądał się do koła: potem obrócił się do czeladzi przy koniach stojącej.

— Nie jechał kto *te*dy?

Czeladź zamilczała, ale z okien podweseleni krzyczeć zaczęli.

— A no! jechał na srokatym koniu nuniach z dziewczyną! Czy tych szukacie?

Drugi poddał.

— Jechał djabeł na krowie, nosem do ogona, trzymając się chwosta. Czy tego wam trzeba?

— Jako żywo — prawil trzeci — jechał na świni Serb z Łużyce, poganiając pomiotłem, pytał o drogę do Budziszyna i Kietlic! Jedźcie za nim prosto, potem od se, potem ksobie, i jak strzelił w wilczą jamę.

Ślady szkapa zostawiła po drodze, nosem dojdziecie.

Śmiano się do rozpuku z grubych tych żartów, Bereza jedyném okiem błyskał trzęsąc się z gniewu i zębami zgrzytał. Drwiny z niego nie ustały.

Ktoś inny poczał z za okna.

— Ja to tylko wiem, kogo szukacie! Posłuchajcie mnie! Ja wam powiem. Jechał tylko co go nie stało Palatyn, Kietlicz dworno bardzo. Psiarzy miał z sobą dwudziestu, a na wozach świń, wieprzów i wszelkięj zdobyczy co niemiara. Ruszył wprost na Łużyce, jedźcie i wy za nim, to go napędzicie i słoniny dostaniecie.

Bereza już dłużej nie mógł wytrzymać, podniósł rękę z bizunem do góry, konia ściągnął i zęby zacisnąwszy szybko popędził dalej. Pognano za nim śmiechami.

Choć to rozweseliło i tak już podochoconych po odjeździe Berezy, poważniejsza myśl wstąpiła we wszystkich. Młodzież się poczęła rozłazić na siano i po domach dla spoczynku, kupka star-

szych została sama w izbie, Stach z Bogorją przyłączyli się do nich.

Wtém Wawrek Leliwa, mąż poważny, pomyślawszy i rozglądnawszy się, iż płochęj młodzieży a obcych nie było — począł mówić.

— Ot czegośmy dożyli! Pęta nas ziemian czekają! Pęta! Niema się tu już co okłamywać. Mieszek chce tu sam jeden sobie panować bez nas, bez duchownych i ziemian. Nas czeka ciemnica albo kloc, a on sobie z Łużyc Kietliczów na wojewodów pościąga. Panowie ojezyce krakowskiej ziemi, trzeba około swęj skóry radzić.

— A no — odparł stary Cholewa — brat tego, który niedawno biskupem był, radzić trzeba, ino nie sierdzisto, powoli. Jak my wszyscy ziemianie i ksiądz biskup z nami zaśpiewamy, że tego nie ścierpiemy, musi się książę miarkować.

— Jako żywo — przerwał Stach — który wśród ogólnego milczenia głos zabrać się ważył, ja, choć do ziemian krakowskich się nie liczę, przecie słowo rzec mogę. Mieszka starego znam zdawna. Człek to twardy jak kamień, nie zmoże go nikt, ani nawet biskupi.

Ufa w to, że szwagrów i zięciów ma po niemczech i po całym świecie, chce mu się być więcej niż królem nad nami. Wszyscy gardła damy, jeśli się tak pociągnie, nikogo on nie oszczędzi. Gorzej to niż z Władysławem.

Śmiała ta mowa wszystkim usta zamknęła.

— Ino powoli! — odezwał się Cholewa — wyście młodzi w ukropie kapani. Myślicie pewnie tego się zbyć, a drugiego posadzić, abo to tak łatwa rzecz?

— Tośmy już przecie probowali — odezwał się Leszczyc — gdy pana Władysława przegnano.

— A mało to krwi kosztowało? — podchwycił Cholewa.

— Dziś że się ona nie leje? albo nie zabijają, nie sieką i nie drą ziemian ze skóry? — odparł Stach.

— Posłuchajcie mnie — odezwał się Cholewa — z tém naprzód potrzeba iść do biskupa. do Gedki, niechaj ojcowie duchowni poprobują i pogrożą.

— Tych on się nie zleknie — wrzucił Stach — Samem na uszy słyszał jak się Kietlicz odgrażał na duchownych, że i ich rozumu uczyć mają a posłuszeństwa.

— Co takie puste odgroźki ważą! — odparł Cholewa.

— Zatem nie czynić i dać się ze skóry drzeć? — spytał Bogorja.

— Uchowaj Boże, coś się na to uradzi i poradzi — zawolał Cholewa — Kietlicz musi iść precz.

— Choćby tak i było — odezwał się Stach — niepomocze to wiele, bo Kietlicz nie z siebie to czyni!

Zmłczeli trochę spoglądając po sobie, a tu

dzień biały w okna zaglądał. Stach widząc, że niektórzy ze znużenia ziewają dłońmi się zasłaniając, począł wnet, póki by się rozechodzić nie myśleli.

— Nie byłoby już żalu i sromu tego pana znosić z Kietliczami, gdybyśmy jego jednego mieli, a innego na podoręczu nie było. A tu — obok, tuż, jak ze złota ulany siedzi pan, co go zda się umyślnie dla naszej szczęśliwości Bóg stworzył. My białe kołacz mając, suchar spleśniały gryziemy.

— Hę? co! — zakrzyczeli drudzy — gdzie! o czym mowa? Kędy kołacz twój?

— Któżby inny miał być, jeśli nie Kaźmierz — dokończył Stach. — U niego i rozum i serce, praw jest i miłosierny, wszelakićj cnoty pelen. Jemu się dostało na szmatce ziemi siedzieć gdzieś w kącie, a nam trzeba Mieszka znosić z różgą żelazną! Ot, dola jego i nasza!

Zamilkli znów wszyscy, tylko Bogorja gorętszy poparł.

— Pan dobry, miłosierny, ludzki bardzo, Boga się bojący — a no, niewiem, czy gdyby my go chcieli, on nas zechce.

Już za Kędzierzawego prosił go Jaksa i Światosław i drudzy, klęczeli i błagali aby Kraków brał, odpowiedział, że jako żyw, bratu krzywdy nie uczyni.

— Ba! za Kędzierzawego! — przerwał Stach —

za Kędzierzawego cale co innego było, to i książę Kaźmierz sam poczuje. Tamtego jedni lubili, drudzy nie, a pan znośny był i na ziemian się oglądał.

— Prawda — dodał Leszczyc — Kędzierzawego z Mieszkiem nie równać, jakby nie jednej matki dziatkami byli. Tamten i słodkim pod czas umiał być, ten ino grozę zna, więcój nie, ale Kaźmierz jak na tamtego iść nie chciał, tak nie pójdzie i na tego. Przecie po śmierci zaraz prosili go i niedoprosili się, nie chciał przed starszym miejsca zabierać. Kruk krukowi oka nie wykole, brat nie pójdzie na brata.

— Co? brat! brat! — zaśmiał się stojący z tyłu żartobliwy zawsze Chmara, stary ziemianin, który zwykł był ze wszystkiego przedrzwiewać — książęta krewnych nie mają.¹⁾ Widzieliśmy przecie, jeśli nie my, to ojcowie nasi, jak na siebie nastawiali i oczy sobie łupili.

Jedni się uśmiechnęli, ziewać już poczynali drudzy, nastało milczenie znowu. Dzień się wielki robił, od zamku i od świętego Michała słyhać już było dzwonki kościelne. W uliczce pastuch miejski, który zbierał bydło aby je gnać na paszę, trąbił w róg oznajmując o sobie. Zwolna otwierały się wrota domostw i krowy rycząc szły

¹⁾ Principes non egunt cognatis; w przypisku do kodeksu Eugenjuszowego Kadłubka, stoi to jako polskie przysłowie.

do gromady. Rozmawiający znużeni bezsenną nocą zabierali się rozchodzić, kto spoczywać inni jechać po domach, lub szukać kąta, aby nocną zabawę wydychać na sianie.

Bogorja też kołpak z kołka na ścianie zdjawszy gotował się wychodzić, Stachowi dając znaki, że go z sobą zabierze.

Już mieli żegnać gospodarza i precz iść, gdy Leszczyc się z ławy podźwignął idąc do Stacha.

— Możecie u mnie jaki dzień przesiedzieć — rzekł — i nie wylazić na ulicę dopóki o was nie zapomną. Zostańcie tu lepiej, komorę wam dam dla spoczynku, a może też i nie zmarnujecie czasu u mnie, zdacie się wy nam, my wam. Pogadamy o Kaźmierzu.

Ostatnie słowa wyrzekł ciszej i tajemniczo jakoś. Stach posłyszawszy to, Bogorij coś na ucho szepnął i został. Rozchodzili się wszyscy. Konie gościa już dawno z Żegciem były pod szopą u żłobów, Leszczyc do komórki od ogrodów zaprowadził Stacha na posłanie i rzekł mu krótko.

— Teraz sobie wypocznij, pomówiemy później o naszej sprawie.

Zmęczonemu długą jazdą miło było módz się wyciągnąć na sianie i skórze, oczy przymknąć i snu próbować. Złamany był na ciele, ale w ciągu tych dni kilka różnych rzeczy zakosztowawszy, pragnął więcej jeszcze, potrzebował się też z pamięcią obrachować i tém co czuł a przebył wię-

cęj niż snem pokrzepić. Ochota do czynnego jakiegoś zajęcia, przejmowała go, rzeczy się dlań pomyślnie składać zdawały.

Dziwną ten Stach naturę miał, choć lata i przygody znacznie ją już ukołysały i przytarły; gorący nad miarę, gdy sobie w łeb wbił ćwiek jaki, nikt, ani on sam nawet już mu go z niej dobyć nie mógł. W innych ludziach lata tępią co przyostre było, chłodzą co za gorące, w nim się wszystko zdawało zaostrzać jeszcze i rozpalać z latami. Tak dla sprawy księcia Kaźmierza nie tylko nie zubożał i nie ocieżał, ale coraz stawał się gorliwszym. Zdało mu się, że właśnie teraz przychodziła chwila najpomyślniejsza, aby go na stolice wprowadzić. Cieszył się nie pomiernie, że on mały i niewidoczny, pomoże do tego, podbudzi i wahających się napędzi. Smł już teraz jak to zrobić, aby Mieszka co rychlój się pozbyto, a Kaźmierza wzięto. Ziemianie byli do tego przygotowani, wahali się tylko obawiając ofiar, trzeba ich było zagrzać i do stanowczego skłonić kroku.

W Krakowie przekonał się, krótszą chwilę goszcząc pomiędzy niemi, że choć stary Cholewa i inni ostyglejsi jeszcze się nad zmianą wahali, wojny, krwi i zamieszania lękając, młodszy a bardziej codziennie drażnieni przez Kietlicza, zżymali się niecierpliwi pragnąc jarzmo zrzucić z siebie. Stach chciał żelazo bić póki gorące i z młodych korzystać, aby starych popychali. Sam los zdawał

się mu sprzyjać nastęczywszy schronienie u Leszczyca i Bogorję do pomocy; ztąd jak z ogniska na wszytkie strony sięgnąć było można.

Dokąd się naprzód miał udać i jak poczynać, rozmyślał właśnie. Leszczyc mu się dogodnym wydawał narzędziem, a dom jego najlepszym do wycieczek obozem. Bogorja mógł być pośrednikiem, inne znajomości łatwo się przez niego porobićby dały. Inie Kaźmierza już raz rzucone zostało i nie znajdowało oporu, trzeba więc było otwarcie go zalecać i jednać mu pomocników.

Z temi myślami płączącemu mu się po głowie. Stach rozgorączkowany to się zdrzemywał, to budził, a nie one jedne go trapiły marami swemi. Biedny człek, który imienia i przeszłości wyrzec się musiał, nie miał gniazda ni rodziny, niewiaśc też nie znał krom takich, z któremi gdy się jednego dnia robi znajomość drugiego się do nich nie przyznaje.

Piękne liczko Sciborzanki śmiałej, dumnej, prawdziwej córki rycerza, utkwiło w jego pamięci dziwnie; prześladowało go przez drogę, nie dawało pokoju i teraz. Dziewka dlań była jakby z innego świata, rodem z niobios czy z piekła, podobnej i w swych włóczęgach po świecie nie spotkał nigdzie. Wzrok pogardliwy, lekceważący, nienawistny jakim na niego rzucała, piekło go do-tąd jeszcze, oczów tych zapomnieć nie mógł, widział je zwrócone ku sobie, paliły go, jak dwa

węgłe rozżarzone, bodły jak dwa noże w piersi white.

Opędzał się tym myśłom niedorzecznym, a wracały uparte. Marzył ci on też o niewiastach za młodu i później, ale zawsze o innych ciele, o takich giętkich, miłych, łagodnych co się na ramionach wieszają, do piersi lgną, uśmiechają słodko, szepeczą cicho a drżą i płaczą radę. O takich dziewczce królowej ani mu się śniło, aniby jęj pożądał, przecie zobaczywszy, chciwym się czuł poznać ją lepiej i przybliżyć się do nięj. Mówił już sobie, wziąłbym ją, choćby ona mnie potem, albo ja ją zabijać musiał.

Naprzemiany tak, to o dziewczce myśląc, to o Kaźmierzu swym, to o tych oczach dwojgu co nań patrzyły z głębi ciemności same, bez twarzy, straszne, Stach w końcu snem usnął kamiennym. Tysiące obrazów zwiły się w jakiś jeden zamęt straszny i zapadły w mrok nieprzebity. Spał potem już snem śmierci bez marzeń, bez czucia, bez miary i nierychłoby się był może z niego przebudził po znużeniu ciała i ducha, gdyby Żegieć nie począł go targać a ciągnąć, gdyż pod wieczór już było i sługa lękać się począł, czy się co panu złego nie stało.

Stachowi gdy oczy otworzył zdało się jakby ledwie tylko co usnął, spierał się, gdy mu Żegieć przez okno brzask zachodzącego słońca za krzakami ukazał. Leszczyc też dawno już był wypo-

czął i na nogach, czekał na Stacna, kilku już starszych mając znowu w gościnie. Prędko więc zerwał się rozespany i z pomocą sługi umył i przyodział, aby czasu marno nie tracić. Dziwno mu tylko było, że sen co miał pokrzepić, gorzej go jeszcze złamał i znużył. Czuł się po nim zbity i osłabły.

Wielka izba, do której wszedł, po wczorajszej w nią ciżbie, wydała mu się prawie pustą. Leszczyc jeden chodził po niej, Cholewa i Leliwa siedzieli za stołem, dwu na uboczu w kącie szepotali coś ławę zajawszy.

Stach począł się tłumaczyć, iż zasnął tak długo, uśmiechano się nie dziwując. Gospodarz kazał podać jeść, bo sen głodu przysporzył, nie mówiono zrazu nietylko o małych sprawach, a jak się wczoraj zabawiano. Dopiero gdy się służba rozeszła, zostali sami, Leszczyc zagaił.

— Wczoraj rzekliście słowo, pewno nie na wiatr — odezwał się do Stacha — utkwilo ono w pamięci u nas. Znacie wy bliżej księcia Kaźmierza niż my? mówiliście z naprawy czyjjej czy z siebie?

Tu, że się nań wszystkich oczy obróciły i utkwily w nim. Stach zarumienić się musiał, zmieszał, oczy spuścił, uląkł czy się czego nie domyślano. Przyznać się nie mógł kim był, klamać dobrze nie umiał, musiał więc wywijać ni tém ni owém.

— Księcia Kaźmierza znam dobrze — odezwał

się. — Czasu swego byłem u niego na dworze, a choć zdala stałem od osoby pańskiej, toć się zdaleka często lepiej widzi niż zbliżka, gdy oczy są olśnione. Znam go sam przez się i przez ludzi. Zresztą, miłościwi panowie, mało to, że ja go znam, mnie się zda, że go wszyscy znają.

Z całego potomstwa Krzywoustą, nie było nad ich dwu najmłodszych, jak perły w koronie, siedzieli oni w rodzie swym; nieboszczyk Henryk złota dusza, rycerz pobożny, który się w ojca wdał, ano mu Bóg długiego nie użyczył żywota, i oto ten nasz Kazmierz, co bezdomnym był, jak sierota się tulał, w niewolę był oddany przez braci, a wyszedł z niej i z rąk niemców, jak złoto z ognia.

Dość powiedzieć, że go nieboszczyk Henryk kochał, to starczy za wiele pochwał, a przyszłoby go zalecać, niewiedzieć od czego poczynąć, na czém kończyć.

Teraz tylko dodam, że co mówię, z nieczyjjej naprawy nie jest, ale z własnego serca.

— O! o! — przerwał Cholewa — coś boście się wy w nim do zbytku może rozmilowali.

— Ja? — odparł Stach — miły panie, jednego nie ma, coby znając go nie milował!

W tém Leliwa milczący dotąd, ozwał się kręcąc wąsa.

— Prawda święta, że pan miły, dobry, sprawiedliwy i pobożny, a no tak to dobry pan jest

że go łatwo zli ludzie poprowadzić mogą kędy zechcą.

— Nie! zaprawdę, nie! — rzekł Stach gorąco — dobry pan złym się prowadzić nie da, a że go pociągnąć niełatwo mimowoli, najlepszym dowodem, że gdy Jaksa, druh jego chciał go prowadzić przeciw Kędzierzawemu, jemu i Swiatsławowi oparł się, odtrącił pokusę i większego panowania nie pragnąc, przy swoim został.

Pamiętał o tém, że go Bolcsław wychowywał, że się miłowali, miłości téj został wiernym do śmierci nieboszczyka, który mu opiekę nad żoną i synem umierając przekazał.

Nie odpowiedział Leliwa.

— Kiedy tak — ozwał się Sreniawa — toć się oni i z Mieszkim Starym też kochają, siedział Kaźmierz i przy nim, nie zechce i przeciw temu iść pewnie.

— To pewna — odparł Stach śmiało — że sam przeciwko bratu nie wystąpi, ale gdy panowie biskupi i ziemianie gwałt mu zadadzą, posłuszny im będzie. Tu nie o niego chodzi, ale o ziemię wszystkie; musi je wziąć gdyby nie chciał, aby je wybawić od niewoli.

Spojrżeli po sobie starsi w milczeniu, głowami tylko dając znaki potwierdzające. Zeszli się potem do gromady i cicho, długo poczęli szeptać z sobą. Stach na boku pozostał, czuł, że ich przekonał, nie przeciwili się więcéj.

Po naradzie Leszczyc doń przystąpił.

— Co wy z sobą myślicie czynić? — zapytał Stacha — Kietlicz was już ma na oku, czy do domu chcecie jechać aby zejść od niego?

— Doma ja nie mam co robić — odezwał się Stach. — Koło roli chodzić nie nawykłem, rycerstwem się i dworem parałem za młodu, radbym u kogo służbę znalazł, przeciebyłem się na co zdał. Przy moenym panu choćby i Kietliczowi zarządzić w oczy strachnym nie miał.

— Niema dla was, chyba ks. Gedko biskup albo wojewoda Szczepan — rzekł Leszczyc — od tych was porwać nie będzie śmiał.

— Właśnie pan wojewoda widział, gdy mnie związanego prowadzono, cośmy go na gościńcu spotkali — rzekł Stach.

— Widział was? — spytano.

— Widział i Kietlicza o mnie pytał i więźniom się przypatrywał długo, ale nie rzekł nic, pomrukiwał coś tylko z pod nosa.

Rozśmiał się Leszczyc, a za nim inni.

— To jego obyczaj! — rzekł — z niego niełatwo co kto dobędzie, ale oko bystre ma i pamięć dobrą.

— Szkoda, że wyjechał, poszedłbym doń — dodał Stach.

— Niebawem powróci, sądzę — rzekł Sreniawa — poza Krakowem teraz długo bawić nie bę-

dzie, wie, że tu gorąco u nas i potrzebny nani a biskupowi.

— Tymczasem też u mnie macie gotową gospodę — dodał Leszczyc — nie nawijajcie się tylko Kietliczowym na oczy.

Stach ramionami ruszył.

— Miłościwy panie — odparł — choćby się do mnie uczeplić mieli, ja skóry nie pożałuję, byłem się jemu i sprawom jego mógł zbliżka przypatrzeć. Kto na zwierza polować ma ochotę, powinien długo wprzód nań nagłądać.

— O! o! ochotę nań macie! — rozśmiał się Leliwa.

— Jak Bóg żyw, ogromną — zawołał Stach. — Toć lepsze niż na niedźwiedzia polowanie.

Rozmowa się przeciągnęła jeszcze, gdy ten i ów począł Stacha rozpytywać o Kaźmierza, o życie jego, o którym on nie rad był szeroko rozprawiać aby się nie zdradzić. W tém Jaśko Bogorja nadciągnął za drubem zatęskniwszy. W progu zaraz się z tém oświadczył, że radby go zabrać z sobą do miasta, bo o mroku nikt poznać nie może, a dobrej myśli razem zażyć chciał. Leszczyc przestrzegał, aby na Kietliczowych gdzie nie popadli, ale oba młodzi to sobie lekceważyli.

Nie broniono więc im uciechy i pod ręce się pobrawszy ze dworku poszli.

Bogorja w rynku mieszkał gospodą i tam przyjaciela ciągnął. Wieczór był już, ale nie noc

jeszcze, lepsze oczy łatwo człowieka poznać mogły, na to jednak nie zważano. Uliczkami mniejszemi śmiejąc się i gwarząc ciągnęli ku rynkowi, gdy od strony zamku zatętniało i tuż w kilka koni jadący Kietlicz pokazał się za niemi. Chciał się Stach cofnąć do wrót których, ale już było zapóźno i wstyd uciekać przed zbójcem, szli więc dalej ufając, że Stacha nie pozna, gdy jadący za Kietliczem nieodstępny Bereza krzyknął.

— Ot że on! ot on!

Kietlicz się odwrócił. Stach z Bogorją stanęli, a Jaśko zastawił się hardo za przyjaciela.

— To wczorajszy zbieg! ten sam! — wołał pokazując Bereza.

Kietlicz na nich natarł z koniem żywo, ale zobaczywszy Bogorję, którego znał, strzymał się nieco.

— Ot on! — powtarzał natarczywie Bereza — ot on!

Stach niechcąc się ukrywać ni zapierać, wystąpił śmiało.

— A! tyś tu! — krzyknął Kietlicz.

— A jam jest! albo co? — zawołał Stach.

— A jakoś to zbiegł wczora? — począł Serb.

— Ja? nie zbiegłem jako żywo — zawołał Stach śmiało. — Stałem w podwórzu zapomniany, aż się rozleźli wszyscy, a mnie samego zostawiono. Cóżem miał czekać? iechałem do wrót; wszak-

ciby konie z głodu pozdychały, wrota mi otwarto nie pytając. Widzicie, żem ani uszedł ani się skrył.

Kietlicz śmiałością tą zmięszany, zżymając się, burcząc, rzecając pono nie wiedział, co pocznie, aż Jaśko Bogorja ufając w swój ród i znaczenie — krzyknął.

— Znacie mnie, miłościwy panie, otóż ja za niego stawię porękę. Jeżeli zawinił w czém, toć go sądzić. Stawi się na sąd i ja z nim i niemało innych przyjaciół, bo on i ja ich mamy. Czego więcej możecie chcieć? Przecie o gardło nie idzie!

— A kto wam rzekł, że nie o gardło? — rozśmiał się dziko Kietlicz, albo to trzeba zabić lub gwałt zadać, by być karanym na gardle, a no ten — wskazał Stacha — porwał się na mnie!

— Nieprawda — odezwał się Bogorja porywczy — wyście się pierwsi na niego porwali!

— Ja! alem ja tam książęcą ręką był! co wy się ze mną mierzyć będziecie! — zawołał z gniewem Kietlicz.

— No, to niechaj książę sądzi, czy tam ręka jego była prawa — odparł Bogorja. — Do sądu ja go sam dostawię i dziesięciu ziemian, jeżeli potrzeba!

Kietliczowi brwi się strasznie ściągnęły, wąsa zakąsywał jak gdy złym był nad miarę. Sąd ten i sprawa licha warta, były mu teraz nie na rękę, aby ziemian bez potrzeby nie drażnić, ale od poczętego cofać się nie było sposobu.

— A no! zobaczemy! na sąd! na zamek! — krzyknął — niechaj on stanie, stanę i ja, wyrok dadzą!

— A kiedyż się stawić? — zuchwale spytał Stach.

— Jutro! — odparł Kietlicz — na gród jutro! niedaléj. Wy — odwrócił się do Bogoryi — wy mi za niego odpowiadacie!

— Odpowiadam i przyjdę sam a przywiode go. Ma być sąd, niech będzie, zobaczemy jaka u was sprawiedliwość! — rzekł Bogorja.

Kietliczowi pilno już odjechać było, cisnął okiem krwawém na obu stojących i na Berezę swego, na którego złym był może, iż mu niepotrzebnego napisał kłopotu.

Bogorja, aby go utraścić więcej, śmiał się głośno. Zaledwie kilkanaście kroków odjechali, gdy Kietlicz ku Berezie zwrócony, pięścią mu pogroził. Jednooki zrozumiałwszy to, łeb spuścił na piersi. Wiedział teraz, że chcąc bardzo usłużyć pannę, na wspak mu uczynił. Stało się.

Tymczasem rozgrzany Bogorja coprędzej do gospody szedł ze Stachem, aby mieć czas dzień-sięciu ziemian zebrać na jutro, i jak obiecał, stawić się z niemi do sądu na zamek.

Takie już było usposobienie wszystkich w Krakowie, iż każdy z ziemian chętnie się ofiarował za Stacha stawiać, aby Kietliczowi pokazać, że się go nie lękają.

Bali się go mimo to, lecz burząc i okazując niechęć sądzili, że Mieszka zniewolą, aby go precz odesłał. Byłoby może naówczas starczyło odprawienie człowieka nienawistnego, gdyby w porę się stało. Książę jednak wcale nie myślał pozbywać najlepszego sługi, które go sam z dziecka prawie ułożył do swych posług, który był w rękach jego narzędziem, bez jakiego obejśćby się nie mógł.

Na Kietlicza zrzucano wszystką winę, gdy on spełniał tylko co mu zlecono i szedł, jak rozkazano, nie troszcząc się o nienawiści, a ziemian krakowskich mając za obcych i wrogów.

VI.

Stoją wieki mury jedne, ni z nich cegła wypadnie, ni kamień do nich przyrośnie, przeżyją ludzi nieruchome, niezmiennione, ale z niemi jako z gniazdem, w które się co wiosnę inny ptak wnosi. Z nowym panem i gniazdo zaraz wygląda inaczej. Tak do ogrodu gdy nowy wnijdzie gość, wszystko się zda zmienione.

Na owym grodzie Wawelskim mało kto co pod te czasy budował, przystawiał i lepił, przemie za każdym nowym panem zdawał się on innym. Mrówił się inny lud, wstępowało życie odmienne, różne odzywały głosy, inaczej ludzie patrzali na mury i mury na ludzi.

Wiele już razy odmieniał się ów lud od Szczodrego. Za Kędzierzawego roilo się dosyć rycersko i ludno, a luźno nieco, wrzawliwie i nie smutno.

Gdy ten zmarł żonę i synka schorzałego przekazu-
jąc Kaźmierzowi, a Mieszko potem zajechał na
stolicę, zaraz się wszystko zmieniło.

Pan był weale inny, do braci swęj mało po-
dobny; jeszcze za młodu Starym zwany, poważny,
surowy, mało mówny, stateczny, swoje państwo
noszący tak dumnie jakby na króla był stwo-
rzony. Miłości u ludzi nie miał on wiele, ale się
go obawiali wszyscy, począwszy od żony i dzieci.

Spojrząwszy nań poznał zaraz każdy czło-
wieka, któremu o pozyskanie serc ludzkich, nie
wiele chodziło.

Z namarszczoném czołem, z długimi napu-
szczonemi na nie włosami chodził, patrząc z wy-
soka i nie rad się z nikim szeroko rozprawiać. —
Słuchał cierpliwie, a wysłuchawszy gdy swoje
słowo rzekł, drugiego już nie miał. Co powiedział
stać się musiało. — Prosić go i jednać było próżno.

Gdy na stolicę swą wjeżdżał, ziemiaństwo
Krakowskie, które naówczas na cały kraj naj-
bitniejsze było, zbiegło się go witać z pokłona-
mi. Postrzegli zaraz w pierwszej chwili, że z tym
panem nowym nie łatwa będzie sprawa. Hołdy
przyjmował jako należne sobie, ale odpłacać za
nie ani myślał. Rozkazywał nie troszcząc się czy
miłe będą rozkazy.

Wszystko co po Kędzierzawym tu zastał nie
w smak mu szło, potrząsał głową, przebąkując.

— U mnie tu inaczej być musi — Rozprzegło się. nie ścierpię tego!

Gdy rządzić począł, poznano że nadaremno nie mówił. Duchowieństwo nawykło stawać na równi z książętą wystąpiło śmiało do boku mu się cisnąc, przyjął je chłodno. Biskupi poczuli że ich chciał mieć pod sobą nie przy sobie. Szanował je ale się z niemi nie bratał.

Zmarł wkrótce jeden z pasterzy, nim drugiego obrano i zamianowano w Rzymie, książę dobra biskupie zajechać kazal, zajął i trzymał je, mimo wielkiego wrzasku i nacisku, póki z Rzymu potwierdzenie nie przyszło.

Ani się myślał z tego tłumaczyć. — Popłoch poszedł po wszystkich, i duchowni pierwsi na gwałt wolać poczęli.

Z Mieszkciem przybywał Kietlicz, którego on z pacholęcia sobie na ślepego wykonawcę sposobil, prowadził go tak po stopniach, próbując puszczać, strzymując, podnosząc, dając mu coraz szersze pole, aż pewnym go będąc zrobił zeń rękę prawą. Poczęły się na zamku sądy surowe, napaści na ludzi bezlitośne, srogość nikomu nieprzebaczająca. Milczenie głuche zaległo do kola.

Ziemiańskie się ode dworu precz ruszać zaczęli i zehodzić z oczów księcia. Myśleli że weźmie to do serca, aliści nie pokazał aby go to obeszło. Swoich zastąpił obcemi, ci jeszcze lepiej słuchali.

Poczęły się rozjazdy wielkie po wszech go-

ścińcach pańskich urzędników, chwyтали podwody, ludzi, konie, kmieciów objadali; na skargę próżno iść było, bo kto z żalobą przyszedł, odchodził z karą.

Na zamku też teraz choć nie było pusto, bo pański i liczny dwór otaczał księcia — cicho wyglądało i grobowo. Mieszek się mało okazywał, zabawy nie lubił, na łowy jeździł sam, do rozmowy z sobą nikogo nie wołał. Przybył doń z Biskupów który, sadził go pocześnie, słuchał obojętnie, zbywał pół słowem.

Ani go było rozgniewać ni zmiękczyć.

Kamiennym go zwali, chciał takim być i nie zmieniał się. Skarżono mu się na Kietlicza, słuchał, a potem jego nagradzał i wywyższał, a płaczącym odprawę dawał, podniosłszy do góry czoło chmurne.

— Z mojego rozkazania to czynił — nie winien nic — tak ja chcę, tak ma być.

Od biskupich dworów popłoch popadł na ziemiańskie.

— W niewolę nas myśli zakuwać! — wołano — a no, nie damy się. Ziemianie sobie pana wybierać mogą, starszeństwo dla nas nie wiele waży. Poszedł ci Władysław ztąd gdy nam krzyw był, może i ten pójść gdy dokuczy.

Tak mówiono po dworach, na zamku nie troszczono się wcale o pogroźki. Mieszek miał możnych zięciów i powinowatych, patrzył się na

niemców i u siebie inaczej mieć nie chciał tylko aby mu kto żył posłuch dawał.

Na grodzie codziennie sądy się odbywały, żalób bywało mnóstwo, a i z ramienia książęcego do nich ciągnano nieustannie, grzywnami okładając za najmuięjsze przewinienia.

Chciał pan grozy, wysadzeni sędziowie umieli ją siać, nie było człowieka coby z pod ich sądu wyszedł czystym.

Najwyższym sędzią na grodzie był podówczas człek co się do dojadania ludziom jakby narodził umyślnie. Zwał się Gabryk Mierzwa; mówiono jakoby z ubogich ziemian na Szlązku pochodził. Dali go byli za młodn do szkoły biskupiej, na księdza chcąc kierować, uczył się lepiej od innych, ale dokazywał też lepiej niż wszyscy i w suknię kleszą odziać go nie było sposobu, bo nim święceń dostał, dzieci miał kilkoro w domu i bab tyle na karku że go biskup o to chciał wyklinać. Właśnie surowsze były dla duchowieństwa nastaly prawa, wzbraniające ożenienia i wszelkiego zgorszenia. Mierzwa wcale na nic nie patrzył. W kości też grał tak że się do ostatniej koszuli zgrywał, a kiedy pił to go na rękach potem do łóżka zanosić musiano. Z tém wszystkim głowę miał taką, że mu żaden duchowny nie sprostął w kanonach, a żaden prawnik w kodexach i dekretach. Jakim sposobem dostał się ów pół-klecha do Rzymu i Bononij, nikt nie

niechciał, dość że tam lat parę przebywszy, nauczył się u tych co Rudobrodemu prawa układali takiej mądrości, iż gdy z nią do kraju wrócił, musiano go szanować i nim się posługiwać. Umiał na pamięć wszystkie rzymskie zakony, a gdy je po swojemu subtelnie wyklądać zaczął, wywodzić, naciągać, robił jak chciał z czarnego białe a z białego czarne.

Na śmiech, gdy sobie podochocił, a podobalo mu się z rozumnem popisać, dowiódłszy raz cokolwiek białż, wnet sprawę na niee obracał i jak począł mędrować, kręcić okazał że co wczora było prawdą, jutro fałszem być musiało.

Sumienia w tym czleku wcale nie było, ale rozumu dostatek i frymarczył nim aby zań grosz zyskać. Zarobiwszy grosz jeszcze ciepły w świat puszczał, potrzebował wiele, marnował dużo, więc na wszelaką podłość gotów był, aby tylko zarobek.

Przed księciem Mieczysławem, do którego Kiełtich go pierwszy zalecił, Mierzwa przybierał postawę człowieka snrowego, spokojnego, pokornego, jakby postami i wstrzemięźliwością wysuszonego.

Słuszny był Mierzwa, chudy, nieco w lewo pochyłony od młodu, bo łopatkę jedną miał niższą, głowę spiczastą, twarz bladą wygoloną, po której miał zwyczaj ręką gładzić ciągle gły o jakąś wielkiej podłości zamyślał. Oczu nigdy nie pokazywał nikomu, zerkał niemi tak, aby w nie

nie mógł zajrzeć nikt. Rozpusta go zniszczyła i zjadła ale tak jakoś dziwnie że na anachoretę wyglądał, co mu bardzo było na rękę. Świętego mógł udawać wyśmienicie.

Gdy do zamku na sądy szedł postawę przyierał mniszą, oczy spuszczał, ręce składał, zginał grzbiet, głowę na piersi zwieszał, litość brała nań patrzeć.

U sądów też, choć ludzi żywcem jadł, zawsze ich kasał tak słodko, tak miłosiernie zabijał, tak karał serdecznie, jakby mu dusza się wzdygała nad wymiarem sprawiedliwości. Nie nazwał nigdy nikogo inaczej jak dzieckiem swém, kochaną istotą, bratem, ojcem, ale gdy go njął w szpony, wyssał ostatnią krwi kropelkę. Czy się tam było klaniać, prosić czy bronić lub gniewać, napróżno; słodki a dobry Mierzwa nie nłakł się, nie zmiękł, westelmał, czasem zapłakał, ale świętej sprawiedliwości domierzył.

Na cztery oczy gdy go datkiem zmiękczyć usiłowano udawał zadumanego, nie bronił się, co mu dano do kieszeni schował, ale nie zmieniało to wcale jego postępowania, darł ze skóry tego co go przekupił, tak samo lub gorzej jak tych co nie nie dali.

Spraw do sądu książęcego było zawsze co niemiarą, niekiedy sam Mieczysław siadał je rozstrzygać. Naówczas z innemi dwornymi urzędnikami stał u boku jego Mierzwa dla parady, częściej się

jednak trafiało że na niego samego spadało rozstrzyganie spraw i wydawanie wyroków.

Obok Mierzwy w drugiej izbie tuż zasiadał Skarbny książęcy, który kary pieniężne odbierał od osądzonych, a do pomocy przy nim byli pacholkiwie, aby kto zapłacić nie mógł zaraz do więzienia pociągnąć.

Całe jedno na zamku skrzydło izby te sądowe zajmowały, do których przez kryte chodniki, gdy chciał przystęp miał Mieszko. Oprócz tego izba dlań była tak urządzona, że mógł z za gęstej kraty drewnianej, okrytej zasłoną, gdy chciał siadłszy u niej słuchać co się na sądach działo i patrzeć na obwinionych. Mierzwa niby nigdy nie wiedział kiedy miał pana za sobą, ale bystry człek, chwytął szelest najmniejszy, lada drgnienie zasłony nie uszło z ukosa rzuconego wejrzenia, a miał też ludzi co skinąć umieli; aby wiedział gdy książę był przytomny.

Naówczas Sędzia stawał się jeszcze troskliwszym, pilniejszym w wymiarze sprawiedliwości, wiedząc jak do smaku pańskiego przygotować potrawę.

Następnego dnia rano, nad zdobyczą Kietlicza można się było spodziewać sądów i rozpraw ciekawych, bo ciemnice i szopy pełne były ludzi, którzy wszyscy stawieni być mieli.

Zawczasu też w podwórzu zamkowym ukazał się Mierzwa, w długiej sukni czarnej nakształt kle-

szćj skrojonćj, tylko bez kaptura, pasem rzemien-
nym podpasany, n którego miał wiszący kalamarz
i pochwę, a w nićj zamknięty przyrząd do pisa-
nia. Wysoką szczególnego kształtu czapkę, podob-
ną do zawoju czarnego, nakrytą miał głowę,
ręce w szerokie rękawy pozaszwane, a chłopak
za nim z krótko ostrzyżoną głową na ramieniu
dźwigał księgę ogromną w drewnianych okładzi-
nach, z klamrami mosiężnemi.

Straszemu temu ramieniu sprawiedliwości
wszyscy następowali z drogi, obchodząc go z da-
leka, bał się go bowiem każdy, nikt nie mogąc
być pewnym ażeby nie popadł w jego ręce. Ten
i ów kłaniał mu się zdala i uchodził.

W izbach sądowych wszystko już było pogo-
towie na przyjęcie, wymieciono je i posypano
podłogę kosaćcem, bo ludzie zawsze tyle błota
i pyłu ponanosili iż po skończonych sądach, kupy
śmiecia wyprzątać było potrzeba. Smutne to były
izby, niskie, ciemne, ławami do koła otoczone,
a dla zaduchy w nich i przykrćj woni drzwi
i okiennice ciągle stać musiały otworem. W pierw-
szćj izbie trzymano obwinionych i skarżących się.
Tu czasem tłum bywał taki że się przecisnąć by-
ło trudno. Ztąd po jednem, po dwu, gdy świad-
kowie byli potrzebni przyprowadzano ich do t.y-
binału.

W samym sądzie nieco pokaźnićj wyglądało.
W głębi na przypadek przybycia samego księcia

stało zawsze wysoko na stopniach podniesione siedzenie, obite suknem szkarłatném, a po za niem ławy dla dworu. Niżej dopiero stała ława z poręczami dla Mierzwę i dla tych których czasami do boku swego przybierał. Przed nią był stół wielki, a na nim krzyż czarny w pośrodku. Tu składano ową księgę praw przynoszoną przez chłopca i ewangelię dla przysięgi. Wielkiego owego kodexu Sędzia czasem się niby radził w razach trudniejszych, ale to była gra tylko, gdyż z pamięci tak dobrze kłamał i prawil jak z księgi.

Obok leżały długie zwitki pozszywanego z wąskich pasków pergaminu, na których kleryk chudziną, służący przy zamkowej kaplicy, dekreta w kilku słowach zapisywał znaczniejsze.

Gdy książęcia nie było a sądy się przeciągały, Mierzwa znużywszy się wychodził czasami do trzeciej izby Skarbnego, do której w rogu wiodły drzwiczki. Tu balasami drewnianemi oddzielony od ludzi zasiadał człek stary, z siwą rzadką bródką i głową zawsze czarną czapeczką okrytą, z nosem kobuzim, oczkami małeńkimi, jakby w głowie wyświdrowanemi. Zwał się Joachim, a że imię to niezbyt było powszednie, częściej go na Juchima przerabiano. Ludzie mówili że Skarbny był pochodzenia judzkiego, ale mu z tego nie czyniono winy, ani w głos zadawano, gdyż u księcia był w wielkich łaskach i u niego

wszystek pieniądz był pod kluczem. Podskarbm był Niemir, zaćny pan, ale ten pono tylko dla popisu czasem przed księciem stawał z workiem, bo Juclim w rękach trzymał wszystko.

Mówiono téż że Skarbny bardzo się był już zbogacił, ale tego po nim całe widać nie było, chodził ubogo, dominę miał licha, żył w niej na rygle zamknięty, sam i oprócz księcia, Podskarbnego, Kietlicza i Mierzwy z nikim się nie brawał.

Sam przez się wszystko był zwykł robić, dla tego téż na sądy przychodził, aby grzywny do rąk pobierać, nie spuszczać się na nikogo. Z Mierzwą jawnych a ścisłych stosunków nie mieli, prawiono jednak że po nocach do siebie chadzali i długo jeden u drugiego przesiadywali. Gdy Mierzwa w sądzie się znużył gadaniem, bo mówić musiał wiele, dawał sobie czasem chwilę wypoczynku i wysuwał się do Skarbnego. Postrzegali ludzie iż od niego powracając twarz zwykle błądą miewał czasem zarumienioną mocno i usta ocierał rękawem. Domyślano się iż Juclim pod płaszczem fłaszki nosił dla pckrzepienia siebie z których po bratersku Mierzwie kapka się jakaś czasem dostała.

W sądzie wszystko się z nader surowym odbywało obrzędem. Gdy Mierzwa przybył na swe miejsee, księgi, kałamaize, pargamin i kleryk także, gdy pierwsza komora wypełniła się ludźmi

oczekującemi lub z więzień posprowadzanemi, Mierzwa naprzód klękał przykładnie, ręce składał i przeżegnawszy się modlitwy do ducha Świętego i *Veni creator* odmawiał, przy czém kleryk i pacholę responsoria dawali.

Potém dopiero zasiadał w pośrodku ławy bladej mąż, oczyma rzuceł w około, suknię pociągał, rękawy zarzucał, brodę potarł i dawał znak że sądy się rozpoczynać miały. Było zaś we zwyczaju że naprzód powoływano tych, których książę chciał mieć sądzonych, dopiero po nich szli, którzy przynosili żaloby i domagali się sprawiedliwości.

Dnia tego właśnie obłów Kietlicza, spędzony do pierwszej izby na powoływanie po kolei oczekiwał. Sam Kietlicz i Bereza namiestnik jego, jako świadkowie w izbie się sądowej znajdowali.

Pierwszy z nich zasiadał na górnej ławie za tronem u ściany w której była krata przysłonięta, aby Mieszko mógł każdego czasu słuchać przez nią, drugi stał w kącie u drzwi wchodowych.

Kleryk bladej i mizerny z długą szyją obnażoną, w rogu stołu pilnował oprócz pargaminu i piaskowego zegara, który czas mierzył. Gdy się z niego ostatki dosypywały, przewracał go natychmiast.

Gdy Mierzwa zasiadł, Kietlicz z górnej ławy

dał znak, wprowadzono naprzód kmiccia który niedźwiedzia ubił u siebie.

Człek był odziany jak do lasu, bo go niespodzianie pochwycono, trochę już wylekły, pomieszany, jednak nie tracący ducha, bo ufał że mu się nie stać nie może.

Sprawa była jawna.

Mierzwa, naprzód nwiadomiony, jakby na szyderstwo przybrał postawę słodzinchną, usta mu się nśmiechały łagodnie, kazał się przybliżyć do stołu

— Miły człeczko, kmiccia mój — odezwał się głosem miękkim, cożeście to takiego się dopuścili że was tu przed sobą widzę?

Człkiem mi się wydajecie statecznym i spokojnym! Miałoby mylić pozory?

Kmicć jeszcze nie zebrał się na odpowiedź, gdy z górnej ławy zabrzmiał głos Kietlicza, na swój sposób opowiadający przygodę. Mierzwa zwrócony ku mówiącemu słuchał z natężoną uwagą, dając oznaki podziwienia, przestrachu, grozy, litości. Ręce łamał, głowę trząsł, ramionami poruszał, oczy ku niebu wznosił.

— Miły Boże! możeż to być! — zawolał gdy Kietlicz dokończył — możeż to być, abyście się wy tak strasznej dopuścili zbrodni?

Kmicć, (zwał się Ladra) słuchając ruszył ramionami.

— Miłościwy sędzio a panie — rzekł — co-

żem ja to tak strasznego uczynił? Bronilem mojej własności. Świadcę się wszystkiemi co w pobliżu mieszkają iż niedźwiedź mi barcie ze szczeniem popsował, i gdyby na sobie dziesięć skór miał, nie zapłaciłyby one dziesiątą części szkody mojej.

Mierzwa, ręce załamawszy, głowę z ramienia na ramię przechylał.

— Miły, kochany knieciu mój — odezwał się — Nie przeczę że czuleś się pokrzywdzonym — niebożátko! — barcie wiele warte, pole też trudu kosztuje dużo — słuszna bardzo jęła cię chęć powetowania szkody swojej.

Niedźwiedź winowajcą był, łupieżcą — zgoda! a ty — sędzią we własnej sprawie i sprawę. Aleś się tu grubo omylił, kochanie moje! A możeż kto być sędzią we sprawie własnej! He? A kto ci miły, kochany czlerce, niebożátko moje, dał one najwyższe prawo sądu i miecza?? A wiesz że ty, dziecko moje, że targnąłeś się przez to i przywłaszczyłeś sobie władzę, którą sam Bóg daje w ręce książąt, że przez to stałeś się tak winnym, tak winnym, jakbyś nie na niedźwiedzia ale na samego się porwał księcia! Dziwnujesz się! Toć jak na dłoni!

Kniewicz stał osłupiały. — Subtelna ta argumentacja siły umysłu jego przechodziła, z usty otwartemi, drżący, słuchał, bronić się już nienmiejąc. Brzmiało mu jeszcze w uszach oskarżenie niepo-

jęte dlań iż na niedźwiedzia się porwawszy, księ
cia samego znieważyl i dotknął.

Mierzwa się nśmichał zwyciężko.

— Przecie to jasne jak słońce — dodał. —
Nie przysługiwało ci prawo karania bo nie jesteś
księciem, miłe dziecię moje, sędzią też nie jesteś;
stałeś się więc buntownikiem, znieważona powa-
ga prawa wymaga surowego sprawiedliwości wy-
miaru. Serce boli, ale zbrodnia tak straszna bez-
karnie njsć nie może. Występek twój równa się
zbrodni obrażonego majestatu.

Tu głowę spuścił ku księdze.

— Bez wątpienia, surowym chcąc być, ska-
zać by cię można na ścięcie, powieszenie, roz-
szarpanie kołmi, biciem kołem, postradanie ręki
lub kopanie kruszców życie całe — ale mnsiemy
mieć mił'sterdzie nad nieświadomością twoją,
litując się nad tobą, dziecię miłe, nie możemy
mniejszej ci kary naznaczyć nad siedemdzie-
siątą!

Kmieć jęknął — Siedemdziesiąt grzywien!
Z kąd miał wziąć tyle pieniędzy, załamał ręce
rzucił się na kolana. Bereza nsta zatłajac śmiać
się począł. — Nie chciano już nawet słuchać wi-
nowajcy dłużej, pacholkiwie chwyciwszy pod
ręce natychmiast go do izby Skarbnego popro-
wadzili, a że z sobą ani siedmiu grzywien nie
miał i niewiedział na razie zkad ma wziąć sum-

mę tak znaczną, wkrótce go też pod strażą zaprowadzono do więzienia.

Mierzwa otarł pot z czoła, spójrzal ku Kietliczowi, a we wzroku jego można było niemal przeczytać pytanie — A cóż! albowiem nie dobrze usłużył?

Kmiecia wypychano już za drzwi, gdy drugiego ciągnął Bereza. Za nim z tyłu szedł parobczak krępy, niski, z głową wielką, na nogach grubych jak kłody, w siermiżkę dziwną przyodziany, bosy, w spodniach zgrzebnych u dołu sznurkami słomianemi poprzywiązywanych.

Kmieć idący przodem zamożnego i śmiałego miał postawę. Odzież na nim sukienna szykownie leżała, gźło pod nią widać było białe na guz świecący zapięte pod szyją. U pasa kaleta wisiała skórzana, w ręku trzymał kołpak z lisa. Kmieć widać do swobody lasów swoich nawykły, wśród których sam był panem, rozglądał się tu zdziwiony swój niewoli i temu prawu co go nagle dało w niewolę. Mierzwa przypatrywał mu się bardzo bacznie, jakby badał z której go ma zająść strony, i jak doń zaśpiewać.

Zuchwała postawa dawała mu do myślenia. Człek był już widać na wszystko gotów, byle go raz do jego lasów zwolniono. Szedł przed stół niecierpliwie, gdy Kietlicz z ławy mówić począł.

— Ten winien jest więcej jeszcze! O! kmieć zuchwały! ludzi sobie w niewolę zabiera! Pa-

trzajecie, wina jawna. Parobka oto tego który tu stoi wziął na służbę — he? jakim prawem? bez prawa, bez pozwolenia, — gwałtem!

— Jako żywo! miłościwy sędzio — począł knieć oburzony — parobek tu oto jest, niech świadczy sam. Przyszedł do mnie na służbę się prosząc, wziąłem go.

Powołany parobczak zaczął wprowadzić coś bełkotać, ale językiem takim i tak niewyraźnie że nikt go zrozumieć nie mógł. Widać jednak było że do swojego gospodarza żadnego żalu nie miał.

Mierzwa nastawił ucha, kiwał głową i udawał że chwytą znaczenie bełkotu parobka; uderzył ręką o stół i pogroził knieciowi łagodnie.

— Miły, kochany człeczku! dziecko moje, — odczuwał się — złą, ej! złą wybraliście się drogą! Ta was nie zaprowadzi gdzie myślicie! A godził się to targać na najdroższą człowiekowi swobodę! Toć kary najgodniejsza zbrodnia. Powiecie mi może iż on wolnym nie był? Tém ci gorzej, kochanie moje, a więc miał pana do którego należał! Pytaliście go? Nie. Targnęliście się więc na własność cudzą!

He? widzicie, darmo się wykręcać, nie wyjdziecie z tego. Wzięliście wolnego, zbrodnia, zabraliście cudzego poddanego, rabunek. — Żle i źle, ani wyniść z tego.

— Miłościwy sędzio — począł knieć któremu krew na twarz wystąpiła.

— Miły knieciu, ostrożnie — przerwał Mierzwa nie dopuszczając tłumaczenia — ostrożnie! Przez miłosierdzie nad wami mówię to, patrzcie abyście jakim słowem nieopatrzném sprawy sobie nie pogorszyli. Możecie popaść głęboko! Litość mając nad wami, po ojcowsku was tylko grzywnami siedemdziesięcią obłożę. Winnicie za to księciu, którego jesteście sługą maluczkiem do nóg upaść i podziękować, bo pismo powiada, prawo głosi, zakon wymaga, oko za oko, ząb za ząb. Cóż z tego wynika? oto, że wy coście tego nieboraczka, chudzinę chcieli niewolnikiem uczynić, sami winnicie za to pójść w niewolę?

Tak ci jest!

Knieć zamilkł pomieszany. Nie dano mu już ust otworzyć i popchnięto do izby Juchima, który przez drzwi otwarte ciekawie się przysłuchiwał sprawie. Siedział z głową na rękach spartą, poglądając ku roztwartej skrzyni, która przed nim stała, jak zwierz zaczajony na przesmyku.

Gdy kniecia doń wprowadzono, drzwi się zamknęły.

Mierzwa odpoczywając po drugim wyroku, rozłożył wielką księgę i cały się w niej zatopił, czekając aż mu nowego winowajcę przyprowadzą.

Bogaty knieć który już musiał zawczasu los

swój przewidywać i co rychlój chciał się z więzów wydobyć, miał już gotowych grzywien siedemdziesiąt spełna, w wypchanój kalecie, która u pasa wisiała.

Na widok zbliżającego się — Juchim łokie ze stołu usunął, i zmierzwszy go oczyma, chrypliwym, zgasłym głosem zapytał pacholków wiodących go.

— Siedem dziesiątna?

Kmieć na Skarbego popatrzwszy, westchnął ciężko, kaletę odpiął, garść w niej utopił i dobývając srebrne pieniążki liczyć je począł.

Lecz zaledwie się one ukazały na stole, Juchim porywając się za głowę, wykrzyknął głośno

— Gwałtu! gwałtu!!

Kmieć osłupiał, nierozumiejąc co się stało i oglądając dokoła.

— Co to jest? — począł Skarbny — a toć fałszérz pieniędzy?

Pochwycił kilka z nich, popatrzał na nie i cisnął spluwając pogardliwie.

— Cóż to? czy to są pieniądze? cha! cha! to plewy nie pieniądze! to skorupy z garnków potłuczonych! Takimi to pieniędzmi chcecie płacić panu swojemu?

— Na miłego Boga! — zawołał kmieć strwożony — czegoż . . . chcecie odemnie! Toć są pieniądze któremi wszyscy płacą i każdy je przyjmuje.

— Ale ja ich nie przyjmę! -- krzyknął żyd — to plewy, to śmiecie! to drzazgi nie pieniądze! Patrz! gdzie na nich pieczęć państwa? gdzie znaki?

— Toć nie moja wina ale tych co je bili! — zawołał kmieć zrozpaczony.

— Aba! aha! — zawołał Juchim — tu się dopiero odkrywa całe niepoczeiwe zuchwalstwo wasze! Obwiniacie menniczych a to są z ramienia pańskiego urzędnicy! Ho! ho! Sprawa nowa, będziecie za to odpowiadali. Kto urzędników pańskich obwinia, pańa obwinia! Hej!

Skinął na pacholców.

Kmieć przywiedziony do rozpacz, na wszystko się już waząc, z błagającym wzrokiem zbliżył do stołu, ale Juchim się cofnął od niego, ręce podnosząc. Gniw objął uciśnionego.

— No, niema ratunku! — zawołał zębami zgrzytając — róbcie ze mną co chcecie, drzyjcie skórę z żywego. Mówcie? co mam czynić?

— Co? dawaj coś winien! — odparł Juchim — dawaj coś winien! ja więcej nie chcę!

— Placę czém mam! odrzucacie, cóż więc poradzę! Pieniądze te biorą i dają wszyscy.

Za drzwiami zamkniętymi co się już późnięj z kmieciem działo, nikt nie widział, boleśne krzyki jego i miotanie się aż w izbie sądowej słyszeć było. Mierzwa i Kietlicz uśmiechali się poglądając ku izdebce Juchima, z kąd ciągle szum, wrza-

wa i wołanie o ratunek dochodziło. Domyślali się wszyscy że kniecia męczono, bo kilku oprawców z powrozami i żelaznemi na ręce śrubami pobiegło do drzwi Skarbnego..

Tym czasem nowa sprawa się przed sąd wytaczała.

Z wielkiem wołaniem ukazał się w progu człek rozczoehraný i odarty, lat średnich, w odzieży poszarpanej, z nogami bosemí, zaledwie płaszczem obłożonym przysłaniając nagość swoją.

Na twarzy miał ślady świeżego pobicia.

Wpuszczony do izby, ledwie się dowlokłszy do stołu, upadł na kolana, jęcząc i szlochając.

— Zabili! zabili, rozbójnicy! patrzajcie! Spokojnego, niewinnego człowieka napadli w biały dzień, na ulicy. Aj! gwałt! zabili!

Z mowy żałącego się rozerwanój, niewyraźnej, szlochaniem gwałtowném przerywanój zrozumieć nie nie było można. W tém wystąpił inny ode drzwi człek w czarnym płaszczu, z brodą długą, wzrostu słusznego, w spiczastym kapeluszu z żółtą łatą na wierzchu i ręce rozkrzyżowawszy zaczął wołać, jakie się działo pod bokiem pańskim bezprawie, iż biednego czleka żaki szkolne potłukli, nie żeby im w czém winnym był, ale że w nim żyda czuli. A książę sam i jego i innych współwyznawców gościnnie u siebie przyjmował, opieką ich swoją okrywał.

Do drzwi pacholkowie przypędzili kupę chło

paków wylękłych i postawili ich sędziemu, ci tak byli przerażeni, iż słowa nie mogli przemówić, wielu płakało. Biedactwo to było, z garnuszkami u pasa, żyjące jałmużną dla nanki, służące przy kościołach i zakrystiach, przybłędy, bezdomne sieroty.

W całej naówczas Europie wojny krzyżowe wywoływały podobne na żydów napaści, w Niemczech krwawe, bo tam Ren nieraz płynął trupami, a rynki pełne były ciał pobitych.

Tu Mieszek żydów w opiece miał, Juchim za niemi obstawał. Mierzwa też rozsluchawszy się w sprawie ze zgrozy uszy zatulił.

Zabitego nie było nikogo, zacy tylko z naprawy starszych, suknie na biednym żydzie poszarpały.

— Świętokradzcy są! — krzyknął Sędzia — tak jest! świętokradzcy! Albowiem kto gościa pańskiego, któremu sam książę dał opiekę i płaszczem go swoim otulił, napada i targa się nań, ten jakby na pomazańca Bożego się targnął. O zbrodni straszliwa! niewysłowiona, o pomstę do nieba wołająca! A to popełnili ci co za ledwie żywot rozpoczynają, cóż tedy uczynią gdy dorosną??

Z wielkim zapalem puścił się Sędzia w długi wywód popełnionego świętokradztwa i byłby srogi wydał wyrok, gdyby starszy ów człek, co w obronie pobitego stawał nie zmiarkował, że

zbyt surowa kara za żydów domierzona, mnożąc ku nim nienawiść, na nich samych spaść może.

Cicho więc jakoś zagodzono ją i pobity nogi wlokąc za sobą, jęcząc i płacząc wysunął się razem z obrońcą, a chłopaków zabrali pachółkowie.

Znowu tedy nastąpiła chwila odpoczynku dla umęczonego Sędziego, który ku drzwiom Skarbnego się oglądał, jakby tam pragnął zajrzeć, lecz dochodzące jeszcze ztąd krzyki dowodziły, że sprawa z kmieciem upartym o pieniądze jeszcze skończoną nie była. Mierzwa ani się do niej mieszać, ni świadkiem jej być nie chciał.

Po chwili wypoczynku wprowadzono czelczka dobrze odzianego, z twarzą okrągłą i spasłą, który od tego począł że zdala siedzącemu Kietliczowi pokłonił się nisko, potem Mierzwie nie mniej głęboki złożywszy pokłon, niepominał w poszanowaniu nawet kleryka. Ten do odbierania pokłonów niezwykle, dłonią usta zatulając uśmiechnął się widząc się tak uczczonym.

Rażna mina wehodzącego, który tak pięknie klaniał się na wsze strony, kazała się domyślać że chyba obwinionym nie był. Kietlicz też spoglądał nań bardzo łaskawie. Mierzwa trac brodę uśmiechał mu się i okiem pomrugiwał. Tuż za nim wciągnięto opierającego się, związanego, bez czapki, z rozczochranemi cudzemi rękami włosy, człeka który stękał i jęczał.

— O Boże mój miłościwy! o święci pańscy! ratujcie!

Usłyszawszy to Mierzwa ulitował się niby wielce, ręce złożył.

— Biedny człeczku! — zawołał — a cóż to ci jest! a czegoż to tak jęczysz nieboże! Mów a prędko, aby prawica książęca domierzyła ci sprawiedliwości, jeżeli jesteś pokrzywdzonym. Na to ja tu jestem wysadzony, na to władza książętom dana od Boga aby zakon trzymali. Mów, kochanie, nie sromaj się, rozkryj serce, otwórz usta i ulży uciskowi swemu..

Jęczący człek miał się już odezwać, gdy pierwszy, który był wszedł przed nim, uśmiechnięty i kłaniający się, nie dał mówić i sam podchwycił.

— Miłościwy panie (tu wskazał na związanego obu rękami) toć zbój jest, złodziej jawny! Krów mi moich dwie z cielećkami skradł i w swoim chlewie zamknął. Nieszczęśliwy, pokrzywdzony tracąc ostatnią chudobę, rozpaczalem! Myślałem że wilcy rozszarpali żywicielki moje, że mi z głodu przyjdzie zdychać z drobnemi dziatkami, gdy mi dano znać że moje krówki u tego złodzieja w chlewie. Odkryło się złoczyństwo!

Związany człek słuchając oskarżenia wzdrygnął się.

— A niechże cię kłamco bezwstydnym, niech cię pomsta dotknie Boża! — zakrzyknął.

— Człecze dobry! nie unoś się nie knij, proszę! — odezwał się Mierzwa.

— Jakże się tu wstrzymać, gdy tak jawna krzywda się dzieje — zawołał związany. — Nie skradłem mu nic, jawnie, w biały dzień zająłem mu krowy, które moje zboże spasy, na polu własnem. Było żyta na pięć kop, nie zostanie go i na dwie. Bydło zająłem w szkodzie.

Obwiniony, spasy człek uśmiechnął się pogardliwie i ruszył ramionami.

Mierzwa przerwał.

— O źle, źle, kochanie moje! radzisz sobie nie ładnie! Do występku swojego dodajesz gorsze może nadeń kłamstwo. Gdzież świadkowie? Niema? widzisz!! Bydło skradzione znalezione w twojej oborze, rzecz jawna. Kajaj że się i sromaj niepoźciwój sprawy twój.

— Miłościwy panie — zawołał w piersi się bijąc związany — przysięgnę!

— O! o! zgroza! okropność!! krzywoprzysięstwo! — zakrzyknął Mierzwa. — Tego już nadto! A toć staje i świadczy przeciwko tobie człowiek nam znany, który nigdy obwinionym nie był, wierny sługa zamkowy, panu swojemu miły. I wy śmiecie —

— Panie! — głosem rozpaczliwym odezwał się obwiniony.

— Bereza! — przerwał Kietlicz z góry -- końca

nie będzie temu, pysk mu kneblem zabić, niech nie bluzga!

Nim się spełniło rozkazanie, nieszczęśliwemu głowa na piersi opadła, złożył ręce, na kolana się rzucił, zdawał modlić do Boga, u ludzi nie znalazłszy sprawiedliwości.

Mierzwa tym czasem mówił z uroczystością wielką.

— Cóż by to z tobą się stało, nieszczęsny winowajco, gdyby obok sprawiedliwości nie zasiadało miłosierdzie? Głową byś przypłacić musiał, albo by cię na kopanie soli i kruszców na cały żywot dać musiał księżę, abyś więcej światła słonecznego, którego oglądać nie jesteś godzien, nie widział. Złodziej, potwarca, kłamca, krzywo-przysięzca! zbrodzień wielokrotny! Miłosierdzie tylko pańskie zwalnia ci karę na siedemdziesiąt!

Domawiał tych wyrazów, gdy w izbie wchodowej wrzawa głośna się słyszeć dała. Kictlicz się namarszczył, ruszył i Berezie dał znak.. Tym czasem dwu sporzących, z przed stołu popełnięto ku Juchimowi. Drzwi się otwarły i Stach wszedł a za nim dziesięciu młodych ziemian krakowskich, z Bogorią na czele.

VII.

Dla Mierzwy było to całc niespodziane zjawisko, Kietliczowi téż może nie bardzo pożąpane i mile, bo na ławie się skręcił postrzegłszy wcho-
dzących i wargę zagryzł.

Sędzia wnet postawę przybrał poważniejszą, poprawił suknię na sobie, na klechę popatrzył aby mu téż wrazić powagę, na chłopca skinął, księgę posunął.

Stach przybrany rycersko, z mieczykiem u pasa, dość strojny, hardy a butny szedł przodem ku stołowi. Tuż za nim stapał jeszcze wykwin-
tniej przyodziany Jaśko Bogorja, a dziesięciu po-
ręczycieli, chłop w chłopca, wszyscy szli ziemianie
możni, dzieci żupanów i władyków, pod czas na
dworach Biskupim, Wojewody i książęcym na-
wet bawiący.

Naówczas już młodzież naukę życia w ten sposób kończyła, a często ją i poczyniała od chłopiąt służąc przy możniejszych krewnych. Dobrze jeszcze jeżeli który wprzód klechę miał co go choć czytać nauczył, albo trochę pobiegał do szkółki przy kościele i łaciny liznął; ubożsi czasu do tego niemając ni ochoty, poczynali wychowanie od końskiego grzbietu, włóczni i łuku, a kończyli je na rycerskich dworach, pasa się dosługując.

Dziesięciu tych poręczycieli Jaśko Bogorja dobrał naumyślnie, co najpokaźniejszych, co najśmielszych aby nie ulękli się i płccy mieli za sobą.

Kietliczowi i sędziemu występ ten nie był do smaku i Mierzwa spoglądał niespokojnie ku górnej ławie, jakby tam z oczów pana chciał wy czytać co ma poczynać, srogim być czy łagodnym oczyszczać czy płatać,

Dwaj wspólnicy znali się dobrze, zamieniwszy wejrzenia Mierzwa oczy wnet spuścił na księgę i przybrał postawę człowieka na którym cięży brzemień wielkie. Ręką swą bladą, kościstą smarował się zwolna po brodzie i twarzy, usta wydymał, głowę pochylał na strony.

Kietlicz njrzawszy wchodzących, dał im stanąć przed stołem gromadą całą, ruszył się nieco i w boki ująwszy przybrał postać surową.

— Ja tu jestem oskarżycielem, — zawołał —

ja! przeciw temu! — wskazał na Stacha. — Oto ten jest, który mi, wysłańcowi, urzędnikowi książęccmu, prawej ręce pana, śmiał stawić opór! Tak samo to jest jakby się książęciu swemu opierał! Sądźcie jak wielka wina.

Mierzwa siedział zrazu jakby struchlały, twarz surową, z usty zaciśniętymi, około których faldy wystąpiły głębokie, zwrócił ku Stachowi.

Ten słuchał wcale nie zmiészany. Towarzysze jego spoglądali też na Kietlicza, na siebie, na Mierzwę, a trwogi po nich żadnej widać nie było.

Sędzia z Kietliczem znowu ukradkiem poradzili się oczyma.

Sędzia odegrywał rolę swą dobrze ale skutku ona nie miała, młodzieź nie zdawała się go ważyć wcale. Trzeba było przyoblec się powagą wielką i dać płochym młokosom naukę, wrazić poszanowanie. Mierzwa więc otworzył wielką księgę, kilka kart w niej przewrócił, namarszczywszy czoło, zaczytał się, ręką o pargamin uderzył i podniósł głowę.

— Jestli to prawdą, co prawdą być już musi, bo płynić z ust takich co się nigdy fałszem nie zmazały — począł powoli — jestli to prawdą, mogli to być, aby ziemianin śmiał się opierać temu, któremu winien służbę i posłuszeństwo? Nie dość na tém, winien mu choćby życie dać każdej chwili? O grozo! o czasy! o obyczaje! zawołam

z mędrceem rzymskim. Mamli wierzyć uszom moim? oczom zaufać? W jakich że to ciężkich żyjemy latach! Jestli to kraj chrześcijański czy barbarzyński i bezpański?

Stach słuchał, kilku młodzieży śmiało się po ciehu.

— Mówcie, proszę, błagam, zaklinam, macie co może na swą obronę? — dodał Mierzwa.

— Innego nie mam nic — odparł Stach — krom że chorego starca bronił od napaści. A działo się to nie na krakowskiej dzielnicy księcia naszego ale w Sandomirskiej, kędy panem jest książę Kaźmierz.

Tu Mierzwa z podziwieniem szyderskim się wzdrygnął.

— Co słyszę? — zawołał — jest więc na tej oto ziemi dzielnica, na którą by zwierzchnia władza najstarszego pana naszego nie była uznawana? Cóż to się stało? Rozerwały się więc węzły które łączą te ziemie wszystkie? Jawnie więc wypowiedziane posłuszeństwo?

— Miłościwy panie, — odczuwał się Stach weale nie zmięszany — nie wywodźcie tak prze-mądrze ze słów moich czego w nich niema. Nikt nie śmie przeczyć panu Mieczysławowi władzy zwierzchniej, ale ona w cudzej dzielnicy inaczej się sprawia niż we własnej. Jeżeli ten, którego sądziliście przed chwilą, nie miał prawa zabić niedźwiedzia nie spytawszy wprzód o pozwolenie,

toć urzędnik książęcy Kietlicz Sandomirskiego ziemianina na którego gród naszedł, winien był skarżyć wprzód do jego pana, domagać się nankary, a nie sam ją domierzać. Mnie ziemianina wiązać i wlec do grodu prawa nie miał.

Kietlicz zerwał się z ławy.

— O zuchwalstwo! — krzyknął — otóż prawnik! oto wywody! Ucz że się Sędzio praw od ziemian, oni je lepiej od nas znają.

Mierzwa oczy sobie zakrył ręką.

— Niestety, — zawołał — do tegośmy przyszli, do tego iż ziemianie prawa książąt będą rozbięrali i sami o nich wyrokowali. Sodoma i Gomorha! Książęta a bracia nie mogą się między sobą ułożyć ku wspólnemu zaszczytowi władzy swojej, bez zezwolenia ziemian!

Tu na chwilę zamilkł i powiódł oczyma.

— Miłościwy panie, ziemianinie, — odezwał się do Stacha. — Serce mi się ściska i boli iż tak złych zaprawdę, wykrętnych a nieprawych środków zażywanie na waszą obronę. Mogliście krewkość młodzieńczą, namiętność nierozważną, mniścienie się przemijające stawić na ulagodzenie winy, a wy do praw i kodeksów ściągacie! Wy którzyście ich ani dotknęli, ani powąchali!

Samiście się tęp potępili, niestety, ręce mi wiążecie!

Młodość waszą widząc a litując się zaślepieniu, bylibyśmy skłonni łagodnie brać, co surowo

być wziętém powinno — a — nie możemy! nie możemy!

Tu jakby mu słów zabrakło, milczący Mierzwa oczy spuścił na roztwartą księgę, westchnienie głębokie z ust mu się wyrwało.

Szelest niedosłyszany prawie w tej chwili za drewnianą kratą przysłoniętą przybycie księcia zwiastował. Kietlicz spojrział w tę stronę, Mierzwa przeczuł czy odgadł iż świadka miał i nadzorcę nad sobą.

Młodzież wcale się nie domyślała tego, tylko Jaśko Bogorja zwany Żywcem, bo był niecierpliwy i drudzy też z nim poczynali się tym powolnym sądem niepokoić, iż się do zbytku przeciągał. Spoglądali po sobie ramionami zżymając jakby mówić chcieli — a pókiż to tego będzie!

Sądziłi pewnie że lik ich i postawa, znane imiona Kietliczowi dadzą do myślenia, tak jak on sądził iż grozą sądu ich upokorzy. Obie strony stały teraz naprzeciw siebie, ważyło się między nimi która weźmie górę..

Nie szło o wyrok, bo ten miał paść zawsze na stronę Kietlicza, ale na zwycięstwo niewidzialne śmiałości i buty. Niewiadomo któraby strona wzięła przewagę, gdyby Kietliczowi niespodzianie w pomoc nie przybył, ten który go nigdy nie opuszczał. Czuć było Mieszka za kratą.

Siach nabierał odwagi, a może Jaśko potra-

ciwszy go i coś mu poszeptawszy do ucha, nią go natelmał. Odezwał się śmiało.

— Miłościwy Sędzio, czym ja co winien, we własnej sprawie trudno mi wyrokować, ale że urzędnik książęcy Kietlicz nie bez grzechu jest, to pewna! Albo to tak ziemiańskie dwory na cudzych dzielnicach najężdżać wolno? bramy tłuc, włamywaniem się grozić, przewód brać gdy go nie należy, chorego starca straszyć, nieposzanowawszy siwych włosów rycerza co Krzywoustemu stał u boku? Cóż biedny starzec zawinił iż go znieważono, toż nie gwałt? nie przestępstwo?

W oknie zadrgała zasłona, Kietlicz podniósłszy się z siedzenia, pięści wyciągnął ku mówiącemu.

— Słuchaj Sędzio! słuchaj! — zawołał gniewnie — patrz do czego zuchwalstwo dochodzi! W co ufa ono? Ufacie żeście ziemianie i ojczyce? Więc wam ma być wszystko wolno, pańm przewodu odmawiać, pogoni, strawy i obroku! A co dalej będzie gdy się tego nie ukarze?

Mierzwa głowę zatopił w ramionach. Milczenie panowało w izbie, gdy w ścianie pod kraty, drzwi niewidoczne się uchyliły, zaskrzypiały, ci co siedzieli powstawali, popłoch się zrobił wielki. W otwartych drzwiach ukazał się Mieszek. Stał nie wchodząc jeszcze, izbę mierzył oczyma, a najpilniej ową gromadkę młodzieży, a najsurowiej Stacha. Stał tak długo jakby wzrokiem sobie

drogę uścielał, chcąc postrach siać. Potém powoli ruszył się ku siedzeniu na stopniach wywyższonemu i słowa nie rzekłszy głową nie skinąwszy tym co mu bili pokłony, zasiadł a raczój padł na siedzenie.

Postać to była w istocie strwożyć mogąca majestatyczna, z twarzą nachmurzoną, bladą, z usty które się niechętnie otwierały, ale i milcząc groźne były. Wejrzenie oczów przeszywało. W drganiu muskulów twarzy czytać było można iż gniew tłumiony przynosił z sobą.

Na ramionach płaszcz miał szeroki, spodem suknię szkarlatną, pas zlocisty i miecz u boku. Na złotym łańcuchu u piersi klejnot wisiał błyszczący.

Mierzwa posłyszawszy przybywającego pana z miejsca swojego zszedł na bok i pod ścianą pochyłony krocąc, z rękami na piersiach założonemi, pospieszył wraz z Kietliczem stanąć za pańskim siedzeniem.

Przytomność księcia czyniła go Sędzią, przy nim ten co zastępował, zamilczeć musiał. Klecha i chłopak od stołu w bok zbiegli, Stach, Bogoria i poręczyciele znaleźli się niespodzianie przed obliczem książęcym, z którym sprawa stokroć gorszą była jeszcze niż z wykrętnym Mierzwą.

Mieczysław zwrócił się do Kietlicza naprzód i oczyma mu dał znać, aby obwinienie powtórzył.

Urzędnik, któremu książę nigdy winy żadnej

nie przyznawał, ani się go zaparł, śmiało powtórzył o co Stacha winił.

Nie nie mówiąc, długo nań patrzył książę.

Stach sądząc że i jemu należy powtórzyć obrońcę, już ją rozpoczynać miał, gdy Mieszko po kolanie się nderzywszy dał mu znak aby milczał.

Podparł się na łokieć i milczał groźny.

— Coś za jeden? — zapytał.

— Zabor z Przegaju z pod Spicymierza, rycerskom służył — rzekł Stach krótko.

Książę pogardliwie głowę odwrócił ku Kietliczowi.

— Jakićj nań chcesz kary? — zapytał.

Zagadnięty mocno się zawahał, nadto srogim być na ten raz nie chciał, aby na siebie nie obrażać więcej, zbyt łagodnym być nie mógł, wołał się zdać na księcia.

— Wasza miłość niech sędzi, ja nie chcę nie — rzekł z pokłonem.

— Bez kary nie ujdzie! — rzekł książę.

W tém Jaśko Bogoria zapragnął przemówić, książę mu ręką pogroził

— A ty, milcz! — rzekł krótko.

— Skarb potrzebuje grosza — mówił po na myśle — niech siedemdziesiąt zapłaci!

To rzekłszy ani już spojrział na gromadę, wstał, tyłem się do niej obróciwszy i wnet nazad szedł, Kietlicza prowadząc z sobą.

Kara nie była tak sroga jak upokarzająca,

Bogorja ramionami dźwignął, chcieli już ruszyć, i iść precz, gdy Mierzwa rękami począł wskazywać na drzwi Juchima, skazanemu drogę wyznaczając.

— Tam się płaci, — dodał — tam idźcie! a kto grosza niema, idzie gdzicindziej! Wskazał z uśmiechem drzwi drugie, przy których czatował Bereza z pacholkami.

Nie szło o siedemdziesiąt grzywien, które poręczyciele złożyć mogli między sobą i zapłacić za Stacha byli gotowi, Stachowi wstyd było pożyczać.

Szepnął Bogoryi. — Postójcie mało a czekajcie na mnie, ja się sam ze Skarbnym rozprawię.

— Masz że czém? — spytał Bogorja.

— Dam jakoś rady! — odparł Stach obojętnie.

To rzekłszy śmiało wszedł do izdebki.

Przed chwilą właśnie kmiecia z nićj umęczonego jakiemiś gwałty, okrwawionego wyprowadzono do więzienia. Stach się z nim minął po drodze. Juchim siedział licząc i ważąc pieniądze drobne porozsypywane po stole. Zobaczywszy ziemianina przy mieczu, począł od tego iż mu pilnie się przypatrywał zmrużonemi oczkami, jakby rachował co z niego wycisnąć może.

— Siedemdziesiąta! — zawołał głos od progu.

Juchim ciągle się wpatrywał w przybyłego, mierzyli się wzajem oczyma. Stach, który dotąd

odwagi nie stracił, niewiedzieć z jakiej przyczyny, pokonany wejrzeniem bystrém Juchima, mięsząc się począł.

Żyd ręką wskazywał na stół, zapraszając do liczenia pieniędzy, na które czekał.

— Miłościwy panie, — szepnął głosem stłumionym — my się bodaj nie pierwszy raz widzimy? Jam już gdzieś was spotykał?

--- Niewiem, — odpowiedział Stach odzyskując odwagę — gdybyście wy mnie widzieli, pewno bym i ja was zobaczył i nie zapomniał — a — niepamiętam!

— Niech no, miłość wasza, dobrze sobie tylko przypomni? — szydersko trochę dodał Skarbny.

— Niemań na to czusu — odparł Stach — musimy się rozplacić.

— Nie pilno mi — rzekł Żyd — miłość wasza krótką ma pamięć!

— Jaką mi Bóg dał — odpowiedział zagadnięty. — Do sprawy.

— Dziwna rzecz, — powiedział Juchim — ja stary, a przysiągłbym że was znam i żeśmy nie jeden się raz widywali.

Stach spuścił oczy, naleganie to niepokoiło go.

W istocie przypominał on sobie Juchima, były to stare młodości dzieje. Skarbny nie miał naówczas jeszcze miejsca przy dworze, dostawano u niego pieniędzy na zastawy, młodzież co grała w kości, często się u niego zapożyczała. Naów-

czas dzisiejszy Zabor z Przegaju zwał się jeszcze Stachem z Konar i brał u Juchima pieniądze, gdy z księciem Kazimierzem grywali. Długi te wprawdzie pospłacane były, ale pamięć ich została żydowi. Stach który potrzebował aby o nim zapomniano, nie rad był że Juchim go poznał i mógł nawet może sobie nazwisko jego prawdziwe przypomnieć. Dziś ono było w ohydzie i wstydzicie się go musiał.

Juchim ciągle mu się pilno przypatrywał, uśmiechając po troszę.

— Panie Skarbny, — rzekł Stach usiłując co prędzej z nim skończyć, — kazano mi siedemdziesiąt zapłacić, pieniędzy z sobą nie mam, a choć poręczyciele za mną stoją, Jaśko Bogorja i inni, nie radbym u nich prosił o pomoc. Wy mi nie zawierzycie i ja też o wiarę nie proszę.

To mówiąc dobył z pod kaftana łańcuch złoty, ciężki i piękny i na stole położył.

— Wart on pewnie więcej we dwójnasób niż te grzywny — chcecie go przyjąć w zastaw?

Niestety, zapomniiał był i o tem Stach że ten sam łańcuch przed laty już bywał u Juchima w zastawie, gdy na te nieszczęsne kości grosza było potrzeba.

Juchim pochwycił go w chude palce kościste, popatrzył, poszukał jakiegoś znaku i znalazłszy go śmiać się począł.

— Aj! aj! — zawołał — toć to sami dziś

znajomi do mnie przychodzą! Ja ten łańcuch znam bardzo dobrze, on w moich rękach już bywał!

Stach się zarumienił.

— Ach! — zawołał nadrabiając zuchwałością — wszystko to może być. Ten łotr, niepoń, kostera, zbój Stach z Konar, mój cioteczny, do którego nawet mówią że mam być trochę podobny, był właścicielem łańcucha. Jedyny to spadek jaki po tym łotrze otrzymałem. On ci to go u was zastawić musiał.

Zdawało mu się że tem kłamstwem się wykręci, Juchim nie nie dając poznać po sobie, głową potrząsał łańcuch w rękach ważąc.

— A! a! to był wasz cioteczny — zawołał — cóż się tam z nim stało?

Mnie jego było zawsze żal.

— Niemasz go co żalować! — rzekł Stach żywo — przepadło licho, nie wiedzieć gdzie się podział. Powiadają że zginął z ks. Henrykiem poszedłszy na jakąś wyprawę. Łańcuch mi przyszedł przez dziesiąte ręce. Ale co my tam o tym łotrze mówić będziemy, mówmy o łańcuchu. Weźcie go na zakład póki nie wykupię.

Juchim kręcił dziwnie głową, ciągle się bawiąc łańcuchem, zdawał się jakby umyślnie rozmowę przeciągać i męczyć nią Stacha.

— To się mnie nie godzi — rzekł powoli — ja jestem Skarbny, ja muszę dziś pieniądze zło-

żyć księciu, a z kąd ja je wezmę tak prędko?
On łańcucha nie potrzebuje!

Bawił się nim żyd ciągle a może i Stachem,
na którego z pod brwi poglądał.

— Wy to nie wiecie — dodał — kto pieniędzy
dzy nie ma idzie do ciemnicy, dopóki ich nie da
Tak!

Stach oniemiały stał, Juchim nie mówił nie
stanowczego, a łańcucha z rąk nie puszczał i przy-
patrywał mu się ze stron różnych.

— W ciemnicy siedzieć, a jeszcze ziemianino-
wi i rycerzowi co do wolności nawykł, to jest
zła i paskudna rzecz — dodał żyd.

— No, w ostateczności to przyjaciele moi któ-
rzy czekają na mnie, zapłacą — rzekł Stach po
łańcuch swój sięgając.

— A gdzie oni czekają? — spytał żyd.

— W podwórzu..

— A co po nich! Wam nie dawszy pieniędzy
kroku ztąd zrobić nie wolno — mówił żyd. —
Oni tam sobie mogą czekać do jutra, a was tędy
(wskazał na drzwi boczne) powiodą prosto do
ciemnicy.

Stach pobladał i wstrząsł się, więzienia się te-
raz więcej niż kiedy obawiał. Juchim łańcuchem
ciągle potrząsał.

-- To jest bieda, — mówił obojętnie, że ja
nie mam pieniędzy. Gdybym miał, założyłbym za
was te grzywny — chociaż łańcuch, kto go wie

ja nie powiem żeby on był wart i tyle! Aj! aj! ciężki się on zdaje, ale czy to my nie wiemy jak złotnicy we środek ołowiu nalewają. On może i siedemdziesiąt nie wart!

Dla Stacha z Konar waszego ciotecznego pa-
ięci, który ze mną był w przyjaźni, jabym chciał
co zrobić dla was..

Zdawał się wahać, kto wie, kusił może Stacha
aby mu się wydał z sobą, ale ostrożny człek nie
odzywał się. Wolał cierpieć niż się przyznać do
Stacha.

— Szkoda w istocie że ja tu wam nieboszczy-
ka sprowadzić nie mogę, — odezwał się namy-
śliwszy — ale na to rady niema. Dziękuję wam
żeście na tego biedaka byli łaskawi, dajcież łań-
cuch, pójdę do ciemnicy, póki mnie przyjaciele
nie wykupią.

Wyciągnął rękę, Juchim nie puszczał łańcucha,
uśmiechał się.

Widać po nim było jakąś walkę wewnętrzną.

— No — chcecie dać łańcuch za grzywny?
głowa na głowę? — spytał.

— Nie mogę — rzekł Stach — pozbyć się pa-
miątki tój mi nie godzi. Raz że tego lotra Stacha
lubilem, a to po nim jedyna spuścizna, powtóre
iż łańcuch ten od Szczodrego wyszedł, który go
dziadowi dał. Sprzedać mi nie wolno.

I ręką wziął za leżące na stole ogniwa.

-- Wiecie co. — dodał -- Za te siedemdzie-

siat dam wam sto, ale za pół roku. Jaśko Bogorja da porękę za mnie.

Juchim puściwszy łańcuch zamyslił się i patrzył mu w oczy.

— A gdzie on jest ten poręczyciel? — za pytał.

— Znajdziemy go w podwórzu.

Juchim myślał, głową potrząsał.

— Niemogę, łańcuch wolę, — rzekł cicho..

— Wcz go z tém abyś mi odprzedał? — rzekł Stach zniecierpliwiony.

— Mogłoby to być — zamruczał Juchim — ale co on ma tak leżeć u mnie! Ja go zaraz dam do złotnika aby go piękniejszym i ważniejszym zrobił jeszcze. Trzeba będzie dołożyć złota, kto wie ile? Może on wówczas i dwieście kosztować!

Stach wzięty na te tortury zżymnął się, chciał łajać, wstrzymał miarkując iż to by nie pomogło.

— Obedrzeć mnie chcecie! — zawołał.

Żyd zmilezał — a potem z westchnieniem jakimś począł cedząc słowa.

— Aj! aj! za każdą posługę płacić potrzeba! Lepiej że wam będzie w ciemnicy siedzieć i Bó-żego światła nie widzieć? Co znaczą te grzywny przeciw wolności — a jeszcze młodemu? Dla nas starych już tylko w nich pociecha..

Jeszcze się wahał Stach, gdy stary tym cza-sem zadumany to na niego to na łańcuch spoglą-

dał i ciągle z sobą walczyć się zdawał. Niezrozumiałe wyrazy jakies z ust mu się wyrывały.

Czas upływał, a Stach się niecierpliwił.

Wytrzymał go Juchim długo, naostatek z siedzenia wstał i skrzynię otwartą, która przy nim była, począł pilne na kłódki zamykać — Stach z łańcuchem w rękę czekał.

Nagle dziwny obrót wzięła sprawa, żyd z uśmiechem jakimś smutnym odwrócił się ku niemu.

— Jakże was zowią? — zapytał.

— Zabor z Przegaju.

— Panku Zaborze, — odezwał się żyd zwolna — coby to było z wami żebyście wy tego Stacha nie mieli ciotecznym? Musielibyście albo łańcuch stracić, albo dać grzywien dwieście, albo w ciemnicy siedzieć — A no! idźcie sobie z Bogiem i z łańcuchem! Dla pamięci waszego ciotecznego, ja za was grzywny zapłacę. Oddacie mi je bez lichwy gdy będziecie mogli. Stach mnie raz w ulicy od motłochu wybawił i życie obronił. Godzi się abym za niego wam zapłacił.

Stach zarumienił się mocno, przysgodę tą, dawniejszą jeszcze ledwie sobie teraz przypomniał, skłonił głowę.

— Bóg zapłać? — rzekł.

— Nie był to zły człowiek ten wasz cioteczny choć wy go łotrem zwiecie.

To mówiąc Juchim się uśmiechał chytrze.

— Szkoda tego człowieka że zmarł, — dodał

Z niego by kiedyś był urósł mąż słuszny, młodość by przysumiała a co dobrego byłoby zostało.

— I za to dobre słowo. Bóg zapłać! — odezwał się Stach minuwolnie wzruszony mocno.

Skarbny zawołał zaraz na pacholków stojących za drzwiami aby więźnia wypuścili, i tak Stach niespodzianie obronną ręką wyszedł z gorącej łaźni. Nie miło mu wszakże było iż Juchim mógł się w nim prawdziwego Stacha domyslać.

Gdy powrócił do swoich poręczycieli, którzy opodał od dworca w podwórzu nań czekali, na twarzy jego widać było pomieszczenie tak wielkie, iż Jaśko Bogorja z daleka już począł pytać go, co mu się tam stało.

— A no, jeszcze nie — odparł Stach, który spowiadać się nie chciał. Stało się lepiej niżem się mógł spodziewać. Skarbny mi przez osobliwe miłosierdzie jakieś na grzywny czekać bez poręki przyobiegał.

Gdy się to działo w podwórzu, do izby Skarbnego, który jeszcze swą skrzynię zamkami ubezpieczał, wsunął się Kietlicz. Wszyscy oni tam na dworze Mierzwa, Kietlicz, Skarbny za ręce się trzymali. Były to narzędzia w ręku księcia posłuszne, uległe, pokorne, ale zarazem o sobie też niezapominające.

Kietlicz z góry biorąc rozkazy wszystkiem kierował. Gdy wszedł Juchim podniósł się od skrzyni, i stanął z wielkiem uszanowaniem po-

klon mn oddając. Tuż za nim nśmiechnięty, wśli-
znał się Mierzwa po ciehn. Nigdy go idącego
słychać nie było, chód miał miękki i ostrożny.

— Spodziewam się — odezwał do Kietlicza,
iż z dzisiejszych sądów miłość wasza będzie rada!

Spojrzał kn niemn, Kietlicz miał twarz pośę-
pną, skinął tylko obojętnie głową. — Juchim mil-
czał ściągając swe rupiecie do wyjścia. Nikt się
już odzywać nie śmiał, czekając aż nachmu-
rzony pan przemówić raczy.

— Tak, wszystko to dobre — rzekł w końcu,
ale to początek dopiéro, ani księży ani ziemian
jeszcześny nie nastraszyli i nie złamali. Nie
trwożą się a burzą. Żle mi to jakoś wygląda!

Książę w nie wierzyć nie chce, a ja czuję że
oni się już na nas zmawiają.

Mierzwa kościste swe, chude ręce podniósł
do góry.

— O! o! czyżby śmieli! — zawołał — a któżby
się na to ważył. Jestli na kogo podejrzenie? dajcie
go tylko w ręce moje, znajdziemy winę i posadzimy
tam gdzie ciało z niego kawałkami opadać będzie.

Kietlicz popatrzał nań z politowaniem.

— Myślicie że to łatwo dać wam w ręce tych
których ja podejrzewam? — począł szydersko —
he? dać wam Wojewodę Szczepana, Biskupa Gedkę
i wszystkich tych niecnótów co się kręcą około
księcia Kaźmierza, jemn dworują, jego pod nie-
biosa wynoszą, aby naszego pana zohydzili?

Mierzwa się zaduma nstał, zaciśnawszy.

— Miłościwy panie, rzekł zwolna wychodząc z zadumy. Księcia Kaźmierza się ohawiać śmiesz-némby było. Ja go znam. Pan to dobry ale miękki, woli on z klechami rozprawiać o Bogu, o duszy, o prawach wszelkich i zwyczajach, woli słuchać retorów i czytania z ksiąg starych, niż dobijać się władzy. Dawali mu ją za Kędzierzawego, a wziąć nie chciał. Strach to próżny — Kaźmierz na klechę stworzony, jemu Cystersi i ich klasztory smaczniejsze niż krakowski zamek.

— Jeżeli on nie straszny — odparł Kietlicz — to ci co o nim myślą, a że są tacy co już powiadają że lepićby im z Kaźmierzem było, to ja wiem.

Mierzwa usta wykrzywił.

— Co tam zważać na trutniów brzęczenie, — rzekł — ludzie co gadają wiele robią mało. A książę Kaźmierz, woli mieć z jednej strony księdza, z drugiej piękne liczko niewieście, niż moc, z którąby nie wiedział co robić.

Popatrzyli sobie w oczy. Mierzwa pokornie spuścił głowę, zerknął kn Juchimowi, jakby mu chciał dać znak jakiś do porozumienia, pokłonił się Kietliczowi i powoli z izby wyszedł przybierając postawę jaką zwykł był dla ludzkiego oka przywdziewać. Kietlicz sam pozostał ze Skarbnym, przeszedł się parę razy po izdebce.

— A wy, Juchim, co o tém myślicie? — zapytał stając przed nim.

— Ja? — rzekł Skarbny, — a co ja mam powiedzieć oprócz tego że wasza miłość gdy co mówicie zawsze macie słuszność. — Sędzia (wskazał na drzwi), ten póki sądzi rozumny człek jest, a gdy z ławy zejdzie ślepy.

Na księcia jeżeli się już nie zmawiają, no, to przynajmniej mruczą, a jak ziemianie krakowsey mruczeć poczną, to do biedy niedaleko. To naród jest bardzo zapalezywy. . .

Kietlicz słuchał bacznie.

— A i to jest prawda, — kończył stary długie włosy wiszące mu z obu stron twarzy gładząc chndemi rękami, — że na tego księcia Kaźmierza oczy mają wszyscy, bo to jest miękki człek, któryby słuchał wszystkich i Biskupów i władyków — a takiego im potrzeba, bo oni chcą panować nie słuchać, a księcia mieć tylko na okaz.

Kietlicz głową potakiwał staremu. Ten z za drewnianych balasów, za którymi stał dotychczas wyszedłszy zbliżył się do Palatyna, aby się ciszej mógł z nim rozmówić.

— Co miłość wasza myśli? jeżeli się co knuje — dodał — pierwsza rzecz mieć na Sandomierz oko i ucho. Tam najlepiej poznać można czy się co gotuje, kto jeździ i posyla. . .

— No — dodał zniżając głos, — na to potrzeba człowieka coby dobrze usłużył, a mnie się zdaje że ja takiego będę miał.

— Ty? — zapytał Kietlicz zdziwiony.

— Nu! Kto to wie! Ja!! — rzekł stary. — Nie jestem pewny — ale mi się coś zdaje. . .

Tu zatrzymał się trochę. — Widziała miłość wasza, tego ziemianina co na ostatku kazano mu zapłacić grzywny?

— Tego co mi się opierał? — mruknął Kietlicz.

— On się opierał? — zapytał Juchim — a no. gorąca krew, to nie nie znaczy. — Wie miłość wasza kto to może być? Jak on się zwie?

— Zabor z Przegajni!

— Ach! — rozśmiał się Juchim. — Ja powiadam że nie jestem pewny, ale mnie się zdaje że ja go znam. On się tego wypiera, a to jest ten Stach z Konar co księciu Kaźmierzowi dał w policzek, co go kołmi szarpać miano.

Kietlicz cofnął się słuchając, zdumiony mocno.

— Co ci się śni! — zawołał — zkadźceby się wziął, mówiono że przepadł bez śladu.

— Ja nie jestem pewny — dodał żyd, — ale mam dobre oczy i pamięć dobrą — to on jest! A jeżeli on, nie może być, ażeby w sercu przeciw Kaźmierzowi jadu nie miał!

— Książe mu darował życie — przerwał Kietlicz.

— A! a! — rzekł Juchim gładząc włosy — człowiek zawsze ma największą urazę do tego co go dobrodziejstwem upokorzył. Tego żaden człowiek nie przebaczy. On go musi nienawidzić — a przez to może nam być przydatny. . .

No — i nbogi jest . . . — dodał żyd ciszej.

To mówiąc twarz dziwnie wykrzywił, zmrużył jedno oko, usta mu się przeciągnęły — Kietlicz zamyslił się.

— On mi jest nawet trochę pieniędzy dłużny, — dodał żyd — mogę z nim pogadać...

Kietlicz przerwał zadumę.

— Zuchwalec jest! — rzekł krótko.

— A! a! — zawolał Juchim, — z ostrym nożem niebezpieczno, to prawda jest ale on lepiej kraje niż tępy.

Człowiek biedny bywa zuchwały z rozpacz. — Jeżeli to Stach, a mnie się tak widzi, czemu kolo niego nie próbować? czemu go nie wziąć na żołąd.

Myśl poddana przez Skarbnego zdała się przyjmować powoli w Kietliczn — ale ani przyzywał ni się z przyjęciem śpieszył.

— Nie jesteście pewni kto on — rzekł podumawszy — popróbujcie wprzódę się o tém przekonać. Na dwór do Sandomierza lada kogo posłać nie można! Niepewnego człowieka nżywać gorzej niż żadnego. . To wasza sprawa. . no — próbujcie go. .

Ruszył ramionami.

— Ja mam moich co mi donoszą, — począł ciszej. — Nowych rzeczy się nie dowiem. Zmowy na nas czynią, zbierają się, jeżdżą, jedni drugich podszezwają. Kaźmierza oni wszyscy na ąstach mają.

Chytry Wojewoda po nocach jeździ do Biskupa, a Gedko wszystko prowadzi, do wszystkiego podburza. Na Biskupim dworze wszystkiego

złego gniazdo! Książę się nie rad porwać na niego; z nim się pojednać, to mu się trzeba pokłonić, na to Mieszko nie przystanie. .

Westchnął Kietlicz. Juchim czapeczkę niecierpliwie na głowie poprawił, zdjął ją, włożył i począł szepeząc z gorącością wielką.

— A! a! miłościwy panie! — jeżeliby się co złego miało stać najmiłościwшему księciu naszemu, to kto będzie winien? Chyba on sam. Albo on siły nie ma w ręku? albo zięciów nie ma takich co mu dać mogą wojska choćby na zawojowanie tej ziemi? albo jemu kto się sprzeciwiać będzie śmiał gdy karać zechce? Czyto on i do Sandomierza i na dworzec biskupi nie może sięgnąć? Czyto już nie bywało??

— Książę Kaźmierz, albo to on nie człowiek? — zakończył Juchim znacząco.

— A kto siebie broni — dodał jeszcze, — temu wolno wiele! At!!

Na tém głośna się skończyła rozmowa, Kietlicz i Skarbny poszli do kąta i szeptać zaczęli. Przeciągnęło się to dość długo, nareszcie w zgodzie się być zdawali, Kietlicz raźniej izdebkę opuścił niż wchodził do niej; Juchim zdjął z kołka swój płaszcz, przyodział się i zaryglowawszy drzwi wolnym krokiem puścił się ku miastu, starając przejść niepostrzeżonym.

VIII.

Pomiędzy Krakowem a Tęczynem stał naówczas, do panów z Tęczyna należący dwór, którego dziś śladu i pamięci niema. Zameczek to był chędogi na skale wzniesiony, który zwano Panieńskim.

Po ojcu Tomku na Tęczynie, który był zmarł lat dziesiątek temu, ulubiona córka jego Dorota, za życia ojca wydana za Różyca, który ją wprędce odumarl, miała sobie przekazaną ową piękną murywanke przez miejskich murarzy niemieckich pięknie z ciosu wystawioną i ślicznym otoczoną lasem. Raj tam był prawdziwy, nieopodal od gwaru miasta i dworu książęcego, osłonięty ciszą, spokojny a rozkoszny wielce.

Miejsce to pono obrane było niegdyś na klasztor, aż gdy Tomek stary mury już wznosić począł, tak mu się tu samemu upodobało iż pobożną

myśl zmieniwszy, co dla sług Bożych było przeznaczone, dla samego siebie zatrzymał.

Nie wyszło mu to na dobre, bo gdy owe domostwo z ciosu stanęło dlań gotowe, a stary się doń przeniósł, nie długo zażywając w niém rozkoszy, zachorzał i umarł. Pan to był natury dziwnej, gwałtownej we wszystkiém co kochał i co nie nawidził, miary nieznający w niczém. Dwu synów po sobie zostawił i córkę jedną, tę, którą był wydał za Różycę.

Nie wiedzieć dlaczego obu synów, gdy dorastać zaczęli rychło znienawidził, że ich na oczy nie dopuszczał, córkę zaś tak ukochał iż jej wszystko było wolno. Z dziecka urosła na samowoli, a była bardzo piękna, ale nikogo nawet wstydu niewieściego słuchać nie chciała. Owszem im ją więcej pohamować się starano, szalała na złość gorzej jeszcze. Ojciec pobił ukochanej i ślepy dla niej był. Synowie, którzy siostry widząc życie sromali się wielce i do ojca ją skarżyli, w tém większą u niego popadli niełaskę. Dorota zaledwie z dzieciństwa wyszedłszy prostego jakiegoś Sokolnika ukochała, jawnie z nim wdając się w miłostki — a że inaczéj zlemu zaradzić nie było można, stary ją wydał za owego Różycę, którego ona ani chciała znać. Małżeństwo nie pomogło nic, mąż musiał mieszkać sam, Sokolnik przy pani był nieodstępny.

Bracia, którzy tego cierpieć nie chcieli, ułu-

kienca siostry, zasadziwszy się nań w lesie, porwali i na dębie obwiesili.

Nie pomogło to nic, nie upamiętała się płocha niewiasta, mężem pogardzając poczęła sobie innych gachów szukać, na przekór braciom tajemnicy nie czyniąc z tego i na jaw występując z nimi. Kraków jej bywał pełen, gdzie w kamienicy pod rynkiem, takie się działy uczty a swawole, że Biskup musiał ją precz z miasta przegonić. Szalala więc na Pamięńskiej Skale, a ojciec ni widzieć ani wiedzieć o tém nie chciał, oczy zamykając i umierając owo domostwo z ziemią okolo niego puścił jej dożywociem.

Bolało to braci bardzo. Po śmierci męża wdowa żywot wiodła jaki za życia jego poczęła — niemyśląc się uspokoić. Majętności z ojca i matki miała dosyć, młodość kwitnącą, śmiałość mężką, więc do niej ludzie jak na lep ciągnęli i jak oczarowani lgnęli do niej. Za męża, jak głośno się odzywała, nie chciała iść, aby pała nie mieć, na gachach jej za to nie zbywało.

Kogo zapragnęła sobie ująć, wzięła pewnie, a dokazywała srogie rzeczy iż pocziwym ludziom słuchając o nich włosy na głowie powstawały. Bracia po śmierci ojca, odgrażali się na nią coraz gwałtowniej. Chciała mieć kogoś coby stawał w jej obronie, więc naprzód jednego z książąt umyśliła sobie przyzwać, a gdy się to jej nie powiodło starego Wojewodę krakowskiego Szcze-

pana Pobożanina, który żonę miał i dzieci, a człek był poważny i dotąd stateczny, uwzięła się obalamucić i przyciągnąć.

Zdało się to rzeczą niepodobną, bo mąż był Boga się bojący i w latach podeszły, ale co pięknej a zalotnej niewieście niemożliwe! Święci pańscy nieraz gorzkiemi łzami upadek swój oplakiwali. Dorota jechała potajemnie do Krakowa, wiedząc że Wojewoda tam podczas był, z tą myślą upartą iż go mieć musi. Stała do niego prosząc o rozmowę jako biedna wdowa opieki i rady potrzebująca; Wojewoda Szczepan udał się do niej aby skarg na braci wysłuchać.

Piękna niewiasta dnia tego, choć się żałobno odziała, a łzy z powiek wymusiła, tak się wystroiła i mówić umiała a przymilać, jednać, patrzeć, wzdychać, uśmiechać, mrugać, że stary Wojewoda, któremu, jak powiadano, napoju jeszcze jakiegoś poddała, ledwie pod noc wyrwać się od niej mógł, nie tyle pijany co upojony.

I stał się cnd że ów oto dziad milczący, zimny, który nigdy na żadną niewiastę nie spojrział, jak zielony młokos przystał do wdowy.

Drugiego dnia sam już przyjechał do jej domu, a trzeciego wybrał się na Skąły do niej, i już Indzie dziwowali się a gwarzyli że go miała, że rzuciła nim jak sama chciała.

Stał się z tego rozgłos wielki, tak że Gedko

biskup krakowski, widząc zgorszenie jawne, bo stary się ze swoją miłością kryć nawet nie umiał, zwołał do siebie krewniaka, a strofował go mocno.

Gdy i to nie pomogło, zagroził mu że będzieeli trwać w grzechu, ile razy do Krakowa wjeżdżać zechce, każe nań w dzwony bić, jak na jawnego złoczyńcę; aż będzie musiał precz.

Ułakł się trochę Wojewoda i opamiętał, ale to krótko jakoś trwało. Dorota z obawy aby jęj nie porzucił, z małym dworem, przebrana sama pojechała do niego, — wygnać jęj nie śmiał i popadł znowu w dawne zdrożności.

Niewiasta bo była jakby stworzona na pokuszenie ludzkie.

Przy najdorodniejszych mężczyznach gdy stała, żaden jęj i o pół palca nie przerastał głową, a była tak zbudowaną iż się przez to wielką nie wydawała. Urodę miała nie tylko twarzy ale całego ciała tak przedziwną, iż gdy zwyczajem onego czasu włożyła suknie bardzo obcisłą a szła, ludzie stawali patrzeć jak na cudo. Przytém i lice było pańskie a królewskie, oko czarne ogromne, noszek orli, usta małeńkie, czoło jak ze słoniowej kości utoczone, włos ciemny gdy go puściła do kolan sięgał. A wszystko to niczém było przy kunszcie niewieścim, uczynienia z siebie co się jęj zamarzyło. Mogła godziny jednej być straszną i miłą, wesołą i smutną, jak chciała. Łzy rzęsiste miała zawsze w pogotowiu na zawołanie, a w mowie jęj

nikt też nie sprostął. Na mężtwie nie zbywało równie, im trudnijszém co było tém się chciwijsz do tego brała. Z koniem w Wisłę skoczyć, przepłynąć ją, na górę się wdrapać, z urwiska się rzucić, na zwierza się porwać z oszczepem, niczém dla niej było. A zachciało się jój potém doma niewiastą być łagodną i miłą, potrafiła jak najlepiej.

Żeby zaś kogo miłować miała na prawdę, oprócz może powieszonego owego przez braci Sokolnika, nie wierzył nikt. Z mężczyznami zabawiała się tylko, mieniając ich jako dziecię kukły; jeżeli się nawet który więcej podobał, po kilku dniach pewnie pogardliwą dostał odprawę. Ci którzy u niej łaski wprzód mieli, a potém zostali odegnani, szaleli chcąc się pomścić — ona się z nich wyśmiewała.

Szydziła też ze starego swego Wojewody, który zalecając się młodej wdowie śmiesznym się stawał, bo córki od niej miał starsze; ale że potrzebowała obrony i opicki, na uwięzi go trzymała. Bracia patrząc na to co Dorota dokazywała, żyzmali się i wściekali, ale z Wojewodą Szczepanem zadzierać się nie chcieli, mając zawsze nadzieję, że na babę z czasem przyjdzie upamiętanie, albo wreście znajdzie się dla niej mąż, który płochości jój płaszczem swym pokryje.

Tymczasem po staremu wszystko szło, gdy Wojewody nie było, młodzież się w murowance

na Skalach zbierała, sprawiano uczty, przybywali grajkowie, rozlegały się pieśni, wino lało w bród i po nocach otwarte okna gorzały tak, że ludzie pobożni zdala na nie patrząc żegnali się.

Miała to do siebie owa Dorota z Tęczyna, że sama zuchwałą będąc nad miarę, najwięcej się rozurowywała w ludziach mdłych a spokojnych, w nierozgarniętych wyrostkach i w takich co swęj woli mieć nie śmieli. Zresztą byle kto wesół był, nie bydko wyglądał, pieśni zawodzić umiał, do płaśów się zdał, głowę miał tęgą, gębę wyprawną, przyjmowała u siebie chętnie. Na te zaś czasy, gdy sama w domu ze dworem być musiała, że samotności znieść nie mogła, trzymała czeladzi i dworzan płci obojęd czeredę wielką. Dziewcząt zawsze przy niej bywało dwanaście co najpiękniejszych a zręcznych, a że z nich często która nbywała, albo za mąż idąc, lub pochwycona bez wieści przepadając, zaraz na ich miejsce drngie dobierała sobie. Nie obawiała się Dorota, aby przy niej która piękniejszą się wydała, bo miała taki urok, że wszystkie gasiła.

Z różnych jej miłostek przemijających, z których tajemnicy nie czyniła, najnieszczęśliwszą była jedna, z której się wyśmiewano pocichu. Podtenczas gdy jeszcze książę Kaźmierz w Krakowie przebywał, i dosyć płocho czas trawił, choć na przemiany i mądremi się zajmował rzeczami, zobaczyła go Dorota naprzód w ulicy idącego, a że

młodzian był bardzo piękny, nad którego chyba we wszystkich tych ziemiach urodziwszego nie było, wpadł jęj w oko bardzo. Wiedziała też, że od niewiast nie stronił za co go duchowni strofowali i w końcu ożenili, aby odwieść od nich.

Rozmiliwała się w nim zdala Dorota, mówiąc sama, że dla tego pana o Sokolnikuby nawet zapomniła. Szukała go, zabiegała, w końcu i znalazła, ale Kaźmierz, którego o to pomawiano, że dla niewiast słabym był, dla tęg się okazał surowym i obojętnym. Czyniła, co tylko mogła, aby się zbliżyć doń i zjednać go sobie i ten raz się jęj nie powiodło. Żał miała wielki, zapomnieć nie umiając tęg porażki, tak że często powtarzała.

— Nie ma nieszczęśliwszég niewiasty nademnie, albo mi to co kocham śmierć weźmie, lub wstręt odemnie odpycha.

Frasowała się tem wielce Dorota, że Kaźmierz w swe sieci ułoić nie potrafiła, biadała na to ciągle, a nie wychodziło jęj to z myśli i teraz. Ci co ją znali, zapowiadali, że prędzęg, późnięg na swoim postawić musi, bo wiadano powszechnie, iż księcia mimo jego woli z Rusinką ożeniono i serca do nięg wielkiego nie miał.

Tymczasem wdowa, choć jęj ten Kaźmierz w pamięci był, zabawiła się jako przedtęm, a co było w Krakowie i okolicy młodzieży ziemian i rycerzy, ciągnęło do nięg na płasy, uczty i spiewy. Czas tam zehodził jaknajmilęg, choć nie raz

zazdrośni się pookrwawiali, a nie jeden te rozkosze życiem przyplacił.

Starzy ojcowie synom tam na Skałach bywać zakazywali, matki dzieci straszyły Dorotę jak wiedźmą, ale utrzymać było trudno, sama ciekawość ciągnęła, wyrostki i mężowie dojrzali jak w dym biegli do wdowy.

Tylko gdy się wojewody spodziewano, który widzianym być nie chciał, gości odprawiała Dorota, inaczey zawsze im była rada. Stoły dzień i noc były pozastawiane, izby pooświecane, grajki brzdąkali, dziewczki śpiewy zawodziły, a wśród tego gwaru i wesela czasem chodziła jak skamieniała, posepna, a gdy kto do niej przemówił nie wiedziała co odpowiedzieć.

Dnia tego gdy Stach szczęśliwie się wyrwał z pod sądu, a Bogorja z towarzyszami ujęli go w podwórce zamkowym, poszli naprzód wszyscy w miasto zażywać dobrej myśli, potem zachciało im się psów, sokołów i koni próbować i puścili się ku Tęczynowi.

Tu zapędziwszy się dość daleko, Bogorja który wdowę Dorotę dobrze znał, bo nawet przez dni kilka u niej był w łaskach takich, że się ze Skał nie ruszał i jak w domu się u niej rozgościł, począł drugich pobudzać, aby jechali do wdowy. Wielu się wzdragalo, Stach też, który o niej słyszał, brzydził się płochą niewiastą, ale Jaśko nalegać zaczął, upewniając, że długo

tam popasać nie będą, kilku się więc jechać zgodziło, a Stacha tém pobudzili, że mu o zabiegach Doroty około księcia Kaźmierza z przypadku opowiadano, skłonił się więc jechać aby poznać niewiastę, którą za niebezpieczną uważał.

Ciągle myśląc o tém, jakby księciu służyć miał, wziął zaraz do serca, aby balamnetwu temu, szkodliwemu dlań przeszkadzać.

Droga boczna do dworu wiodła pod górę, wijąc się nad urwiskiem, u którego stał on drzewami starymi otoczony.

Dnia tego pusto jakoś było dokoła, w domu nad pospolity zwyczaj cicho. Że droga stroma była bardzo pozsiadali wszyscy z koni i szli śmiejąc się pieszko. Już byli pode dworem, gdy na łące dębami wkoło ostawionój, które się właśnie świeżym liściem okryły, postrzegli Dorotę o pień drzewa opartą, siedzącą na ziemi, samą jedną. Głowę miała w tył odrzuconą i patrzała kędyś w błękit niebios, gdzie skowronki zwijając się śpiewały. Smutną się wydawała i znużoną. Zdala dziewczęta jej nwiijające się około domu, czekały aby je zawołała.

Gdy na drodze ukazał się Bogorja i śmiechy słyszeć dały, wdowa popatrzała na przybywających, poznała ich pewnie i chustką, którą miała w ręku, na powitanie powiała.

Stanęli tedy goście przed nią klaniając się, a Jaśko, który był wygadany i już tu obyty,

wystąpił z przemową. Stacha nie знаła, więc go stawiono przed nią jako Zabora z Przegajni, świeżo ze szpon Kietliczowych szczęśliwie uwolnionego.

Milcząca w początku wdowa, wstała twarz rozedmurzając, bo miała to w naturze, że ją nowi ludzie najwięcej zabawiali. Jak dziecko zabawkę nową chwytala ich, póki złamawszy rękę lub nogę, precz nie odrzuciła.

Popatrzała na Stacha, który choć do zbyt młodym nie był, przystojną miał twarz i postawę rycerską, wnet poczęła go pytać o to i owo i tak wiodła do dworu. Stacha uderzyło to, że choć słuszniejsza wzrostem, śmielsza jeszcze w obejściu, podobną była do Sciborzanki. Lecz gdy tamta na nim czyniła wrażenie miłe, ta mu się wydała wstrętną.

Obyczajem było na Panieńskim, że w dolnej izbie wielkiej przyjęcie i stół zawsze były dla gości gotowe. Skinęła tylko na służbę, wnet niesiono misy i dzbany.

Gospodarzem był stary i siwy Przegała, który ochmistrzował u stołu, wesół zawsze, przepijał, zachęcał i panią zastępował. Człek był mimo siwego włosu śmieszny jakiś, nikt go nie szanował, naśmiewać się z niego było we zwyczaju. Dorota łajała, goście stroili zeń żarty, on to wszystko znosił jakby skórę miał łosia i nie przez nią nie czuł. Poszturgano go czasem nawet, na ręce po-

eliwycono, sińce mu się dostały, nie poskarżył się nigdy

Głodna gromada zaraz się do stołu przysiadła. Izba też owa murowana z głęboko w ścianach siedzącymi okienkami, z pułapem, który miał misterne belkowanie, chłodna, dość jasna, opatrzona w ławy kryte, posypana zielenią do wesołego wyteńczenia dobrze się nadawała.

Chociaż Stach radby był zdala się trzymać od wdowy i przypatrywać się jej tylko, Dorota nie puściła go rozpytnąć o przeszłe życie, o rodzinę, o niego samego tak, że gość był jak na mękach, bo kłamać nie lubił, a tu się ni tём, ni owém zastaniać musiał, aby się nie wydać kim był. Dowiadywała się kędy bywał, co robił, kogo znał, a zbywając się ciekawej Stach przebaknął, że i na dworze księcia Kaźmierza był czas jakiś, gdy w zastawie u Rudobrodego siedział.

Zaledwie księcia Kaźmierza wspomniął, gdy niewiastę jakby co poruszyło, uzepiła go się moenić jeszcze, nie odpuszczając od siebie.

— A miłujecie wy księcia Kaźmierza — spytała — boć to pan, którego nie wiem jak mężczyźni, ale niewiasty wszystkie za nim przepadać muszą!

— Mężczyźni go też kochają — rzekł Stach — bo nie można z nim być, znać go, aby się w nim nie rozmiłować. Niewieścić miłości on nie żądny — dodał — bo miał jej i ma podostatkiem.

Dorota jakby nie słyszała — mówiła dalej.

— O! piękny pan jest jako żaden, królewską krew w nim czuć!

— I seree też królewskie — dorzucił Stach mimowoli.

— O ja o nim też wiem wiele — mówiła Dorota — bo on u mnie w głowie i sereu oddawna! albo to nie piękna historia tego Stacha z Konar niegodziwea, co śmiał go uderzyć, a któremu on tak wspaniale przebaczył!

Stach głowę spuścił, aby skryć nagle na twarz uderzającą krew. Dorota nieprzystawała.

— Wyście powiedzieli, że on miłości niewiast nie żądny, a ja wiem, że tak nie jest. Piękne liźko mu miłe! Żonę mu narzucili, mówią nie łożą i nie spełna rozumu, miłośnice musi mieć. A czemu by ich niemiał?

— Jako żywo ich nie ma — przerwał Stach — na dworze żadnej nie słyhać. Wićcej tam księży, niż niewiast, a co z księżną Heleną najechało z Rusi, na to się nikt nie połakomi, bo umyślnie dobierali pono, aby zgorszenia nie było. Dorota się rozśmiała.

— Wy widać, nie o wszystkim dobrze wiecie — odrzuciła śmiało — ja napewno wiem, że choć jedną miłośnicę miał i pewno ją jeszcze ma! Mnie on głowę zawracał ten piękny książę — poczęła z dziwną otwartością — nie sromam się wyznać, że wołałabym go nad was wszystkich wiele jest!

Uśmiechnęła się lekceważąco, dumnie, Stach na nią spojrzał, ciągnęła dalej.

— Był taki czas, żem ja go koniecznie ująć chciała, ale ani patrzeć nie myślał. Zarazem zrozumiała, że inną krasawicę musi mieć, boby nie oparł się mnie.

Rozśmiała się sucho, przykro, aż po Stachu ciarki poszły.

— Ja jak mi co na sercu legnie, nie zaspię, nie spocznię, aż na swoim postawię — mówiła Dorota.

Stach, którego to paplanie gniewało już, przerwał umyślnie.

— Pewnie Miłość wasza tyleście się dowiedzieli, co i cały świat wie. Nietajna to nikomu, że ksiązę jakąś niewiastę zdawna sobie upodobaną ma, że się do niej wykraadał, a choć duchowni karecili, nie porzucił jej pono, ale kto ona i gdzie jest i jaka, o tem nie wie nikt, i wy miłościwa pani, wiedzieć nie możecie.

Dorota głową potrząsła.

— Ja pono wiem trochę więcej — dodała dumnie — przyznam się, żem nie doszła, kto ona niewiasta jest, alem widzieć ją widziała!

Stach ciekawie a niedowierzająco popatrzał na nią.

— E! e! — syknął na pół szydersko.

— Nabiedowałam dobrze, namarzłam i przy-marłam głodem — ciągnęła dalej wdowa — a było

tak, żem ludzi przekupiła, aby wiedzieć, kiedy na te łowy książę wyjedzie, z których w lasy gdzieś zbiega i znika, i po kilka dni go nie widać.

Puściłam się śladami w pogoni za nim, a con twarży i rąk nadarła o krzaki, tom nie czuła wcale, bo w takiej pogoni gdyby i głowę urwało, nie zarazbym się opamiętała.

Wszyscy słuchali ciekawie, nie zmiészana mówiła ciągle Dorota.

— Otóżem ich złapała we dwoje, w chacie na lasach, stałam na czatach, aż póki się nie rozjechali. Gdy ruszyła, ja w pogoni za nią. W głuchęj puszczy gdy konia już pędzić nie mogła, spotkałyśmy się oko w oko. Hoża dziewczka a śmiała! spojrzała na mnie grożąc oszczepem... Myślę, że nibylaby mnie, gdybym popatrzywszy nie dała jej ujść, bo pocóż gnać ją było? Cheiałam tylko wiedzieć, która z nas piękniejsza.

Stach oczyma zdawał się zadawać pytanie, ale wdowa nie odpowiedziała na nie.

— Myślałam jeszcze zająć ich w chacie, ale jeździć do niej przestali, albo ją Kaźmierz porzucił może!

— Ludzie o tém plotą baje — odczuwał się Stach — prawdy pono nie wie nikt. Bywałoć co może, ale przebyło pewnie. Pobożny i mądrość miłujący pan, choć młodość miał burzliwą, ożeniwszy się, starego obyczaju zaniechać musiał.

O książętach radzi ludzie mówią i więcej zawsze, niż prawdy jest.

Dorota rozśmiała się, czarne jej oczy błysnęły straszno i groźnie.

— E! ty pobożny człeczku! — zawołała. — Myślicież wy, że kto za młodu skosztował napoju, na starość trzeźwym być może? O! nie!

Albo ust weni nie maczać, albo się upijać potrzeba.

Nie będzie ta, będzie druga! — dokończyła; — i nagle zmieniając rozmowę, poczęła całc inną, zwracając się do Bogoryi i towarzyszyów.

— Cóż u was słyehać w Krakowie? Kochacie bardzo Mieszka? he? dobry pan? nieprawdaż? Widziałam go raz, dobrze go starym nazwali, pewnie młodym nigdy nie był! wygląda jak niedźwiedź gdy go z barłogu ruszą, broda mu się rozczochrana do góry zadziera, a usta ma jakby ćwiekiem zabite! He! dobry pan!

Cóż? myślicie z nim żyć? plotka prędko i żywo. Nie babska to rzecz kto tam rozkazuje i rządzi, ale pomyśleć wstyd nawet niewieście, że on wam na łbach kolki ciesze, a wy stoicie jak trusie. E! e! z mężów się teraz baby stały, zobaczycie wkrótce, z nas się mężowie porobią! Za Szczędrego się ziemiaństwo nie dało, za Włodka też nie pozwolili sobie oczów łupić bezkarnie, a no teraz Kietlicze z wami robią co chcą!

Stach usta zaciął, prawila mu do smaku, ale

że baby nie lubił od pierwszego wejrzenia, potakiwać jęj nie chciał.

Ona ciągle mówić jeszcze nie przestawała.

— E! e! żebym ja na waszém miejscu była, wiedziałabym co robić. Mieszka by posłać w pogoń na Niemcy za Władysławem, niechby razem cesarzowi służyli, a Kaźmierza na pana wziąć! Zarazby nam było raźniej, bo dobry pan, a co mnie, serec by aż poskoczyło, bo do Krakowa niedaleko, takiby choć spojrział!

Rozśmiała się pokazując ząbki białe, wstydu najmniej nie okazała, tak jęj to szło z ust, jakby nie czuła nawet, że zasromać się była powinna.

Jaśko Bogorja stojący blisko, wysłuchawszy co mówiła, skinął ku nięj.

— Nie od rzeczy mówicie — odezwał się — ale kto co poczynąć chce, zawczasu nie trąbi z wieży!

Jak do was pan wojewoda Szczepan przyjedzie, z którym wy czynicie co chcecie, jemu o tém szepnijecie... Oni we dwu z księdzem biskupem więcej mogą, niż nas stu.

Na wspomnienie o wojewodzie, Dorota uśmiechnęła się inaczej, brwi się jęj namarszczyły, cisnęła na Bogorję liśćmi, które trzymała w ręku.

— Co ty mnie wojewodą oczy będziesz wypiekał? — odezwała się — myślisz, że ja się tego starego dziada wstydzę? że się wypieram, iż go na powrozie trzymam, a choć biskup go za mnie wyklina, ja odezyniam śmiechem kłatwy biskupie!

Ej! ej! toć to moja pęcieceha! Coza dziw, że młodzi szaleją za mną? Suche takie pruchno przegniłe rozgorzeć, to dopiero nie każda potrafi.

Wojewody? — dodała — o wilku prawisz, tylko co nie widać, dlategoście mnie zastali samą i zasępioną. Dziad mnie nudzi, a do śmiechu zazdrosny jest, samby rad być i wszystkich odemnie poprzepędzać!

Obejrziała się dokoła.

— Byle go oznajmili — rzekła — i wy się sobie wynoście, niechcie, aby mi się sierdził, a bez niego panom braci się nie oprę.

— Pójdziemy my i sami — przerwał Bogorja. — Zagadajcież o królewiczu Kaźmierzu wojewodzie, a no bacznie, bo jak poczuje, że wam on miły, to go do Krakowa nie wprowadzi.

— A wy mnie nie uczeie! — odparła Dorota — będę ja wiedziała jak mówić z nim.

Zamyśliła się piękna gospodyni, i na chwilę umilkła.

Poważniejsza nieco rozmowa niedługo potrwawszy, wprędce się na żarty i zaloty śmiałe do zbytku zmieniła, ale Dorota tego dnia serea nie miała do niego, myślą była gdzieindziej, spoglądała oknami na drogę ku Krakowu, niepokoiła się widocznie, a goście co się trochę rozruszali, wzrokiem jej i mową onieśmieleni stygli i milkli.

Stach byłby się dawno wyrwał z tej niemilej

gościny, która mu wcale nie smakowała, ale nowy człek jeszcze miał od innych więcej ła-ski, niepuszczano go a z nim i drngich, i do-trwać musiał aż nadbiegl stary Przegała oznajmu-jąc iż Wojewodę na gościńcu ujrzano.

Znakiem to było dla młodzieży aby się chył-kiem wynosiła. Bogoria pożartowawszy z wdowy wesóło, wziął odprawę i obiecał swoich popro-wadzić boczną drogą tak, aby się z Pobożaninem nie spotkali. Wdowa słuchając tój obietnicy ra-mionami ruszyła, jakby jej to było obojętnem.

Jeszcze Jaśko z towarzyszami ledwie był na bocznej drożynie za wrotami, gdy spostrzgli mały i skromny orszak gościńcem po cichu i jakby ostrożnie podążający ku dziedzińcowi. Stawał on i rozpatrywał się a przysłuchiwał, wysłano człe-ka na zwiady. Wojewoda który zawsze co naj-mniej po kilkadziesiąt koni z sobą prowadzał, miał ich teraz tylko kilka, całe skromny swój zwykły ubiór powszedni na bardzo pyszny i oka-zały strój zamienił. Wjeżdżając już we wrota, jeszcze jakby się obawiał być spostrzeżonym, oczyma naprzód powiodł po dziedzińcu ku dwo-rowi, a nie znalazłszy ani koni, ani ludzi, ani zwykłej tu wrzawy, rażniej pode drzwi podje-chał. Widać było samą panią, która na spotkanie jego wychodziła.

Stary aż nadto żwawo na swój wiek, udając

młodego, spuścił się z konia i podbiegł ku wdowie. Z nią razem znikli wchodząc do sieni.

Widoczném było z niespokojnych ruchów i twarzy Pobożanina że się sromił tego co czynił, a namiętność go wiodła silniejsza nad srom i postanowienie, nad groźby i przestrogi biskupie.

Razem z wdową weszli do wielkiej izby, ale tu pozostały świeże ślady po gościach, które wdowa ukryć chciała i poszeptawszy coś posuwała się z nim razem do boeznej komory.. Tu znać było dobrze zalotną zbytnieć, żadna królowa pewnie kosztowniej ustrojonej sypialni nie miała.

Wszystko na co się ów wiek mógł zdobyć, składało się na jej upiększenie. Od rana podłoga posypana była wonném zieleń i kwiatami których zapach odurzał. Po rogach stały całe rozkwitłe i jak śniegiem osypane gałęzie ezeremchy przyniesione z lasu. Na ścianach wisiały opony od jedwabów i złota, część podłogi zasłana była sukniem, a sprzęt w większej części poobijany złotem blaszkami, świecił i połyskiwał. Na stole w pośrodku stały dla oka więcej niż dla użytku zręcznie dobrane naczynia złociste, ze szkła kolorowego, nasadzone kamieniami, w kształcie zwierząt i ptaków, emaliami okryte.

Na ścianach też, na oponach pozawieszane były błyszczące naramienniki, sznury pereł, koralów i bursztynu. Srebrne konwie i misy stały

u łoża, około którego fioletowa zasłona drogo ceniona wówczas dla barwy swojej spadała w fałdach bogatych, obramowana złotem.

W tej izbie tak strojnej, pełnej woni i barw w pół mroku zlewających się w mozaikę różnokolorową, piękna wdowa rzuciła się na pozłociste krzesło poduszkami wysłane miękkimi, siadła w postawie wyzywającej i zalotnej a Wojewodzie wskazała wygodną ławę, którą on zajął uśmiechnięty, usiłując się jak najbardziej do niej przybliżyć.

— A! królowko ty moja! — zawołał głosem drżącym — tęskniłem że ja tęsknił za tobą! A tu się ani wyrwać! Biskup bez miłosierdzia klątwą straszy. Musiałem, panie przebacz, zwodząc go, udać się w drugą stronę i cichaczem manowcami, nocą ku tobie podążyć, ludzi moich porzucawszy w obozie.

— I chwalicie się z tém, — przerwała Dorota — jakbym to ja tego nie była warta? Poczęła się śmiać przymuszonym śmiechem. E! ty stary! ty stary!

— Choćbym życiem nałożył, nie pożałuję go dla ciebie! — dodał Wojewoda bijąc się w piersi.

Popatrzała nań Dorota, ale w jej wzroku czułości nie było, trochę tylko litości a dużo pogardy.

— Biskupa się, widzę, więcej niżeli mnie boicie. — odezwała się — Niech on lepiej swoich

księży, pilnuje, aby po dwie i trzy żony nie trzymali i brody golili.

Rozśmiała się znowu.

— A! ten wasz Gedko! — dodała.

— Gedko mi powinowatym jest a miłosierdzia niema nademną. — począł Wojewoda — Przecie i drudzy nie lepsi odemnie, choć starzy i żonaci, duchowni i świeccy, któryż z nich kochania jakiego niema?? a mnie Biskup karci i smaga dla tego że na widoku stoję. Od klątwy ledwie się wypraszam!

Wdowa nie zdawała się bardzo zabawiać tą rozmową, patrzała na Wojewodę i uśmiechała się niepocziwie szydersko.

— Przecież, — dodała — Biskup was potrzebować musi i nie obejdzie się jeżeli z księciem chce rozpocząć sprawę.

Wojewoda zamilkł nagle jakby przestraszony

— Jaką sprawę? — zawołał — z kąd wy o tém wiecie?

— E! wróble już o tém na dachach ziemiańskich gródków świergocą — rzekła Dorota — a wy jeszcze chcecie z tego przedemną czynić tajemnicę.

I ręką zamachnęła około twarzy starego, jakby go uderzyć chciała. A Wojewoda pochwyciwszy ją namiętnie ścisnąć i całować począł, pewnie na raz o księciu i Biskupie zapomniawszy.

— Ja, — szepnęła Dorota — chcę wiedzieć o wszystkiém.

— O czémże?

— Co z Mieszkiem myślicie uczynić?

— A cóż my z nim czynić mamy! — wyjąknął zafrasowany stary.

Dorota pogroziła mu.

— Cóż? dobrze wam z nim?

— Dobrze czy nie, przecież to tak z panem zwierzętnim nie łatwo.

Wdowa usteczka wykrzywiła.

— Nie chcecie przedemną prawdy powiedzieć bom niewiasta długowłosa i długojęzyczna — Mnieszka o to! Wiem przecie dobrze iż ziemianie z Mieszka nie radzi, a więcćj jeszcze z Kietlicza.

— To nie tajemnica dla nikogo, — odparł Wojewoda — przecie próbować potrzeba nietykając księcia, Kietlicza wygnać. Tak ci bywało z Siccicehem i z Dobkiem, gdyby w czas go odegnali nie poszedłby Władysław precz.

— Wyście tchórze i miękkich serc ludzie — przerwała Dorota — jeżeli wam Mieszek dobry, niech na karkach siedzi — Kietlicza nie stanie znajdzie się drugi. Wyrwiecie babie pomiotło, to weźmie kociubę — baby się zbyć trzeba aby koniec był!

Pobożanin zatopiony w frasobliwój zadumie, nierychło mówić począł.

— Biskup, — rzekł — musi użyć naprzód wszelkich środków do upamiętania księcia, nim wyrzeczy słowo ostatnie, które zaważy. Biskup...

Dorota mu nie dała dokończyć.

— E! słowo! słowo! co tu po słowach — rozśmiała się lekceważąco — węże za miecze i tarcze, one tu potrzebniejsze od groźb i napomnień biskupich. A co pomogło gdy Gnieźniński Włodzisława wyklinał?

Macie księcia Kaźmierza pod bokiem, z którym by wam było jak najlepiej, a wolicie Starego tego cierpieć!

Na wspomnienie Kaźmierza Wojewoda niespokojnie z siedzenia się ruszył.

— Najmilejsza Królowko moja — zawołał czule, jam do was przybył zapomnieć o wszystkim, upoić się wami, a wy mnie książętami karmicie, których ja mam do syta, i nędzą moją powszednią! Dajcież bo mi lepiej w oczy wasze popatrzeć i — Wojewodzie splątał się język.

Rozmówany starzec drżący, tak był śmieszny, gdy powagę swą na młodzieńczą swawolę chciał mieniać, iż Dorota mu się w oczy rozśmiała.

— E! stary ty grzybie — przerwała mu nagle — młodości ci się zachciewa! Biedaku ty! nie wraca ona, nie wraca!

Purpurą okryła się twarz Wojewody, który blizkim był gniewu, ale dość było wdowie spoj-

zenia nań, aby, niechcąc go przywodzić do rozpacz, zmieniła ton natychmiast. Białą rączką pogłaskala' po zmarszczonój twarzy i tём trochę ulagodziwszy, klasnęła w ręce.

Dwoje dziewcząt z długimi kosami, w białych obcisłych sukienkach, w wiankach różanych na głowach, wbiegły na próg.

— Hej! żywo, grzanego wina dla pana!

Byłto środek którego zwykle używała Dorota, aby się trochę jego pieścizot i umizgów pozbyła. Wwiesiono zaraz dzban pozłocisty i kubki, sama nalala mu po brzegi. Wzdragał się zrazu bo znał napój zdradliwy.

— Dla miłości i dla rozkazania mojego musicie pić! — zawołała i sama mu do ust śmiejąc się kubek przyłożyła.

Patrząc jój w oczy, rad nie rad, Wojewoda pić musiał. Wnet Dorota unikając czulszych rozmów zagadnęła o sprawy poważne.

— Nie myślcie, — rzekła — że ja darmo się tak troszczę co się z Mieszkim stanie. Rozumiecie to że bracia którzy czyhają na mnie, nienawidzą, radzi by mnie pochwycić i zamknąć, u Mieszka służyć, jemu dworują i z Kietliczem na mnie zmowy czynią. Jeżeli Mieszko rządzić będzie mnie chyba w świat przyjdzie uciekać!

Wojewoda się porwał gwałtownie.

— Do tego nie dopuszczę! — zawołał — Gdyby schowaj Boże targnąć się i porwać was

śmieli, z wojskiem bym na Tęczyn poszedł i zdobył go aby was uwolnić!

— I nimbyście go zdobyli, bracia by mnie udusić dali! — odparła Dorota — Niema co czekać, panie Wojewodo, chce się wam ze mną spokojnie siedzieć i zalecać się, myślcie zawczasu o Mieszku i o Kietliczu — Muszą oni precz iść!

To mówiąc staremu drugi kubek nalala, a że się opierał znowu, poddała mu go do ust ręką własną, gładząc drugą po twarzy.

— A no — pijcie! — rzekła swawolnie nóżką tupiąc — Niewiecie chyba że wino was odmładza, rumieni się zaraz twarz, oczy pobłyskują, zarazeście inni — Pij, miły Wojewodo — pij!

Oczarowany starzec, chciał ją wpół ująć ręką, ale mu się zręcznie wysliznęła. Musiał naprzód spełnić kubek, po którym, gdy go wino grzane a korzenne rozmarzać zaczęło, pochylił się na poręcz ławy i westchnął. Czuł że mu ono nie dodawało sił a odejmowało.

Dorota siadła opodal trochę, dała znak, z drugiej izby ode drzwi ozwała się pieśń dziewcząt która miała do reszty starego rozmarzyć gacha. Była już teraz uspokojoną że zbyt natarczywym nie będzie.

Trzeci kubek rozpaczliwie sam już wychylił za zdrowie gospodyni i tak w nią patrząc niernochomy, przykuty do ławy, pozostał z oczyma oślepiałemi.

IX.

W rozwartém oknie Biskupiego dworu w Krakowie, w jednéj z izb jego przedniejszych, której ściany ciemném obiciem były pokryte i zawieszane godłami pobożnemi, stał mąż lat średnich, z twarzą posępną, zadumany.

Chociażby nie miał na sobie stroju duchownego, krzyża złocistego na piersiach i ogromnego pierścienia na palcu, choćby miejsce w którym się znajdował nie kazało się domyślać jednego z najwyższych dostojników; — z postawy i twarzy wszędzie w nim łatwo było poznać człowieka wielkiego rodu, ciężkie brzemie dźwigającego na ramionach.

Twarz to była już długimi laty jak wyrzeźbiona do infuły, usta nawykłe do błogosławieństwa i nauczania, rzekłbyś jedna z tych głów

Cesarów rzymskich, w twardym kamieniu wyrzeźbiona, co się wiekom oparła, świadcząc jakiego majestatu panowie ziemią dawniej władali. Czoło wysokie jak kopuła świątyni, siwiejącemi włosy gdyby wieńcem opasane, mimo zmarszczek które myśli na niem poorały, wypogodzone było siłą woli. Z pod niego patrzyło oczu dwoje wielkich jasnych, niezamglonych, choć barwy lazurowej i razem łagodnych. Usta około których pofaladowała się twarz pełna, wyraz miały zgodny z wejściem, namaszczone były dobrocią razem i ukrzepione siłą. Całość przedstawiała piękne harmonijne oblicze, choć ze śladów na niem pozostałych widać było że się ono ogniem i potęgą wielką zmienić mogło w groźne i niezłagane.

Cała postać odpowiadała wspaniałej głowie, a była krzepką, silną, pełną, choć nie rozrosła zbyt. Pół kapłana, pół rycerza, coś królewskiego w nim było, a więcej nad wszystko spokoju i majestatu, jaki daje poczucie własnej potęgi.

Był to Gedko Gryf Biskup Krakowski, po Gnieźnieńskim metropolicie, pierwszy w Kościele dostojnik, a ze stanowiska swojego przy głównej państwa stolicy, u boku najwyższego księcia, często większego wpływu i znaczenia na losy kraju od samego Arcybiskupa.

Kraków liczył się za gród główny, w Krakowie wiązały się i rozwiązywały sprawy państwa,

ziemiaństwo tóż i duchowieństwo krakowskie nad inne miały powagę większą i przewagę. Duchowieństwu zarówno i ziemianom przodował Biskup. Władzy książęcej można się było naówczas opierać i ziemianie butni porywali się na nią łącno, na powagę ojca i pasterza nikt nastawać nie śmiał.

Biskup był tu panem istotnym.

Szczęśliwą tóż była ta stolica, że na niej jeden po drugim zasiadali mężowie dorośli do wysokiego swego stanowiska; po Rupercie, Cholewa po Cholewie Gedko. Takich właśnie potrzeba naówczas było państwu i kościołowi. Łagodny Rupert zajmował się budową katedry. Cholewa uczony światło szerzył i uczonych garnął ku sobie, dowiecipem swym rozbudzając umysły, Gedko pod te czasy grożące niespokojem, gdy ziemianie z panów swych nie radzi, burzyli się stawiać im ostro, musiał najwyższą władzę w silném trzymać ręką, aby jej między siebie nie rozerwało niespokojne rycerstwo. Gdyby jej nie ujął w dłoń żelazną, zamieszkom i bezrządom nie byłoby końca.

Od Szczodrego już rosła moc ziemian, którzy z duchowieństwem razem, wyparli zabójcę biskupa na wygnanie. Od téj pory ziemianie coraz głośniej sobie przyznawali prawo stanowienia panów i zrzucania ich, gdyby nie po myśli im rządili. Miał książę prawo nie pytając nikogo leć

dać uciąć ziemianinowi, ale gdy się zań butne rody ujęły, precz też iść musiał.

Gedko nie od dziś w rozmyślaniu pędził go-dziny swe i rozterce z sobą. Widział on co się działo, na Kietlicza wykrzykiwano, odgrążano się na księcia, zjazdy po zjazdach się mnożyły, w Krakowie, po gródkach tu i owdzie już coraz głośniej przebąkiwano że Kaźmierz lepszym by był, że potrwali Mieczysław, swoboda i prawo ziemian za niego przepadną. Duchowieństwu też zagrażała samowola księcia, bo nie tajném było iż Mieszko się i na Biskupów odgrążał że ich do posłuszeństwa przywiedzie. Trzeba było ratować kraj od zamieszania i samowoli.

Biskup dnia tego wysłał był właśnie po Wo-jewodę Szczepana, który mu powinowatym był i we wszystkim szedł za nim. Gedko znał jego nieszczęśliwe miłostki i oburzał się na nie, ale bez Szczepana obejść się nie mógł. Postanowił więc razem zagrozić mu i przywieść do n-pamię-tania a naradzić się co czynić przystało, aby się uciskowi oprzeć i praw swych bronić.

Wysłany w ślad za Wojewodą dworzanin Bi-skupi, Samko, pojechał był języka dostawszy do dworu Wojewody w mil kilka od Krakowa, ku góróm położonego. Zastał tam orszak jego, dwór i kilkunset ludzi leżących obozem, powiedziano mu zrazu że Pobożanin chory był, że widzieć go pod czas nie mógł, ale sprawny Samko rychło się do-

rozumiał iż Wojewody na dworze nie było, a kiedy go szukać miał, o tém mu powiadać nie potrzebowano.

Miłości Wojewodzińskie, o których już raz dzwony krakowskie z rozkazu biskupiego głosiły, nikomu nie były tajne, namyślał się więc krótko Samko co miał czynić, i, że sprawa ważną była, ruszył zaraz nazad wprost na Panieńskie skały. Tu przybywszy i ludzi wojewody znalazłszy, mocno ich zmięszał tém że Biskupi poseł na gorącym ich złapał uczynku. Koniuszy Pobożanina, wierny jego sługa nieodstępny, który mu wszędzie towarzyszył, natychmiast do dworu pobiegł oznajmić pana.

Wojewoda właśnie upojony słuchał pieśni, oczyma chodząc za wdową, która mu się szydersko uśmiechała i starała uspokoić aby sobie marząc wypoczywał, gdy Koniuszy i Ochmistrz Przegala nadbiegli dając staremu znaki. Zrazu upojony nie zrozumiał ich, wyszła sama Dorota do nich, a dowiedziawszy się o posłańcu, gniewu wypchnęła zaraz Wojewodę aby biedę latał jak chciał.

— Biskup nie ma wiedzieć żeś tu był, — rzekła rozkazująco i gniewnie — dosyć już na mnie nawieszali sromu. Czyż co chcesz!

Wybiegł stary do podścienia, na nogach się chwiejąc, bo mu wino w głowie szumiało, strapiiony i zburzony.

Tu Koniuszy nań czekał i rzekł krótko.

— Samko, posłaniec Biskupi, przytarł aż tu, widział nas, domaga się gwałtem do Miłości waszój.

— A niech idzie na wskrós ziemi! — krzyknął w nniesieniu Wojewoda — niech przepada! Ubij go, rób z nim co chcesz, a mnie tu nie było i niema. Słyszysz! zapakuj mu głowę złotem aby milczał. Nie ma mnie tu — nie było, niech idzie precz do kulawego szatana, szpieg ten niegodziwy!

Kto mu o mnie powiedział? kto zdradził, bo-
daj go pioruny paliły.

Ja jutro do Biskupa przybędę!

Koniuszy chciał coś odpowiedzieć, gdy Wojewoda dodał pospiesznie.

— Daj mu co sam chcesz! łańcuch z szyi, kiesę moją całą aby mi przed Biskupem milczał, Mnie tu niema! niema! niema, nie było nigdy! niech mi się ztąd wynosi!

Tak odprawiony Koniuszy pobiegł posłuszny pańską sprawę naprawiać, lecz źle stała. Samko, dworzanin Biskupa przyjąć nic nie chciał, milczeć obiecywał, ale się domagał aby Wojewoda zaraz z nim jechał do Krakowa.

Gdy Koniuszy z tём do starego pana powrócił, wyszła doń razem z Wojewodą Dorota, rozsierzdziwszy się mocno, jakto jój było łatwo. Wnet Wojewodzie płaszcz podawać kazala, miecz

przypasać, konia podprowadzać, aby nie mieszkając jechał.

Stary gniewał się, opierał, modlił prosząc do jutrzejszego ranka, nie pomogło nic. Dorota rozkazywała, słuchać musiał. Co się tam przekleństw posypało po cichu, zliczyć nie można.

Kazano na kilkoro stać przodem jechać posłańcowi biskupiemu, a otrzeźwiony już Wojewoda, rad nie rad, konia dosiadł i kazawszy go przez las i wąwozy w ręku wieźć przy łuczywach, niepożegnany prawie, ruszył nocą już ku Krakowu.

Po kilku dniach ciepłych, jak na biedę od Tatrów ciągnęła burza, chmury ciemne wałyły, błyskało zdala strasznie i nimby Wojewoda do miasta się dostał, ulewa się obiccywała. Jechać przeto musiał, gniew mu siły dodawał i gorącości młodzieńczej. Ochłonał rychło z miłosnych zapachów i sam już je teraz sobie wyrzucił, sromając się po czasie.

Nadciągała nawałnica, pioruny zaczynały trząskać w okoliczne drzewa, gdy po utrapionej tej wędrowce nocnej Wojewoda stanął na dworcu Biskupim. Było późno, ale się jeszcze u Gedki świeciło, bo czekał na Wojewodę, modlił się i sen go niebrał. Właśnie kończył pacierze gdy Szczepana mu oznajmiono.

Wyszedł kapłan z surową twarzą przeciwko niemu, ale że obcy ludzie byli przytomni w pierw-

szęj izbie, rękę dał do pocałowania i nie nie mówiąc powiódł przybyłego za sobą.

Wojewoda szedł czując winę swoją, gotując się na wyrzuty, upokorzony, milczący, zawstydzony, gdyż wiedział że Gedko się domyślił skąd go ściągnięto. Choćby mu o tém nikt nie powiedział, gdzie znaleziono starego, ze zdradzieckiej twarzy starca byłby odgadł winę.

Zamknęły się drzwi za niemi, Gedko odwrócił się do krewniaka stojącego w pokornej postawie, popatrzył nań i poruszył głową.

— Szczepanie mój — ozwał się ręce załamując — będziesz że ty wiecznie zakamieniałym grzesznikiem?

Wojewoda podniósł głowę milczący.

— Widzę z twarzy twój na której się pocziwsze od ciebie odbiło sumienie, że znowu popadłeś w sidła wszetecznicy! Miłościwy Boże! policz że się z latami, rachuj z sumieniem, rozum powołaj, patrz na dostojęństwo które ci w ręce dano — a godziż się to? a godzi?

Szczepan belkotał.

— Ojciec mój! ale cóż, — cóż się stało?

— Ja o niczém niewiem, — rzekł Gedko — ale ty sam się obwiniasz! Nie masz wejrzenia i twarzy człowieka co staje z czystém sumieniem...

Ręce załamywał Biskup. Wojewoda po spotnieniu czołem powiódł dłonią drżącą, jakby z niego

zetrzeć chciał ślady myśli i westchnął głęboko, bijąc się w piersi.

— Bracie kochany, — mówił Gedko — ty i ja stojemy na straży poczciwości ziemi tej — cóż będzie gdy ta straż sama jawno grzeszną się stanie? gdy sól ziemi tej zwietrzeje?

Małym jest grzech jeden, ale jak plugawy robak mnoży się on w tysiące. Nie swój tylko grzech ale zrodzone z niego mieć będziesz na swém sumieniu, a ja wasze wszystkie, jeżeli im pobłażę...

Powietrze to którem na biskupstwie oddychał, zdało się odczyniać na niego, Wojewoda upokorzony, ciągle się bił w piersi i stękał...

— Ojciec mój — wyjąknął — winienem, ale poprawę obiecuję.

— Nie dosyć jej chcieć — zawołał Biskup — trzeba na nią pracować. Znasz słabość swą, uciekaj od tego co ją sprowadza. Nie idź tam gdzie upadasz! Bracie mój! bracie! — dodał coraz silniej — ty mi zakrwawiasz serce, ja cię kocham a muszę ci być sędzią i katem, bobym z tobą winę dzielił.

Gdy nic pomoże nic, świecę wezmę i rzucę i wyklnę cię, do kościoła nie puszczę, z miasta znowu wydzwonię.

Wojewoda po rękach go całował.

— Ojczulku — rzekł — nie będę. Niech lichy perwie tego szatana niewiastę, urok rzuciła na

mnie, przysięgam ci, sromam się, płaczę a siła jej nieczysta wlecze mnie.

Biskup krzyż zrobił nad pochyłoną jego głową.

— *Vade retro Satanas!* — szepnął.

Zadumany parę razy przeszedł się po izbie, dając odetchnąć Wojewodzie, który wzdychał i ciągle pot z czoła ocierał, choć go już na nim nie było.

— Zbierzże myśli, — mówił Biskup po chwili, bo nie o tobie i nie o płochych sprawach twych mówić mamy, ale o tém eo nad wszystko waży.

Zwrócił się ku niemu.

— Tak, radzić potrzeba, a nie płoch. Pora po temu. Ziemianie na skargi do mnie płyną, zżymają się, srożą, burzą. Na zamku też, same pogrożki slyehać. Na nas teraz leży wszystko.

Książę Mieszko słucha Kietlicza, obcego człeka, lekceważy sobie ziemian i rycerzy swych, ufa w siły cudze. Mało tego, wezora na zamku gdy mu zauszniak doniósł że Biskupi i duchowni na zajazdy majątności swoich się uskarżają, rzekł eo kapłan słyszał —

— Biskupów tak potrafię obuzdać jako innych — poddani moi są. Słyszysz? — dodał Gedko — świętokradzkie słowo! Porwą się na nas, a kto swobód ziemian i praw wszelkich ludzkich i bożych strzedz będzie? Kto? Pójdzie samowola rozpasana po gardlach waszych. Dał już przykład Bolesta, że na Biskupa porwać się mo-

żna gdy Wernera nieszczęśliwego zamordował, dali przykład Kościeszce gdy u mszy świętej przy oltarzu Magnusa Wrocławskiego zabili. Wprawdzieśmy po pierwszej zbrodni z Piotrem Arcybiskupem i Bernardem chwycili winowajcę, osadzili go i dali zżedz na stosie, ale przykład zły nasienie po sobie zostawia. Nie uszło bezkarnie morderstwo Kasztelanowi Boleście, Mieszkowi może iść płazem, silniejszy jest.

— A, nie może to być! — zawołał Wojewoda.

— Ani ja chcę wierzyć temu, — mówił Biskup dalej — aby ze krwi świątobliwego Krzywousty miał taki powstać wyrodek, któryby zbrodnią na pomazańcu Bożym spełnioną się pokalał, a jednak, wcześniej radzić potrzeba! Od ziemian się gwałty poczynają, na nas skończą.

Przeszedł się Gedko po izbie, Wojewoda stał z rękami założonemi.

— Czyżbyśmy już byli zmuszeni o innym panu myśleć? — szepnął nieśmiało.

— Chyba gdy już żadnego innego nie będzie ratunku. — odrzekł Biskup — Póki nadzieja w Bogu, na wojnę domową hasła dawać się lekko nie godzi. Mieszko jeszcze upamiętać się może.

— Podżegacza oddalić trzeba — rzekł Wojewoda.

— Ziemianie, -- ciągnął dalej Gedko — już

za gorąco biorąc krzywdy swoje, o Kaźmierzu przebąkują, wzięli się żywo do popierania go na stolicę. Znam ci i ja tego dobrego, pobożnego, czcigodnego księcia, który najwyższej władzy jest godzien, ale anim pewny czy ją przyjmie, bo dwakroć odmawiał, ani wiem czy godzi się okładać go tém brzemieniem.

— Cóż więc myślicie? — zapytał Wojewoda?

— Chcę wyczerpać środki wszelkie, — rzekł Biskup. — Nie oddalajcie się ani na chwilę ztąd, bo i dzień jeden wiele dziś stanowić może. Wstrzymujcie ziemian waszych, aby nierozważnych kroków nie czynili, stójcie przy mnie, potrzebuję was. Zrozpaczymli o Mieszku? niech się dzieje wola Boża! Pismo święte powiada, godzi się aby jeden człowiek ginął, gdy przezeń lud ma być wybawiony. A tu i nie o los ludu idzie, ale o władzę Rzymu najwyższą i o prawa tój ziemi naszej. Jeżeli to wszystko dla jednego ma przepadać człowieka... ocalić musimy prawa, choćby przyszło go skazać!!

Słuchał nicodzywając się Wojewoda przybity widocznie.

— Na zamku dawno nie bywałem, — rzekł Gedko — wiem że tam na mnie kosem okiem patrzą, ale jutro na Sądy pojedę, a jako pasterz tój owczarni obowiązek mój spełnię.

Tu Biskup zawahał się nieco.

— Wy bądźcie w pogotowiu stawać w mojej

obronie, jeźlibym jej potrzebował. Z tego co od zamku zawiewa wnosząc, groźno tam dla mnie być może. Nie ulęknię się przecież, ale chcę byćcie wy pogotowiu stali i gwałtu jakiego nie dopuścili.

— Na jakiż gwałt ważyć się mogą? — zapytał Pobożanin przejęty i nastraszony zbliżając się do Biskupa.

— Na wszelaki, — odparł Gedko spokojnie. Alboż Szczodry nie zarabiał u ołtarza poprzednika mojego, a ten mi nie jest przykładem co w zaślepieniu stać się może?

Wojewoda wzdrygnął się zaprzeczając.

— A! nie, to być nie może!

Wysłuchiwał go Biskup nie strwożony.

— Chcesz posłyszeć co na zamku śpiewają? — zapytał — Będziesz miał sprawę

Uderzył w dłonie i wszedł kleryk który w drugiej izbie czekał.

— Ojca Siegfrieda proście do mnie, boć do snu pewnie się nie udał jeszcze.

Kleryk wyszedł pospiesznie, a po krótkiej chwili, z pokornym pokłonem, w długiej sukni czarnej zjawił się mężczyzna młody, blady, przyklęknął przed Biskupem i w rękę go pocałował.

— Ojcie Siegfriedzie — odezwał się Gedko — powiedziecie coście na zamku słyszeli. Nie tajono się z tem przed wami, nie podsłuchiwałoście,

chciano aby o tém wiadomość doszła do mnie. — Mów.

Kaplan chwilę pomyślawszy, rzekł głosem stłumionym.

— Kietlicz począł naprzód oskarżać ziemian o spiski, potem duchownych, że z niemi są we spółce. Otwarcie wymienił imię Pasterza naszego, dowodząc że nie tylko u ziemian ale i na Biskupstwie już mowa jest i zmowa aby powołać księcia Kaźmierza. Książę się począł śmiać z tego i szydził. A gdy Kietlicz ponownie dowodzić usiłował iż duchowni wszyscy rękę do tego przyłożą pewnie bo się na gwałty i zajeżdżane majątności żalą — rzekł książę — Biskupów tak posadzam do ciemnic, albo precz z kraju wyženę, jak i prostych ludzi.

Niech ołtarza pilnują i Boga chwala, a w moje sprawy się im mieszać - - wara. Pierwszy ksiądz Gedko pójdzie na wygnanie, niech się w Rzymie skarży, znajdę ja na to sposoby, aby posłuchanym nie był. Na jego miejsce powołam takiego co mnie słuchać będzie.

Nieposłuszny, choćby najwyżej siedział ściągnę go z wyżyny i zgniotę, a na dostojęństwo zważać nie będę.

Gedko spojrział na Wojewodę, który znów rękę załamał.

— Idź, ojcze Siegfriedzie, na spoczynek —

dodał Biskup — chciałem abyś mi był świadkiem. Niech ludzie wiedzą co nam zgotowano.

Gdy ksiądz wyszedł, Szczepan się długo na słowo zebrać nie mógł.

— A wy, ojcze, — rzekł wreszcie — jeszcze się czego po Mieszkcu spodziewacie?

-- Tak, dziecko moje, bo znam jak wielka przestrzeń dzieli słowo od czynu. Rzecz się słowo płocze łatwo, gdy gniew oczy zaciągnie, ale porwać się ręką — nie łatwo. Zadrży ręką i serce. A i o tém wiedzieć powinniście, że gdzie słowo łatwe i bujne, tam po niém rzadko czyn idzie. Spali się ogień cały na mowę, nie stanie sił na nic więcej.

Śluchaj więc, — kończył Biskup. — Bądź ty przygotowanym i ludzi miej pogotowiu, zobaczymy co czynić mamy. Nieupamięta się Mieszko, Bóg miłosierny przebaczy, musimy nastąpić nań — i niech padnie! (dodał głosem uroczystym) niech tak padnie jako padł Szczodry i brat Mieszków Władysław — niech padnie!

Temi wielką groźbą brzemiennemi słowy pożegnał Wojewodę, a gdy ten go w rękę całował, błogosławiąc go szepnął jeszcze.

— Bracie, bracie! uczyni jakoś obiecał, kajaj się, popraw niechceszli mieć nieprzyjaciela we mnie!

Miasto całe już spało, gdy Szczepan z biskupiego dworca na swój Wojewodziński powracał

dla spoczynku. Potrzebował go starzec utrapiony wielce i złamany przygodami dnia tego. Droga najbliższa wiodła po pod dworek Leszczyc, około którego tuż przejeżdżać było potrzeba. Dnia tego choć świeżo burza sroga przeszła była nad Krakowem, zabawiano się w gościnnym domku jak niedawno, ale zgromadzenie mniej było liczne i spokojniejsze daleko. A że deszcz niewiele powietrze ochłodził, okiennice wszystkie pootwierano, część nawet gości przed dworem stała w dziedzińcu, aby świeższém odetchnąć.

Wojewoda chciał się przesunąć mimo niepostrzeżony, gdy stary Leszczyc, który po nocy miał dobre oczy, poznawszy go do konia pobięgi z poklonem. Ziemianie wszyscy lubili Wojewodę, choć milezący był i nie zalecał się im bardzo. Przebaczano mu słabości jego wiedząc że sprawę ziemiańską na sercu miał i gorliwym zawsze był jej obrońcą.

Za Leszczycem pobiegli i inni ku niemu, tak że Wojewoda mimowoli zatrzymać się musiał, aby na powitanie odpowiedzieć.

— W nocy nawet spoczynku nie macie, — zawołał Leszczyc sciskając go za kolano, — znać że ta n coś gorąco być musi.

Wojewoda głową poruszył i uśmiechnął się tylko, niechciało mu się mówić, a tu go obstępiono dokoła.

— Wojewoda nasz, — ozwał się stary Cholewa — a to nam z nieba spadłś, głowy tracimy. Część nocy już ci i tak przepadła, zleż że miłościwie ku nam z tej szkapy, a uspokój..

— Wstąpcie! prosimy! — wołał Leszczyc natarczywie.

Chciał się stary opierać i wskazał na rozpodzone gwiazdziste niebo. Wóz na północy odsłonięty przez chmury stał znacząc już późną godzinę.

— Zaspicie na dzień, ojcze! — wołał Cholewa.

— Cóż wam tam tak do mnie pilno! — odparł Wojewoda.

W tém go już prawie gwałtem z konia ścigać poczęto, opierać się nie było sposobu. Ziemiańskie byli poważni ludzie, starszyzna sama.

Zsiadł więc i wszyscy za nim wtoczyli się do izby, otaczając go kołem.

— Niewiecie o niczém, — odezwał się Leszczyc, dzisiejszego dnia dwu naszych ziemian pochwycił Kietlicz, pod błahym pozorem zasadził do ciemnicy, tylko aby nam grozy napędzić. Jednym z nich co się śmielój odzywał gardłem grozą, drugim wygnaniem.

— Cóż za winą? — zapytał Wojewoda.

— Jeden się pono zdala na gościńcu na Kietlicza pięścią pogroził, a drugi mu w pomoc przyszedł ze słowem. Sługa ten Mieszkowy nie ojczyc

tuteczny a przybłąda, i on tu nad nami panem, sędzią i sprawcą ma być!

— Jacyż to ziemianie?

— Janek Lubicz, Matek Zadora.

Wojewoda rnszył ramiony i głową zakłopotany.

— Chodził kto za niemi? — spytał.

— Niema po co? daremne upokorzenie i pokłony — przerwał Leszczyc — dosyć nam już tego, trzeba myśleć o sobie. Bez pana być nie możemy, a z tym nie wytrwać. Trzeba o tém myśleć.

Wszyscy spojrzeli po sobie odwagi dodając oczyma. Wojewoda rękę podniósł i położył ją na ustach.

— Nie spieszcie no się — nie spieszcie — rzekł cicho — powracam od Gedki, cierpliwość nakazuje. On sam jutro na zamku będzie i nie na próżno jedzie. Słowo powie które zawąży.

— To już nie pomoże! — odparł Cholewa.

— Z rysia barana nie robi. — dodał drugi.

— Darmo, — rzekł inny z gości — u nas już postanowiono, z Mieszkiem nie ma co i mówić, pošlemy do Kaźmierza aby go wybadać.

— A tak — dodał Leszczyc — wypadaloby posłać znacznego człowieka, ale zaraz podpatrzą i przewachają. Musiemy tym czasem potajemnie i ostrożnie poczynać. Mamy takiego małego człeczka z dużą głową, co się do Sandomierza ofia-

ruje jechać. Sam on nie dostąpi do księcia, a przez drugich przygotowuje go, aby się nam nie opierał.

W tém jeden ze starszych odwrócił się, odszedł kroków parę i z drugiej izby Stacha przyprowadził. Wojewoda, który bliżej go nie znał, choć po świecie spotykał, ciekawie nań począł patrzeć.

— Nie spieszcie zbytnio, czekajcie, — przebąknął — przed niewodem ryb łowić nie trzeba.

— Ale! ale — zawołał Cholewa — i ja zrazu tak radziłem, do tego jednak doszło że już nóż mamy na gardle. Dosyć tego pana i jego sługi! precz z niemi!

Szczepan Wojewoda jak był małowówny, szczególniej gdzie ludzi dużo widział, na to gwałtowne wyrzeczenie ramiona tylko ściągnął i ku Stachowi się obrócił.

— Księcia Kazimierza znasz? — spytał.

— On mnie nie bardzo, ja jego doskonale — odezwał się Stach śmiało — Ze wszystkich synów nieboszczyka króla, Henryk i on to były dwie perły najpiękniejsze i najdroższe. On nam jeden został, równego jemu niema i po długie wieki nie będzie. Szkołę wielką sieroctwa i nieśczęścia przechodził, bezdomny był, w niewoli się męczył a świętym z nićj powrócił. Ten nam pannać powinien a nie inny.

Mówił Stach z takim zapalem iż we wszystkich przelał uniesienie swoje.

Widząc to, bił dalej gorące żelazo.

— Dosyć nam spojrzeć, — kończył — aby w nim majestat do którego był przeznaczony poznać i uszanować. Krzywousty to żywy, aliści piękniejszy od ojca, powaga z dobrocią, majestat z łaskawością w nim, cześć sprawiedliwości wielka. Nie sięgnie on po swobodę nieczyją, nie będzie nam innym tylko ojcem rodzonym. On nam powinien panować! On! Sam pan Bóg tego chce gdy Mieszka powiódł na manowce, aby tamtemu drogę otworzył!

Wojewoda uląkł się i zmięszał, uszy sobie zasłonił.

— Na Boga ciszej, — odczwał się — nie budźcie śpiącego licha. — A do Leszczyca się obracając dodał — Mali jechać ten człek, niech się strzyma póki ks. Biskup nie powie.

— Biskup — przerwał Cholewa — jako ojciec duchowny, z pewnością nie chce zguby grzesznego a upamiętania. Może probować mądrych środków, my, prości ludzie, wiemy że się już tu niema czego spodziewać, ani czekać na co...

Niechaj jedzie lepiej dziś niżeli jutro.

— Natychmiast! — powtórzyli inni — aby książę miał czas się przygotować..

Stach się odczwał z gotowością, choćby tej godziny.

Wybór dłań był już skończony, koń stał od południa osiodlany, ludzi dwóch miał do posługi i wiernego Zegecia, sam Stach już był wdział ubiór do podróży, zawinął się więc z pokłonami tym co go wysyłali rażno a wesoło, bo mu aż serce biło że księciu mógł czemś usłużyć. On to pierwszy przez Bogorję nastręczył się do tego poselstwa. Wprawdzie sam na oczy księciu nasuwać się nie mógł i niecheiał, ale na dworze, jako Zabor z Przegaju miał znajomych sila, szczególniej rachując na prawą rękę Kaźmierza, Goworka, którego dobrze znał i był przezeń lubiony. Do niego więc chciał nieść poselstwo tajemne. Jeszcze Wojewoda usilował go wstrzymywać i hamować ziemian zapalonych, gdy Stach, obawiając się aby mu do pożądanój nieprzeszkadzono podróży, wyrwał się z izby, wybiegł w podwórze i koni dopadłszy, korzystając z ciemności, natychmiast wyruszył, z małą swoją gromadką.

Po burzy niebo się było prawie całkiem wyjaśniło, przebiegały po niem tylko chmurki lekkie a z za nich dziwnie silném, jakby obmytem świeżo światłem płonęły gwiazdy iskrzące. Miasto jeszcze spalo, a na przedmieściach, gdzie wiejski panował obyczaj, już ku dniowi po chatach budzili się ludzie ubodzy i światelka u nich płonęły.

Stach, Żegieć i czeladź znali doskonale miejskie uliczki i drogi do gościńca wiodące, ku któ-

remu się dostać chcieli. Przesuwali się więc bezpiecznie pomiędzy płotami, nikogo nie spotykając i już ostatnie chaty w ogrodach pominęli, gdy Żegieć pod niebo już się rozjaśniające spojrzawszy, zamruczał

— A no, paneczku — patrzeie tam jacyś konni stoją na drodze!

Było to w miejscu gdzie zarośla się i pojedyncze drzewa nad gościńcem tak uszykowały, że je łatwo z dała bodaj za ludzi wziąć było można.

Stach się rozśmiał.

— U stracha wielkie oczy? Co ei w głowie?

— rzekł — krzaki stoją nade drogą.

— A no się ruszają — odparł Żegieć.

— Bo wiatr gałęźmi miota.

— Wiatru ani ezuć.

— Bośmy tu zakryei — rzekł Stach.

— A no, ludzie! — powtórzył Żegieć.

— Drzewa! — uparł się Stach.

Podjeżdżali tak ku temu strachowi puściwszy konie klusem, gdy niespodzianie wcale nagle coś z krzaków ruszyło się i, nim się Stach miał czas wziąć do miecza, ujrzał się ściśniętym przez zbrojnych, z których jeden przypadłszy doń za piersi go pochwycił.

Drugi ręce mu porwał i w tył wykrecił. — Z blizka poznać mógł jednookiego Berezę.

Żegieć próbował się bronić, drudzy też oszcze-

pami wywijali, ale na ich trzech ludzi było kilkudziesięciu, którzy tak nagle nacisnęli że i mieczów z pochew dostać nie było podobna. Bereza jeszcze palką okutą płatnął Stacha po łbie, i byłby go ranił ciężko, gdyby na żelazne nie trafiła obręcze.

Obrona była niepodobieństwem, Bereza i jego ludzie pochwyconych, poobalanych już rozbrajali, lykami ich pętając. Stach wrzaskiem wielkim zrazu bronił się jeszcze napaści zbójcekiej, ale nikt tu słyszeć go nie mógł, a wśród nocy nie ważyłby się biedz na pomoc. Ogłuszony Stach, ranny Żegieć, powiązana czeladź nie opamiętali się jeszcze co się z niemi działo, gdy już nazad do miasta, bocznemi drożynami wlec ich poczęto.

Jawném było iż Stacha wyprawę ktoś zdradził, i że nań tam czekała zasadzka. Kto ją postawił domyślać się było łatwo. Kietlicz zręczny, miał swoich wszędzie, szczególnie między służbą bo czeladź nie wszystka bardzo rycerstwu i ziemianom sprzyjała.

Postrzegł zaraz pochwycony że go ku zamkowi prowadzono. We wrotach dał Bereza znak aby go puszczone, wjechali w podwórze po cichu, skręcono w bok ku szopom i tu ściągniętego z konia Stacha, osobno do więzienia wepchnięto, czeladź jego gdzieindziej uprowadziwszy.

Izba do której go wtrącono, miała wysoko

w ścianie małe okienko zaparte okiennicą i kratą drewnianą, trochę słomy wyleżanej w kącie, dzbanek na pół rozbity i drzwi okute, które zaraz za nim drągiem ogromnym zawalono.

Na pytania i odgróźki, Bereza śmiechem tylko odpowiadał ręce zacierając.

Nie szło Stachowi o siebie, nigdy on odwagi nie stracił, biedził się tём że poselstwo przepa-
dło, a ci co go wysłali, wiedzieć nawet nie będą co się z nim stało.

Jęknął zbiedzony i głowę potłuczoną na rękę sparłszy, gotował się na wszelki los, jaki mógł mu być zgotowany.

X.

Dnie posłuchania i sądów na zamku były wyznaczone, czasu których nie Mierzwa, ale prastarym obyczajem sam książę zasiadał jako najwyższy sędzia, wydając wyroki.

W dni te tych szczególniej dopuszczano, którzy nie obwinieni byli, ale sami z żalobą przychodzili domagając się sprawiedliwości.

Mieszko wymierzał ją zawsze bardzo surowo; przecież wyrokom tym nie zadać nie było można, chyba że Mierzwa i Skarbny pilnowali, aby przy każdym dla księżęcego skarbu grzywny sądowe ściągnąć jak największe.

We dnie te często podwórcie zamku najrozmaitszego ludu pełne były; dopuszczano bowiem bez różnicy stanu, każdego ktokolwiek żądał być wysłuchanym. Przyjeżdżali nieraz i ziemianie w spo-

rach o podziały ziemi dziedzicznej, o spadki, pojednanie zwaśnionych rodzin się dopraszając i kmiecie, osadnicy i lud nawet prosty. Nie wiadać tu tylko było duchownych i spraw takich, które do sądów ich należały, bo te sami Biskupi bez odwołania sądzili.

Tak, kilka lat temu, gdy ów Bolesta, kasztelan Wizki, nasadził zbójców i zamordować kazal Biskupa plockiego Wenera, nie sądził Bolesty, ani księżę, ani żaden sąd świecki, kazal go schwycić Areybiskup Gnieźnieński, zwołał do pomocy dwóch pasterzy, skazał go na stos i obszytego w płótno woskiem napuszczone, spalił w Gnieźnie pod Katedrą.

Bywały sprawy, które księżę sobie przywłaszczał a duchowni za swe uważali, rodziły się o to spory, i książęta radzi byli sądy swe czynić jak najgłośniejszemi, pociągali do nich, by groźną władzę duchownych uszczuplić.

Mieszek też tego przywileju wymierzania sprawiedliwości tém baczniej strzegł, im bardziej pragnął wielką już potęgę duchowieństwa ukroić.

Dnia tego, nazajutrz po rozmowie Wojewody z Biskupem Gedką, przypadały królewskie sądy. Odbywały się one z okazałością wielką.

Książę zasiadał w izbie na ten cel wyznaczonj i przybranj, na krześle szkarlatem obitj, w czapce złocistj, z mieczem przy boku, otoczony całym swym dworem. Do pomocy mu tyl-

ko znajdować się musiał Mierzwa, który stał za innemi dostojnikami, mało tutaj znacząc i będąc widocznym.

Mieszek, którego zdawna Starym przezwano, miał w tym dniu, jak zawsze gdy się ukazywał publicznie, twarz surową, którą zarost bujny, długa do góry poddarta broda ciemna, włosy czarne, brwi rozrosłe i namarszczone, czyniły groźniejszą jeszcze. Strój jego wspaniały był i wytworny. Za nim tuż, choć nie noszący urzędownie tego tytułu, ale pospolicie już Palatynem zwany, stał Kietlicz, którego grubej i przysadzistej postaci strój rycerski i łańcuch, niewiele dodawały wdzięku.

Inni też urzędnicy dworu otaczali księcia kółem, kanclerz, osoba duchowna, stary pralat Baldwin z Brzezia, Marszałek pański ze zlocistą laską w ręku, Podkomorzowie, Radni książęcy, dworzanie, służba.

Na dni te wszyscy przywdziewali stroje odświętne i oznaki swoich urzędów; Miecznik trzymał ogromny miecz w pochwie nabijanej z pasem obwiniętym kolo niej, znamię sprawiedliwości, inny tarczę książęcą i t. p.

Cisnęło się na te posłuchania wiele ciekawego ludu, któremu przystępu nie wzbraniano, aby mógł oglądać pańskie oblicze i sprawom się przypatrzeć. Drzwi stały otworem, a strażę książęcą

nie odpędzały nikogo, chyba tłok stawał się zbyt wielki.

Sądy rozpoczęły się od wczesnego ranka, na żałobach nie zbywało. Mieszko sam odzywał się mało, za siebie rozkazując Mierzwie zadawać pytania, słuchając odpowiedzi, w końcu za poradą z przybocznemi sam wyrok ogłaszając.

Kilka już spraw z dość surową poszło odprawą i zapłakanych ludzi strażę powypychały, gdy Kietlicz stojący u tronu, spojrzawszy ku wrotom oknem otwartem, zobaczył coś i niespokojny pochylił się do ucha pańskiego, szepecząc głosem na pół szyderskim pół złośliwym.

— Jego miłość, ksiądz Biskup Gedko na sądy też przybywa.

Książę zdziwiony, z brwią namarszczoną momentniej jeszcze, spojrział na mówiącego, jakby pytał co to znaczyć miało. Było w tém bowiem coś niezwyčajnego. Biskup jak inni wiedział o dniu sądów książęcych, nie mógł więc przybyć chyba z jaką żałobą. Rzecz to znowu była nieprawpodobna, bo duchowni sprawy ich się tyjące, sądzili sami.

Mieszko, jak zawsze, panem był siebie, tak i teraz nie okazał po sobie nic, choć go to niepokoiło. Sprawa tylko którą powołać miano, wstrzymaną została. Zwyczajem było, iż książę naprzeciw pasterza do progu wychodził, tym ra-

zem Mieszek nie poruszając się, pozostał na siedzeniu swoim.

Gedko przybywał z uroczystym występem, ubrany w szaty odświętne w płaszczyku złocistym na ramionach, jaki naówczas biskupi nosili, niesiono przed nim krzyż, towarzyszyli mu pralaci i dwór okazali. U drzwi biskup się zatrzymał, jakby oczekując należnego powitania, książę wstał tylko z tronu, ale się do wnijscia nie ruszył. Na twarzy Gedki przebiegl rumieniec doznanej obrazy, nie wstrzymało go to od wnijscia i żywo sam zbliżył się do księcia, obok którego miejsce jego było.

Wspaniała postać biskupa, z wyniosłem i pogodnem czołem, cała nabrała jeszcze majestatu od uczucia godności dotkniętej. Szedł zwolna, a gdy Mieszek z pewną niechęcią, zmuszony schylił się w pierścień go całując, Gedko odezwał się doń głosem spokojnym, ale w którym siłę czuć było pewną siebie.

— Miłościwy książę, choć na twych sądach, ja niemam co czynić, tylko im błogosławić, pozwólcie abym się widokiem ich pocieszył i wymiarem sprawiedliwości. Najpiękniejszy to przywilej monarchów, być szafarzami tego co najdroższe na ziemi.

Mieszek nie odpowiedział, można było z twarzy dwu mocarzy tych wyczytać jakby wzajemne wypowiedzenie wojny. Biskupa odtrą-

cić nie było sposobu, książę skinął na dwór. Niespodziane przybycie Gedki wymagało aby mu obok książęcego, na równi z niém, siedzenie drugie przygotowano. Choć niechętnie, musiano to spełnić, przyniesiono siedzenie okryte z drugiej izby i postawiono je przy Mieczysławowem. Biskup czekał stojąc, a książę też siadać nie mógł. Mierzyli się oczyma zapaśnicy.

Już to samo, że Biskup w oczach ludu i dworu zając miał miejsce tnż obok księcia, oznaczające, że z nim dzielił władzę, dumnego Mieszka poruszało do głębi.

Gedko choć czuł dobrze, iż nie był tu pożądanym gościem, nie zmienił oblicza pogodnego, zasiadł należne sobie krzesło, które służba co prędzej ustawiła. Książę siadł widocznie uchylając się od Biskupa i zwracając w inną stronę.

Jak przy Mieszku dwór jego tak obok Gedki stanął krucyfer z krzyżem, który tu miecznika zastępował, bo władzy duchownej orężem było to znamie, dalej pałacy, dwór, prawie tak mnogi i wspaniały jak książęcy.

Wzmogło się gniewliwe rozdrażnienie Mieszka, gdy ujrzał się w tej izbie własnego zamku niemal poniżonym przez widomy podział majestatu z duchownym. Oczy księcia ciskały wejrzeniami straszniemi, usta się ścięły, dłoń spoczywająca na nieczu drżała, obejmując rękojeść namiętnie.

Gdy się uciszyło, ludzie u drzwi stojący wo-

łać poczęli czyby kogo nie było z żalobą, aby występował. Ujrzano naówczas niewiastę średnich lat, odzianą jak naówczas ubogie ziemianki się nosiły, w odzieży ani nazbyt startej, ni nadto okazałej, z namitką białą na głowie, w płaszczu na piersiach spiętym. Twarz jej żółkła, poorana marszczkami, oczy od łez zaczerwienione, wyraz ust zbolwały, litość obudzały. Tuż za nią szedł człek młody dosyć pokażno przystrojony, twarzy butnej, zuchwałego wejrzenia, w krótkiej sukni wełnianej, pasem nabijanym ujętej, w spodniach obcisłych i miękkich chodakach, przy mieczyku, z włosami długimi rozrzuconemi na ramiona. Poznać było po nim można, iż musiał za jakąś winę odpowiadać, a coś mieć na sumieniu, bo szedł krokiem niepewnym, wahając się, oczy to zbyt śmiało podnosił, to strwożony i pomieszany opuszczał. Z rękami też niewiedziało co zrobić, chwycił się za pas, rzucał go, ujmował za mieczyk, zakładał w tył... Twarz nie wiele o nim dobrego powiadała, choć młoda jeszcze, już jakby życiem sterana wyglądała, pofałdowana, niespokojna, krzywił usta, mrużył oczyma, drgały mu muskuły niespokojnie. Plamy czerwone i blizny szpeciły go też nie mało.

Za nim szło aż pięciu ludzi wystraszonych, w siermiężkach prostych, bez koszul, w chodakach dziurawych, z włosy krótko ostrzyżonemi. Niektórzy kije pstre mieli w rękach. Łatwo

w nich było poznać parobków od plugów, albo też pastuchów świeżo od trzody tu przypędzonych.

Ludzie ci dwór świetny i pana zobaczywszy przed sobą na majestacie, strwożeni, ledwie kilka kroków podszedłszy, popadali na kolana, głowy pochylili ku ziemi i nierychło wstać się ośmielili na znak który im dano.

Staruszka niewiasta patrząc na Biskupa to na księcia, zdawała się w niepewności do kogo zanieść ma skargę. Wahala się jeszcze, gdy Mieszek, obawiając się snadź, aby do Biskupa się nie zwróciła, sam powołał ją, rozkazując bliżej przystąpić i opowiadać czego chciała.

— Miłościwy książę a panie — poczęła niewiasta ze zwykłą płci swój i wiekowi gadatliwością nieporządną, — miłościwy panie! jestem wdowa utrapiona i nieszczęśliwa, którą ostatniego mienia i chleba pozbawiono! Miłościwy książę, mąż mój nieboszczyk służył i zasłużył się panom swym, zwali go Błażkiem, był koniuszym przy zamku. Człek był pocziwy a pracowity. Nieboszczyk książę dał nam ziemię, pola i łąki, gdzie i dworek postawił nieboszczyk. Nakupił potem owiec, a te się nam z łaski Bożej rozmnożyły, miałam stadko ich piękne, — (tu łzy otarła) — a! z niego całe było utrzymanie moje.

Placz i szlochanie na chwilę jej odjęły mowę.

— A! ja, nieszczęśliwa sierota! — mówiła

dalej wśród lkania, które ciągle głos tamowało. — Gdy wspomnę, serce mi się kraje! Miałam mleko i sër na sprzedaż i wełnę. Było się czém okryć i czém pożywić i jaką odrobinę schować na złą godzinę. A! ja nieszczęśliwa sierota! co ja teraz pocznę wyzuta ze wszystkiego.

Płacz znowu Błażkowej mowę stłumił, a Mieszek rzekł.

— Mówieć, kto was o szkodę przyprawił!

Niewiasta, jakby przemówić jeszcze nie mogła, wskazała ręką na stojących z tyłu parobków.

— A! oto ci, ci niegodni słudzy. Syn mój do dozoru ich przyjął. Dobrze dozorowali! Łajdaczylu gdzieś czy spali, dosyć że wiley z lasu wyszedłszy, jak się do stada wniecili, jak zaczęli łusić, tak mi prawie nie zostało. Barany, owce, jagnięta, poszło wszystko biedactwo na głodne zęby! A! ja nieszczęśliwa sierota, już mi chyba przyjdzie z głodu umierać.

Zaniosła się biedna niewiasta płaczem wielkim, a ksiązę który sprawę tę wziął tém goręcej do serca, że tak dostojnego miał sądów swych świadka, odezwał się.

— Któryż jest synem twoim?

Wdowa Błażkowa zwróciła się wskazując na młodzieńca, który pokłon oddawszy księciu, dosyć śmiało ale głosem zachrypłym rzekł.

— A to ja jestem miłościwy ksiązę, ja, Tymek Berdów, ja.

Wskazał palcem na pierś swoją.

— Ja syn sługi twój, miłościwy *królu!*

Tytuł ten nie czynił wstrętu Mieszkowi, choć do niego prawa nie miał i nie nosił go.

— A gdzież są ci najemnicy? — zapytał.

Między parobkami, którzy spojrzeli po sobie i łokciami się trącać poczęli, stało się zamieszanie chwilowe i, jakby za przyzwoleniem ich ogólném, starszy jeden z kijem w rękę, u którego uwiązana wisiała mała flaszczyka, wystąpił naprzód i gwałtownie rzucił się na kolana, wskazując towarzyszków,

— Miłościwy królu, to my; Łupa, ja, Zgonina, o to ten, Bajda, Chromek i Brechun.

Wstawszy Łupa począł szybko a frasobliwie, targając krótkie włosy.

— A to nas winią, a to skarżą, a no i my tu przyszli do miłosierdzia pańskiego, my, Łupa, Bajda ta i wszyscy. Jak się pan nie zmiłuje a Bóg, to któż? ginać przyjdzie.

Pozostali za Łupą stojący, potwierdzali co za nich prawili.

— Jakże to było? prawcie śmiało — odezwał się książę.

Łupa począł śmielój, potarłszy głowy.

— A no, jak było, Bóg najjaśniejszy świadek że prawdę mówimy, i że o to jak było. Choćby krzyż całować przyszło, my wszyscy gotowi, a choćby na żelazo i wodę. My nie jesteśmy lu-

dzie niewolni, ale swoboda i najemnicy. Tak o to ten Tymek Berdów — wskazał na młodzieńca, który się niecierpliwie poruszył — o to ten, ale, proszę miłości waszój, jako żywo on nie jest syn wdowy Błażkowej, ale pasierb, tak, pasierb.

Odwrócił się powołując do swoich, którzy mu głowami coś pomruknijac, świadczyli. Ani wdowa ani Tymek nie zaprzeczali.

— Ten Tymek, — mówił dalej pastuch — najął nas, muie Łupę, Bajdę i Zgoninę potém Chromka i Brechuna na ostatku.

— Ano, tak, — potwierdził kłaniając się Brechun.

— Najęli nas — ciągnął Łupa, — najęli, trzoda była duża, roboty kolo nićj, strach! Wszystkich razem pędzić nie było można, a tu w szkodę zapuścić wara, a tam łęgi pozatykane, nie można, a tu od lasu i zwierza pilnować, a od moczarów odganiać. Już jak tam nas karmili, niechęć i gadać, chleb ościsty a polewka, krupa krupę gonila. A tu trzeba było i doić i mleka pilnować i séry robić i lekarstwo dawać.

— E! e! więcej sami mleka spili niż sérów zrobili! — wtrąciła wdowa.

— Od wilków my, od lasa z oszczepem stawali, — ciągnął Łupa, — wiley w trzodzie szkody nie robili. Raz jeden barana bestja okaleczyła, co go dobić musieliśmy, bo by był zdechl... Bajda

z Brechunem jak poczęli wrzeszczeć, rzucił go wilk i skóra a mięso ocalało...

Kto nas trzody pozbawił! e! e!

Tu odwrócił się i na Tymka palcem wskazał.

— Ot, kto! ot! Jemu tylko aby polować a polować z psiskami, a sobaki złe że co napadną bywało rozszarpią. Wpadli raz na trzodę, jak niepoczną się znęcać, my z kijmi. Gdzie zaś! i nam się dostało. Tymek nadbiegłszy jak wziął nas okładać, a żebyście mi milczeli, żebyście nie gadali na psy, pamiętajcie! Powiecie że wilki w trzodzie szkodę zrobiły, nie to stłukę na miazgę.

Cóż my, proszę miłości waszój, mieli robić? Przyszło pędzić do obory, niema liku, wdowa w płacz, a na nas wymyśla. Taki to z was dozór, darmozjady, a ja was za co karmię moim chlebem. a wy tacy, owacy... Co było robić? musieliśmy milczeć! Drugiego dnia jak się psiarstwo zaprawiło na owcach, gdzie! ani go strzymać. Poczęli dusić znowu. Bieda! strach! gwałt! my na nich z kijmi. A żebyście mi się nie wazyli moich psów tykać, woła Tymek, ani na psy skarżyć, bo żywi nie ujdziecie.

Gdy Łupa tak rozpowiadał szeroko, Tymek już ledwie mógł się utrzymać.

— Miłościwy królu! — zawołał — to są wierutne łajdaki i kłamcy... Spali a nie pi'nowali, wiley trzodę wydusili, teraz na moje psy skła-

dają. To zbóje i nieponie, bez czci i wiary poganie, których słowom ani przysiędze wierzyć nie można...

Nie tak było, kłamstwo wszystko. Ja ze psy mojemi wilki ścigałem, odganiałem, a oni ufając w to pokładali się na brzuchach i spali i wilezyska trzodę całą wymordowały.

Odwrócił się do Łupy.

— Będziesz ty mi lgał!

Łupa do księcia milcząc ręce wyciągnął.

— Panem Bogiem się świadcę — dodał — kłamię on! myśmy niewinni nie!

Stało się milczenie, ks. Mieszek oparł się na rękę i zadumał, widać było że przed Biskupem chciał mądrość swą i przebiegłość okazać. Sprawa była do rozsądzenia dosyć trudną. Komu tu dać wiarę? Gedko spoglądał milczący na księcia, czekając co też powie. A że Mieszek ani nań patrzył, ani się odzywał do niego, na twarzy Biskupa coraz większe rozdrażnienie występowało.

Lekceważono go publicznie i chciano zapomnieć o nim, jakby go tu nie było.

Mierzwa człek przewrotny, widząc sprawę zawiklaną, z uciechy że inni sobie może nie poradzą z nią, tam gdzie on łatwo by wiedział kędy wynijść, brodę ręką gładził i uśmiechał się do siebie. Wdowa płakała, parobcy między sobą szeptali, Tymek z nogi na nogę przestępował, na księcia zerkając z ukosa.

W tém książę długo pomyślawszy, podniósł głowę i rzekł zwolna.

— Jedna i druga strona prawi tak, że jedno i drugie zda się równie wiary godnem. Mogły psy być przyczyną, mogli i wilej. Ani pastusi ani pasierb nie stawia świadków. Zresztą parobcy czynili co mogli, nad siłę zrobić nie byli w możności. Wilej czy psy, silniejsze były od nich. A no, na pastuchów powierzona była trzoda, oni za nią odpowiadają, co o psach prawią, lżą być może, bo kto by własne owce dał dusić? Co tu rzec? pastusi winni za owce zapłacić, a jak nie mają czém, w niewolę iść.

Odwrócił się książę nie ku Biskupowi, ale ku swoim.

— Cóż, jak wam się zda? — spytał.

Kietlicz, Mierzwa i cały prawie dwór jednym głosem zawtórowali.

— Najsprawiedliwszy wyrok w świecie!

Biskup nie powoływany do zdania, nieco szydersko się uśmiechnął, książę to dostrzegł. Tymek zdawał się tryumfować, ale Mieszek, którego uśmieszek Gedki ubodł mocno, sparł się na dłoniach i myślał znowu.

— Tak się zda — odezwał się wytrzymawszy nieco, — a gdyby prawa surowego się radzić, wyszłoby inaczej. Jest dowód pewien, czemu sam pasierb nie przeczy, że złe psiska chował, że na te psy i inni się uskarżali. Ja to wiem. Sam

przyznaje że z temi psy około trzody się zwijał. Coż dziwnego że wściekle bestje na owce się rzuciły? Albo to nowa i niezwykła rzecz? Dowodów innych niema, oprócz tego prawdopodobieństwa, prawo więc nakazuje na niém się opierać. Owa baśń o gonieniu za wilkami pachnie wykrętem. Prawdę rzekłszy pasierb winien nie pastuch i on matce swój czy macosze trzodę nagrodzić powinien, on! on, nie kto inny! Sprawiedliwość tego wymaga!

Znowu książę odwrócił się do swoich, a Mierzwa z rękami do nieba wzniesionemi, z twarzą rozpromienioną, wielbiąc rozum pański, zawołał.

— O niezrównana mądrości pana naszego!

Inni za nim pomrukując, sławić ją poczęli.

Z twarzą wyzywająco szyderczą książę się zwrócił ku Biskupowi, jakby go do wypowiedzenia zdania wyzywał, gdyż Gedko milezący dotąd, oprócz urazy że był zapomniany i lekceważony, nie dał znaku ani przeciwnieństwa ani zgody.

— Coż wy na to ojcze? — spytał.

Gedko twarz przyoblókł powagą wielką, zmieniła się ona, rozpromieniła natchnieniem razem i obrażoną dumą — odwrócił się do księcia powoli.

— Miłościwy panie — rzekł poważnie — istnieje Bóg sam mnie tu dziś sprowadził na tę sprawę, która jakby umyślnie dziś się właśnie przygo-

dziła, abym ja z nią dla Was samych prawdę pożyteczną wydobył.

Daleś wyrzek sprawiedliwy, miłościwy panie, ale na samego siebie.

Pomyślno, nie jestli ta niewiasta jakoby ziemią krakowską, a ty zaprzeczyć nie możesz iż do pasierba tego jesteś podobny. — Ona cię synem zwie, inni mogą pasierbem mianować, a trzoda owiec nie jestli to lud twój wszystek, który powierzyłeś pono nie skotarzom wiernym, ale takim obeym najemnym pastuchom, którzy z niego skórę, wełnę i mleko chciwie dla siebie chwytają.

Tu ręka Biskupa wyciągnięta jakby mimowolnie Kietlicza wskazała.

— Postąpiłeś z tą ziemią nie jak z matką a z macochą nie litując się jej nędzy. Wściekłe psy są to twoi urzędnicy żądni krwi i okrutni, których ty na wodzy nie trzymasz a pastwić się im dajesz nad trzodą własną.

Bezkarności pewni rzucają się rozjuszeni na trzodkę twą i szarpią a krew jej chłepcą.

Wyrok twój, panie, na cię samego pada, tyś winien tak jako ten pasierb wdowy! Świątobliwy król Dawid, choć ludu swojego ciemnić nie dawał, a tylko policzyć go kazał, przecie popadł za to w niełaskę u Boga i pokutę musiał sprawiać aby mu grzech jego był odpuszczonym. — Powiedz więc panie — zgrzeszyłem, a kajaj się aby cię ręka Boża nie dotknęła

Śmiało to wystąpienie Biskupa, jak piorunem raziło księcia, nie chciał zrazu wierzyć uszom swym, zbłądł, rzucił się z krzesła jakby na Gedkę chciał porwać, ledwie zdołał gniew swój poskromić.

Niezlomna ta odwaga Biskupa, przeraziła więcej jeszcze dwór pański, który stał oniemiały i struchlały. Kietlicz czerwienił się — błądził trupio i radby był pójść wskrósł ziemi. Mierzwa skrył się za innych, widać go nie było. O sprawie, wdowie, parobkach zapomnieli wszyscy, a niektórym się zdało że nasadzona była rzecz umyślnie przez Gedkę, aby mu do jęgo wystąpienia posłużyła. W izbie całej popłoch się stał jakby w oczekiwaniu wielkiego jakiegoś wypadku.

Tymczasem Gedko zwoła podniósł się z siedzenia ostatnich słów domawiając, rzucił wzrokiem dumnym, surowym, spokojnym na księcia, który oczy musiał spuścić i, dawszy znak prątom swym, wolnym krokiem tłum rozstępujący mu się przerynając, izbę sądową opuścił.

Co było jeszcze ludzi z żałobami, strażę na znak gniewny Kietlicza wnet precz wyganiać poczęły, wdowę naprzód, syna jej, parobków i innych na sądy oczekujących. Mieszek, który też się podniósł z siedzenia z twarzą błądą, ale straszliwy gniew tłumiony wyrażającą, rzuciwszy okiem po swoich, do drzwi się bocznych skierował.

W chwilę potém izba była pusta, a na zamku zapanowało złowrogie jakieś tajemnicze mileczenie.

Książę wprost ztąd, zamiast do komnat żony i izb w których ze dworem do stołu siadał, poszedł do swęj sypialni. Skinął na Kietlicza, który się włókł za nim posłuszny. W dwu słowach dany już był rozkaz załodze zamkowej, aby stała w gotowości, aby się nikt ze dworu oddalać nie śmiał.

Przerażeni wszyscy, czegoś strasznego oczekując, chodzili niespokojni, losy Szczodrego przychodziły na pamięć. Tak samo Stanisław ze Szczepanowa napominał go publicznie.

Izba do której wszedł Mieszek z Kietliczem, była zwykłą do narad i rozkazów potajemnych przeznaczoną.

Nie było w niej przepychu, ale wygoda wszelka i niemieckich wymysłów sprzęt nie tak okazały jak do spoczynku i pracy najpodatniejszy. Znać było tu pana który dla oka w domu czynił mało, dla dogodności wiele. A że w tych czasach zawsze się musiał każdy mieć pogotowiu do obrony, był też oręż i broń różna po ścianach i kątach.

Tu zwykle Kanclerz spisywał przywileje przy świadkach, więc i do pisania przybory na stole leżały i pulpit do rozkładania ksiąg, gdyby się ich radzić przyszło. Choć Mieszek prawa obcego ani żadnego bardzo szanować nie chciał, wolę

swą mieniać prawem jedynem, przecie czasem się radzić było trzeba pisma.

Wszedłszy Mieszek padł na siedzenie, kubek wody wychylił, długo nieruchomy trwał nie mówiąc słowa. Kietlicz stojący u proga patrzył nań, odzywać się nie śmiejąc, nogi pod nim dygotały, pot z czoła padał kroplami — oddychał ciężko.

Upłynął dobry czasu kawał, książę dwa czy trzy razy usta otwierał i milkł nie mogąc się zdobyć na słowo; ręka która leżała na stole konwulsyjnie drżała. Spojrzał na Kietlicza, ani go odpędzał, ani powoływał. Dumal z sobą. Naostatek, jakby bój stoczywszy i zwyciężywszy, Mieszek powstał, kołpak który miał na głowie poprawił zrazu, a potem na stół go zrzucił. Stał naprzeciw Kietlicza, brew mu się ściągnęła, usta drgały..

Odzyskał już był męstwo i władzę nad sobą.

— Mów, — odezwał się głosem zmienionym — którzy są co z Biskupem trzymają?

Kietlicz zawahał się z odpowiedzią.

— Miłościwy panie, — rzekł, — ledwieby nie przyszło pytać dziś, którzy z nim nie trzymają i przeciw własnemu panu nie są? Na pewno wiemy że Wojewoda Szczepan, krewny jego, należy doń cały. Leszczyc co nocy zbiera u siebie narady, knuje znowy. Wczoraj ich podsłuchano że już na zwiady wysyłać mieli do Kaźmierza. — Posłańca schwytanego trzymam w więzieniu.

Biskupi wszyscy z Gedką trzymać będą, księża pójdą za nimi, ziemiaństwo nie odstąpi ich.

— Więc na nim pierwszym — odezwał się Mieszek, na buntowniku jawnym przykład uczyć trzeba.

Zuchwały klecha wyzywał mnie sądząc że się porwę nań i uczynię go męczennikiem?! Nie! księdzem jest, nie tknę go, z Rzymem się zadziierać nie chcę. Dziś, nocą, stu ludzi weźmie go z dworca, niech mu włos nie spadnie z głowy, ale zuchwalec co nie nie szanuje, precz za granicę kraju wyrzucić. — Powiedzieć mu, jeśli się wrócić ośmieli, głowę mu kto zdjąć może. Znajdzie się taki co to uczyni.

Ręką rzucił Mieszek.

— Miłościwy panie, — chciał przerwać Kietlicz.

— Milcz z radą swą — odparł książę — rady nie potrzebuję, posłuszeństwa.

Przeszedł się po izbie, wodę pijąc i uspokajając.

— Wojewodę, gdy do swój miłośnicy jechać będzie, bracia jej mogą ubić na drodze, albo u niej w domu. Nie będzie im za to nic, można powiedzieć. Stary łotr, winien dać gardło: sprzeniewierzył mi się.

Znowu chodząc dumiał Mieszek.

— Leszczyca, Bogorjów, Cholewę, gdy się znijdą pobrać na gród i posadzić. Sądzić ich sam będę, winni zdrady. Kto życiem nie przypłaci, oczyma lub ręką. — Nadto byłem powolnym, nie

znają mnie jeszcze — krwi potrzeba aby postrach był.

— Miłościwy panie — przerwał raz jeszcze Kietlicz, — ziemianstwo nastraszyć dość, a lepiej go nie drażnić. Silni są.

— I jam nie słaby — odparł książę odwracając się do niego. Nie straszyć ich próżno ale wydziesiątkować trzeba. Biskupa jednego stanąć aby reszta milezała, ziemian pobrać więcej. — Ha! ślali już do Kaźmierza, — dodał uśmiechając się gniewnie. — Do Kaźmierza! Nie jużci w niego ufają i za jego przyzwoleniem to czynią? Nie — nie.

Oni go chcą wziąć, ale się im nie da. W Sandomierzu zawsze stek tych co odemnie stronią. Biskupi tam ciągną, opatów i klechów pełno — klasztor czy szkoła ten dwór jego, a w rzeczy to jaskinia łotrów.

Tylko nie zmogą Kaźmierza, bojaźliwy jest, miękki, przeciw mnie się nie ośmieli, bo zna żem nie na jego siły!

Kietlicz ani przeczył, ni potwierdzał.

— Kogo ślali do Kaźmierza? — zapytał.

— Ziemianie u Leszczycy zebrani, którzy niemal co noc się tam zjeżdżają, małego czelczka wybrali. Czeladź podsłuchała i doniosła. Ten już siedzi.

— Drugiego znajdą — dodał Mieszek. — Zabrać ich wszystkich z Leszczycem, do nogi.

— Nuż się opierać zechcą? — szepnął Kietlicz — i to już może być.

Mieszek głową potrząsł pogardliwie.

— Ludzi masz dosyć!

— A jeżeli Wojewoda swoich powoła?

— Wojewoda! — parę razy powtórzył Mieszek z lekceważeniem. — Wojewodę mogą sprzątnąć ci z Tęczyna, starzec jest niedoleźny. Ja Wojewodów krom ciebie nie potrzebuję, do wojny znajdę dowódców, warcholów wymieść trzeba precz.

Znowu umilkłszy przechadzać się zaczął książe, pomrukując jakby to co myślał ciężko mu wypowiedzieć było. Stał potém naprzeciw Kietlicza,

— O Kazmierzu prawią między sobą — rzekł, — ja się go nie lękam, ale póki on tam siedzi za oczyma, wszystko się do niego gromadzić będzie. Słać potrzeba ażeby do mnie przybywał. Lubi mądrych ludzi, — dodał szydersko, — księdza po niego wyprawić, a jeśli o wiernego trudno, Mierzwę, który go rozmową zabawić potrafi. Niech mu powie że widzieć go chcę, sprawę mam pilną. .

Raz tu go sprowadziwszy nie puszcę od siebie. Ślij po niego zaraz — dziś. . prędko.

Kietlicz stał tępym mnóstwem pańskich rozkazów zmieszany nieco.

— Miłościwy panie, — odezwał się, — co rozkażecie to dla mnie święte, ale czy podolam naraz

tylu sprawom? Biskup - Wojewoda, ziemianie, książę Kaźmierz.

Mieszek odwrócił się ku niemu gniewnie.

— Tak, albo naraz wszystko zrobić potrzeba, lub z wszystkiego nic nie będzie, — krzyknął ostro i zapalczywie. — Gdy popłoch się rzuci nie czas będzie ludzi łapać, bo się rozbiegą. Nie dzwonić na trwogę, a ująć razem tych co zmowy czynią. Masz ludzi, masz siłę, masz przykaz mój, czyń co chcesz. . Tak musi być.

— Cóż, trwożysz się? ty?

Kietlicz poruszył się żywo.

— Nie trwożę się — choćbym i życie miał dać! Nie pożałuję nikogo. .

— Natychmiast do dzieła — dodał książę. -- Biskupa wziąć i za granicę go wywieźć — jeśli chce niech skarży na mnie w Rzymie, znajdę sposób na to! Z Wojewodą rozprawia się bracia tej wszetecznicy, — daję im go na wolę. . Leszczyca dwór otoczyć i na zamek pobrać wszystkich. .

Kietlicz stał jeszcze.

— Nie masz czego czekać — zakończył książę — Idź! czyn. Nie trzeba okazywać nic, na zamku do wieczora niech się nic nie rusza. — Mierzwę ślij do Sandomierza, naglić ma by przybywał do mnie. Opierać się nie będzie — starszy brat wzywa i rozkazuje.

Idź — rób.

To mówiąc książę z ramion zrzucił płaszcz, odpasał miecz, zdjął suknię i pochwyciwszy kaftan ze skóry bawolój, szybko wciągając go zaczął, natychmiast nań suknię wdziewając i mieczem opasując się znowu.

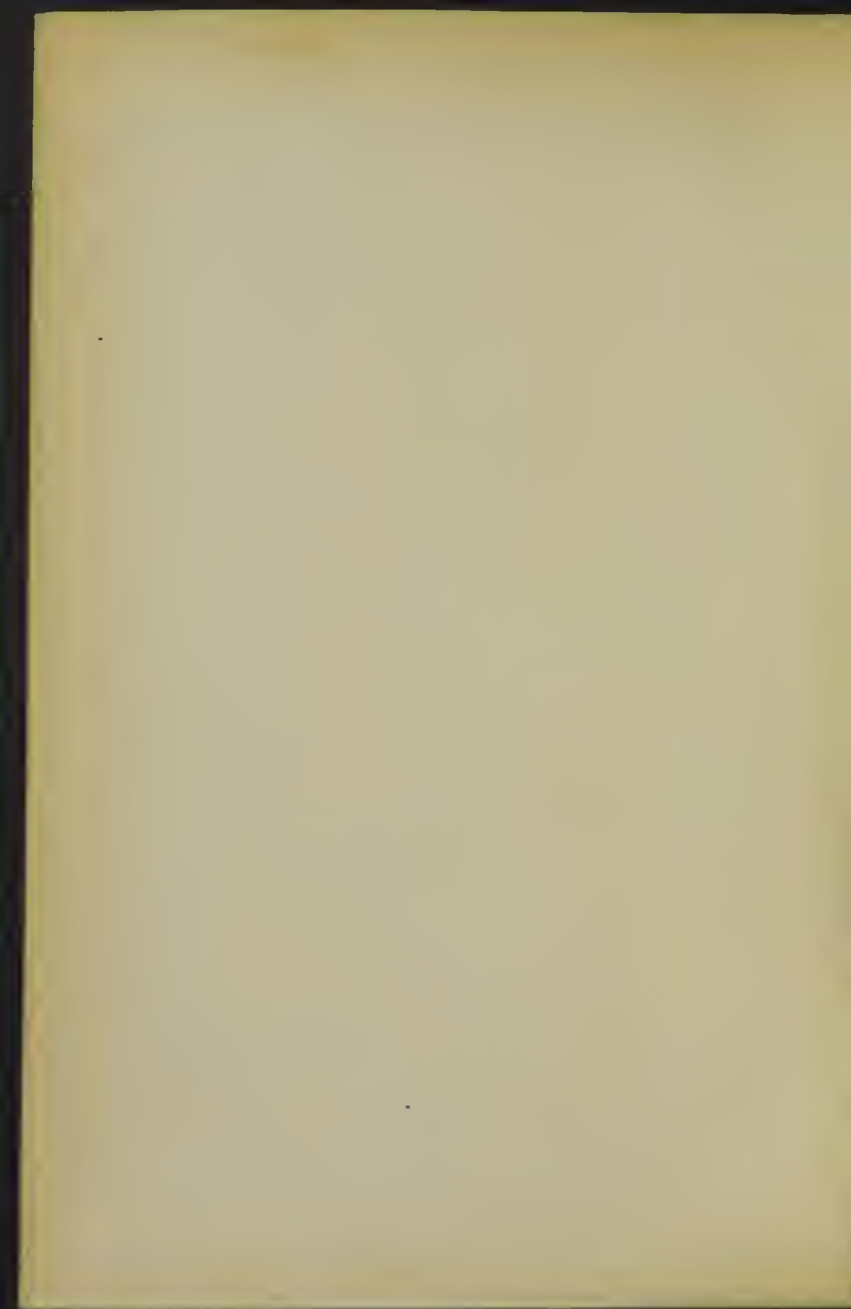
Kietlicz postawszy u progu chwilę, ze spuszczoną głową, odszedł powoli — ciężkie brzemie niosąc na sobie.

W komnacie w której się to odbywało, nie było nikogo, lecz gdy Kietlicz drzwi jej otwierał, zdało mu się iż posłyszał szybko oddalające się kroki, jakby od progu uciekającego co żywiej człowieka. Rzucił się za nim strwożony. Łatwo który z dworzan lub czeladzi stać mógł na podłuchach, uląkł się by zdrady nie było. Nie dowierzał nikomu.

Popędził co sił stało, lecz ociężały i krótkonogi, nim do przedsieni dobiegł, nie znalazł śladu ni słyhu. Tu chodniki kryte rozchodziły się na różne strony. Cicho było dokoła i pusto, pusto nawet w wewnętrznych dziedzińcach. Pocieszył się tém Kietlicz pot ocierając z czoła, że mu się ów szelest przysłyszał.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





Biblioteka Raczyńskich

JK 412



JK0412